

A

Przygody kapitana Alatryste

Arturo
PÉREZ-REVERTE



Słońce nad Bredą

ARTURO PÉREZ–REVERTE

SŁOŃCE NAD BREDA

(LAS AVENTURAS DEL CAPITÁN ALATRISTE, #3:)

(EL SOL DE BREDA)

Przełożył: Filip Łobodziński

Ilustracje: Karol Precht



Wydawnictwo: Muza 2005

„Przygody kapitana Alatryste” to opowieść o Hiszpanii pierwszej połowy XVII wieku. Na tronie zasiada młody, niemający na nic wpływu, Filip IV, wnuk potężnego Filipa II. Dwór habsburski powoli staje się labiryntem intryg, podchodów, wzajemnych świństw. Z jednej strony sprawujący rządy kanclerz, z drugiej sekretarz królewski, uprawiający własną podstępą politykę ramię w ramię ze złowieszczym inkwizytorem. Na skrzyżowaniu tych dwóch ośrodków władzy znajduje się Diego Alatryste y Tenorio, czterdziestoparoletni szermierz, wytrawny żołnierz. W czasie gdy nie jest na wojnie, dorabia, pojedynkując się w cudzych sprawach. Małomówny, raczej sceptyk, zna życie od najgorszej strony i może dlatego zachowuje wciąż elementarne zasady moralne.

Trzecia część opisuje przypadki bohaterów na wojnie flamandzkiej. Jak łatwo się domyślić, to najbardziej krwawy i posępny fragment cyklu. Szczególnie barwne są realia cywilne tej wojny, przedziwne konfiguracje i sytuacje powstające na granicy dwóch światów (np. najeźdźcy–Hiszpanie korzystający bez trudu z gościnności podbitych Flamandów, a zwłaszcza Flamandek).

Spis treści:

I. UŚCISK DŁONI. 5

II. NIDERLANDZKA ZIMA. 27

III. BUNT. 54

IV. DWAJ WETERANI. 76

V. WIERNA PIECHOTA. 98

VI. PO GARDLE. 121

VII. OBLĘŻENIE. 139

VIII. OPONA. 161

IX. PAN MARSZAŁEK I CHORĄGIEW. 183

EPILOG. 202

NOTA WYDAWCY NA TEMAT OBECNOŚCI KAPITANA ALATRISTE NA OBRAZIE PODDANIE BREDY

DIEGA VELAZQUEZA 211

Dla Jeana Schalekampa,
przeklętego heretyka,
tłumacza i przyjaciela

*Za swym dowódcą ciągną wielkim światem, Ognia nader żądne, krzepkie,
brodate Hiszpańskie oddziały nieokrzeseane.*

*Kapitanie, coś w ziemi był Flamandów, W Meksyku, w Italii, wśród szczytów
Andów, Gdzie jeszcze cię poniesie, kapitanie?*

C.S. del Río, Niebiosa



I. UŚCISK DŁONI.



rzebóg, jakże wilgotne są niderlandzkie kanały o jesiennym świcie! Hen, sponad mglistej zasłony, co groblę spowijała, niewyraźne słońce z trudem przebijało się, by choć odrobinę światła rzucić na ludzkie postacie, zdążające traktem ku miastu, które swe podwoje właśnie rozwarło, jako że poranny targ się rozpoczynał. Nie słońce to snadź było, ale jakowaś niegodna tego miana, słabo widzialna, zimna gwiazda kalwińska, prósząca schizmatyckim światełkiem, szarym i brudnym. I w tej lichej poświacie przesuwają się przed moimi oczyma wozy w woły zaprzęzione, grupy włościan płody ziemi w koszach niosących i niewiasty w białych czepcach, obładowane serami i bańkami z mlekiem.

Takoż i ja przedzierałem się przez tę mgłę, biesagi mając u ramion uwieszone i zęby zaciskając, żeby mi z chłodu nie dzwoniły. Zerknąłem na nasyp grobli, gdzie opary z wodą się mieszały, alem dostrzegł jeno mętne zarysy sitowia, trawy i drzew. Zaiste, przez moment zdało mi się, że widzę zmatowiały kawałek metalu, rzekłbyś – morion albo skrawek pancerza, a może obnażona broń. Atoli trwało to raptem chwilę, po której wilgotne wyziewy wszelki widok na powrót zakryły. Podwika, co obok szła ku

miastu, pewnikiem też szczegółów ów dostrzegła, bo rzuciła ku mnie niespokojne spojrzenie spod okrywającej lico chustki, zaczem popatrzyła na niderlandzkich strażników, których ciemnoszare sylwetki wyposażone w napierśniki, hełmy i halabardy odcinały się już wedle zwodzonego mostu na szarym tle murów.

Miasto, a ściślej – ogromny most, nazywało się Oudkerk i położone było u zbiegu kanału Ooster i rzeki Mark, w delcie Mozy, którą Flamandowie zwą Maas, a zbuntowani heretycy osobliwiej wojskową niżli jakąś inną wagę doń przykładali. Miejsce to bowiem umożliwiało kontrolę nad wniknięciem do kanału, którym dostarczano posiłki do odległej o trzy mile, obleżonej Bredy. Siły w Oudkerk zgromadzone składały się z mieszczańskiej milicji i dwóch kompanii zaciężnych, w tym jednej z Angielczyków się rekrutującej. Dodajmy do tego silne umocnienia, a szybkie zdobycie głównej bramy, bronionej przez potężny bastion, fosę i zwodzony most, niepodobieństwem się zdawało. I dla tej to przyczyny ja owego poranka byłem tam, gdzie byłem.

Tuszę, żeście mnie waszmościowie rozpoznali. Zwę się Íñigo Balboa, w czasie, o którym tu prawię, liczyłem czternaście i pół wiosny. A niech mi nikt za samochwalstwo nie poczyta tego, co powiem: jeśli prawdą jest, że gdzie ogień bitewny, tam i wiarus pewny, to ja w tej sztuce niezgorszej wprawy jużem zdążył nabyć. Po niebezpiecznych wypadkach, w jakich przyszło mi wziąć udział w Madrycie naszego Filipa Czwartego, gdzie okoliczności zobligowały mnie do chwytności za pistolet i sztylet, otarłszy się także o stos inkwizycyjny, ostatnie dwanaście miesięcy spędziłem w wojsku u boku pana mego, kapitana Alatryste, we Flandrii. Stary Regiment z Cartageny wprzód morzem przeprowiony został do Genui, ruszył na północ przez Mediolan i tak zwanym Traktem Hiszpańskim, by zbuntowane prowincje osiągnąć, gdzie toczyła się wojna. Dawno w przeszłość odeszły

już były czasy wielkich dowódców, wielkich szturmów i wielkich zdobyczy, wojna bowiem podobną się stała mozolnej partii szachów, podczas której fortece kolejno były oblegane, z rąk do rąk przechodziły, a odwaga mniej liczyła się niżli cierpliwość.

A pośrodku takiej to awantury wojennej posuwałem się skroś mgłę, jak gdyby nigdy nic przybliżając się ku niderlandzkim strażnikom, bram Oudkerk pilnującym, ramię w ramię z dziewczyną, co lico pod chustą kryła, zewsząd otoczony przez włościan, woły, gęsi i wozy. I tak pokonałem kolejny kawałek drogi, na nic uwagi nie zwracając, nawet gdy jeden z wieśniaków, na mój gust nieco zbyt smagły jak na tę ziemię i to plemię – tu wszak każdy niemal skórę, włosy i oczy miał jasne – minął mnie szparko, mrużąc pod nosem cichutko coś, co mi *Zdrowaś Mario* przypominało; chciał może dołączyć do idących przodem czterech innych chłopów. Takżę niezwyczajnie chudych i ogorzałych.

Owóż stało się, że do miejsca, gdzie u wrót miasta na moście zwodzonym stali strażnicy, dotarliśmy prawie jednocześnie – ci czterej z przodu, ów maruder, podwika w chustce i ja sam. Wartowników było dwóch: gruby, owinięty w czarny płaszcz kapral o różowej kompleksji i jego podwładny z sumiastym, jasnym wąsiskiem. Tegom osobliwie dobrze zapamiętał, jako że rzucił coś po flamandzku do dziewczki w chuście, pewnikiem jakąś frywolną zaczepkę, i zarechotał donośnie. Raptem atoli śmiać się przestał, albowiem chudy wieśniak od *Zdrowaś Mario* wydobył z za pazuchy sztylet i jął tamtemu gardziel podrzynać, a posoka tak zeń siknęła, iżę biesagi mi zbrukała, gdym je otwierał, by pistolety grzecznie nabite wydać pozostałym czterem. W ich rękach zasię również zaśniły sztylety niby błyskawice. Na widok ów kapral gębę rozdziawił, by na alarm wrzasnąć, zdążył aliści jeno tyle uczynić – rozdziawić ją, bo nim zdołał choćby sylabę z niej wypuścić, już przy naszyjniku pancerza miał punktę

sztyletu. Zaraz też i gardło mu rozplątano od ucha do ucha. I kiedy on do fosy spadał, ja, biesag poniechawszy, wsunąłem własny sztylet między zęby i jąłem się jak wiewiórka po filarze mostu wspinać, a tymczasem dziewczka w chuście, co ani chusty już nie miała, ani dziewczką nie była, jeno mym rówieśnikiem, na którego wołano Jaime Correas, drugi słup zdobywała, by wspólnie ze mną drewnianymi klinami mechanizm zablokować, liny przeciąć i krążki zniszczyć.

Tak to Oudkerk przebudziło się, jak jeszcze nigdy w swych dziejach, jako że czterej w pistolety zbrojni oraz ten od *Zdrowaś Mario* rozpanoszyli się po bastionie niczym diabelska gromadka, żelazem i ogniem siekąc wszystko, co się ruszało. W tym samym momencie, gdy ja i mój kompan unieruchomiliśmy most zwodzony i nuże po łańcuchach na dół zjeżdżać, od strony grobli dobiegł nas ochrypły wrzask – wołanie stu pięćdziesięciu chłopów, co noc byli we mgle przepędzili, w wodzie po pas zanurzeni, a teraz wyłazili z niej, krzycząc: „Święty Jakubie! Święty Jakubie!... Za Hiszpanię! Za świętego Jakuba!”. Skorzy ziąb krwią i ogniem przegnać, wspinali się z rapierami w dłoniach po nasypie, pędzili groblą w kierunku mostu i bramy, zajmowali bastion, by na koniec, ku przerażeniu Niderlandczyków, co jak oszalałe gęsi miotali się bez ładu i składu, wtargnąć do miasta i do rzezi spokojnie przystąpić.

Dzisiaj w księgach historyków czytamy o szturmie na Oudkerk, że był to mord, mówią nam o powtórzeniu „hiszpańskiej furii” z Antwerpii¹ i tym podobne cudowności, utrzymują, jakoby owego poranka regiment z Cartageny osobliwym okrucieństwem się popisał. Tak powiadacie, hę?... Mnie tam tego nikt nie bajdurzył, bo sam we wszystkim uczestniczyłem.



Skorzy ziąb krwią i ogniem przegnać, wspinali się z rapierami w dłoniach po nasypie...

Zaiste, pierwsze chwile to była jatka niemiłosierna. Aliści powiedzcie, waszmościowie, jak inaczej, siłą stu pięćdziesięciu żołnierzy, szturmem wziąć holenderską twierdzę, obsadzoną siedmuset obrońcami. Tylko bezlitosny atak zniecka mógł złamać ducha psubratom, tedy nie inaczej postąpili nasi weterani Starego Regimentu, w rzemiośle swym dobrze

zaprawieni. Wedle rozkazów marszałka polnego, mości Pedra de la Daga należało zabić wielu i sprawnie na samym początku, ażeby obrońców trwogą napełnić i do rychłego poddania przymusić, a łupiestwo odłożyć na czas, gdy wojsko pewne będzie, że szturm zakończył się powodzeniem. Oszczędzę przeto waszmościom szczegółów. Tyle jeno powiem, że powietrze aż gęste zrobiło się od wystrzałów z arkebuzów, wrzasku i szczęku rapierów i że ani jeden Niderlandczyk od piętnastej wiosny, który by na drodze naszych stanął w pierwszych minutach szturm – czy to walczył, czy pierzchał, czy też chciał się poddać – nie uszedł żyw, by móc z całego wydarzenia sprawę zdać.

Nasz pan marszałek polny miał słuszość. Panika we wrażych siłach stała się naszym najlepszym sprzymierzeńcem, przeto i strat nie ponieśliśmy znacznych. Najwyżej dziesięciu, tuzin może zabitych i rannych. A to, do diaska, naprawdę niewielu, gdy stawić przed oczy dwie setki heretyków, których miasto musiało pogrzebać nazajutrz, i fakt, że w dodatku Oudkerk wpadło w nasze ręce aż miło. Główny opór napotkaliśmy w ratuszu, gdzie ze dwudziestu Angielczyków zdołało się jako tako przegrupować. Anglików, co to zawarli sojusz z buntownikami, kiedy ichniemu księciu Walii nasz miłościwy król odmówił był ręki infantki Marii, nikt na to wesele bynajmniej nie spraszał. Przeto, gdy pierwsi Hiszpanie dotarli na główny plac ze sztyletami, lancami i rapierami krwią ociekającymi i kiedy Anglicy przywitali ich palbą muszkietową z balkonu ratusza – to, proszę waszmościów, naszych wprawilo w głębokie nieukontentowanie. Nanieśli więc prochu, pakuł i smoły, podpalili ratusz nafaszerowany dwudziestką Anglików, a potem jeno, kiedy tamci ze środka wychodzili, natykali się na hiszpańskie arkebuzy i rapiery. Rzecz jasna ci, co jeszcze wyjść zdołali.

A potem rozpoczęło się łupiestwo. Zgodnie ze starą żołnierską praktyką, miasto, które na mocy stosownego układu nie poddało się atakującym albo wzięte zostało szturmem, mogło być przez zwycięzców ograbione. A że żądza łupów wielką była, każdy żołnierz brał za dziesięciu, a przymierzał się nawet za stu. Ponieważ Oudkerk nie poddało się – gubernator został ubity z pistoletu na samym początku, a burmistrza akurat w tym momencie wieszano we drzwiach jego własnego domostwa – i jako że, mówiąc wprost, usraliśmy się przy zdobywaniu miasta, nie trzeba było nijakiego odrębnego rozkazu, abyśmy teraz jęli wchodzić do domów, które uznalibyśmy za zdatne (czyli do wszystkich), i zabierali stamtąd, cokolwiek się nam spodoba. Owóz dochodziło, wystawcie sobie waszmościowie, do scen pożałowania godnych, albowiem mieszczanie tamtejsi – jak zresztą wszędzie na świecie – złowrogim okiem spoglądają na tych, co ich własnego dobytku chcą pozbawić, przeto niejednego trzeba było nakłonić do posłuszeństwa za pomocą kawałka zaostzonego metalu. Rychło też na zasnutych dymem ulicach co rusz widziałeś żołnierzy objuczonych najbardziej malowniczymi przedmiotami, podeptane firanki, potrzaskane meble i siła trupów, wiele z nich z odzienia i butów odartych, za to obficie broczących krwią, która zbierała się na bruku w spore kałuże. Krwia, na której ślizgały się żołnierskie buty, a którą psy jęły chciwie chleptać. Mają tedy waszmościowie obraz tego, co się działo.

Wobec niewiast nie było żadnego gwałtu, przynajmniej nie było nań pozwolenstwa, nikt się też nie upił – a przecież nawet najbardziej karne wojsko potrafi sobie pofolgować i w jednym, i w drugim. Tu akurat rozkazy były jasne i zdecydowane niby cięcie stali toledańskiej, albowiem nasz dowódca naczelny, mość Ambrosio Spínola, nie chciał zatargów z miejscowymi zaostrzać – co rusz który trupem padał, a jego dobytek łupem, snadź niegodnym było, by im jeszcze ślubne zniewalać. Tedy w wigilię

szturmu, by sprawy postawić jasno – wszak wiadomo, że lepiej zrazu uderzyć „na wszelki wypadek”, niżli później biadolić „kto by pomyślał” – powieszono dwóch czy trzech osobliwie jurnych żołdaków, którym udowodniono przewinę. Ale też nie masz na tym świecie idealnej kompanii ni chorągwi, boć nawet śród towarzyszy Chrystusa, co to On sam ich snadź do siebie powołał, znalazł się taki, co Go zdradził, drugi, co się Go zaparł, i trzeci, co Mu nie uwierzył. W każdym razie pod Oudkerk taka kaźń zawczasu zadziałała zaiste zbawczo i wyjąwszy odosobnione, nazajutrz zbiorową egzekucją naprędce ukarane, przypadki zniewolenia niewiast – wszak nieuchronne, gdy na scenę wchodzą upojeni zwycięstwem żołnierze – cnota Flamandek, niezależnie od jej faktycznego stanu, pozostała nietknięta. Do czasu.

Ratusz płonął po sam kurek na szczycie dachu. Podążaliśmy ulicami wespół z Jaime Correasem, obydwaj bardzo kontenci, żeśmy byli cało przy bastionie uszli i że naszą misję przy moście zwodzonym wykonaliśmy zgodnie z oczekiwaniami wszystkich (nie licząc Niderlandczyków). W moich biesagach, którem zdołał odzyskać po bitwie, jeszcze zbrukanych krwią wąsatego strażnika, targaliśmy wszelkie cenne przedmioty, jakieśmy zdołali upatrzeć: srebrną zastawę, nieco złotych monet, łańcuch zabrany jakiemuś nieżywemu mieszczaninowi i parę udatnych, nowiutkich dzbanów ze spiżu.

Mój kompan na łeb nałożył wyborny morion, w pióra zdobny, który przedtem należał do pewnego Anglika, ten atoli już nie miał na co swego nakrycia wdziać, ja zaś paradowałem w zacnym kaftanie z przesywanego srebrem czerwonego aksamitu, wziętym z opuszczonego domostwa, któreśmy byli splądrowali co nieco. Jaime był, podobnie jak i ja, pachółkiem, to jest pomocnikiem żołnierza, a że społem niejedną niedolę i

biedę przyszło nam przecierpieć, uważaliśmy się za druhów serdecznych. Łupy i udany podstęp przy moście zwodzonym, który nasz kapitan Carmelo Catón przyrzekł był wynagrodzić, jeśli wszystko pójdzie dobrze, zdołały Jaimemu pociechę przynieść, wciąż bowiem czuł się z lekka zasromany z powodu przebrania go za młodą wieśniaczkę – traf chciał, że ciągnęliśmy losy i na niego wypadło. Mnie zaś, który w owym czasie nieugięcie trwałem przy postanowieniu, że zostanę żołnierzem, gdy wiek stosowny osiągnę, cała awantura flamandzka przyprawiała o zawrót we łbie, co było skutkiem pomieszania zapachu prochu, naszych wiktorii, podniecenia i namacalnego niebezpieczeństwa. Na rany Chrystusowe, tak właśnie widzisz wojnę, gdy wiosen masz nie więcej niżli wersów w sonecie, a łaskawa Fortuna zezwala, byś patrzył na bitewny zamęt oczami nie ofiary (wszak nie była to moja ziemia ni moi ziomkowie), ale świadka. A nierzadko i młodocianego kata. Alem już nadmieniał był waszmościom przy innej okazji, że w owej epoce życie ludzkie, takż i własne, mniej warte było od stali, którą można je było odebrać. Trudna i okrutna to była epoka. I ciężka.

Właściem opowiadał, jakośmy dotarli z Jaimem do placu przed ratuszem, gdzie zabawiliśmy dłużej nieco, by pożarowi się dziwować i obnażonym, pod drzwiami gmachu zrzuconym angielskim ścierwom – wiele z nich miało włosy jasne albo rude i piegi na licach. Co chwila mijaliśmy Hiszpanów łupy dźwigających albo Niderlandczyków, co w zatrwożeniu wielkim popatrywali na plac z bram swych domostw, stłoczeni niczym bydło pod strażą naszych uzbrojonych po zęby towarzyszy. Podeszliśmy do nich bliżej, by okiem rzucić. Stały tam głównie niewiasty obok starców i dzieci, z rzadka jakiś dorosły mężczyzna. Pamiętam jednego chłopaka w naszym wieku, co przyglądał się nam z ponurym zaciekawieniem, a także białogłowy o złotych lokach, białej cerze i oczach szeroko otwartych pod białymi chustami. Te ich jasne oczy, lękiem

przepełnione, wodziły za śniadymi żołnierzami o spalonej słońcem skórze, którzy byli dużo niżsi od flamandzkich mężów, ale wąsiska nosili sute, brody gęste i mocnymi nogami przemierzali teraz ich miasto rodzinne, z muszkietami u pasa i rapierami w dłoniach, cali odziani w skórę i blachy, powaleni brudem, krwią, mułem z fosy i prochem strzeleckim. Nigdy nie zapomnę wzroku, jakim patrzyli na nas Hiszpanów ci ludzie, w Oudkerk i w tylu innych miejscach. Czaiła się tam nienawiść przemieszana ze strachem, z jaką witali nas, gdyśmy do ich siedzib się zbliżali, gdy mijaliśmy ich domy, pokryci kurzem z drogi, najeżeni bronią i okryci łachmanami, większą grozę budzący, kiedyśmy milczeli, niżli zdzierający gardła. Dumni nawet wśród największych niedoli, jak ci żołdacy, o których w *Żołnierskim stanie* pisał Bartolomé Torres Naharro²:

*Chwyć za broń,
Wojna trwa, ty wroga goń,
Kułak znajdzie twój zajęcie,
A i srebro skapnie doń.*³

Byliśmy wierną piechotą naszego katolickiego monarchy, ochotnikami w pogoni za fortuną albo chwałą, chlubą honoru Obojga Hiszpanii, a czasem i plamą na tymże, hołotą do rokoshu skorą, co dyscypliny żelaznej a bezwzględnej jeno pod ogniem nieprzyjacielskim przestrzegała. Nieulekłe a straszliwe nawet w obliczu klęski, hiszpańskie regimenty były najlepszą szkołą żołnierki, jaką Europa przez wieki miała, i najdoskonalszą machiną wojenną, jaką kiedykolwiek dowodzono na polu bitewnym. Trzeba atoli rzec, że epokę wspaniałych szturmów mieliśmy już za sobą, coraz większe znaczenie zyskiwała artyleria, a wojna we Flandrii przeistoczyła się w mozolne oblężenia przy użyciu min i podkopów, tedy i piechota nasza też

przestała już być ową wyborną formacją, o której z taką dumą pisał wielki Filip Drugi w słynnej epistole do swego wysłannika przy papieżu:

Ani myślimy, ani też pragniemy władać heretykami. Jeżeli zasię nie zdołamy uporać się ze wszystkim wedle naszych życzeń, nie uciekając się do siły oręża, jesteśmy gotowi i tej drogi się podjąć, w czym nie powstrzyma nas ani możliwe zagrożenie naszej osoby, ani zniszczenie, jakie przynieść by to mogło tamtym krajom względnie też wszelkim pozostałym, które w naszym posiadaniu są jeszcze, albowiem tak właśnie winien postąpić chrześcijański a bogobojny władca w służbie Panu naszemu.

I, do diaska, tak właśnie było. Przez dziesięciolecia całe Hiszpania wadziła się z połową świata, pożytku z tego wynosząc nie więcej niżli Salomon z próżnego naczynia wody utoczył, i rychło ujrzała, jak jej wierne regimenty padały niby muchy na polach bitew, jak choćby pod Rocroi, posłuszne własnej sławie (bo czemuż innemu), milczące i beznamiętne, ze swych szeregów czyniące owe sławetne „ludzkie wieże i mury”, o których z takim zachwytem pisał Francuz Bossuet⁴. Aliści prawdą jest też, żeśmy koniec końców wszystkim wybornie dupy skroili. Lubo wszak nasi ludzie i ich generałowie już od dawna nie przypominali swych poprzedników z czasów diuka de Alba⁵ i Alessandra Farnese⁶, atoli żołnierz hiszpański długo jeszcze był zmorą Europy. Ten, co i króla francuskiego porwał pod Pawią⁷, i zwycięstwo pod Saint-Quentin odniósł, Rzym oblegał⁸ i Antwerpię, zdobył Amiens⁹ i Ostendę¹⁰, usiekł dziesięć tysięcy wrogów podczas szturm na Jemmingem¹¹, osiem tysięcy pod Maastricht¹² i dziewięć tysięcy pod Sluys, stając do walki z bronią w rękę w wodzie po pas¹³. Byliśmy niczym gniew boży. I wystarczyło ledwie okiem na nas

rzucić, by zrozumieć dlaczego: śniade, nieokrzeseane hufce, z suchych krain południowych przybyłe, walczyły oto na cudzej ziemi, cienia litości nie okazując, klęska zasię równała się dla nich unicestwieniu, a o odwrocie nijaką miarą nawet nie myślały. Ramię w ramię szli tacy, których przygnała tu nadzieja, że ostawili nędzę i głód szmat drogi za sobą, oraz ci, których pchnęła na wojnę żądza zysku, fortuny i chwały. Wybornie pasowały do nich słowa piosenki, jaką don Kichotowi odśpiewał piękny panicz:

*Na daleką wojenkę
Wiedzie potrzeba,
Nie poszedłbym tam wcale,
Gdyby nie bieda.*¹⁴

Albo takie dawne, a jakże wymowne strofy:
*Biję się, bo bić się muszę,
Z siodła widok mam szeroki
I Kastylię całą okiem Mierzę,
Kiedy w pole ruszę.*¹⁵

Ale, ale. Owóz staliśmy tam jeszcze przez dobrych kilka lat, poszerzając widok Kastylii główniami naszych rapierów (albo jak tam Bóg z diabłem pospołu nam podszeptowali) o miasto Oudkerk. Chorągiew naszej kompanii zawisła na balkonie jednego z domów, stojących wokół głównego placu, tam też udał się mój druh Jaime Correas, przypisany do drużyny chorążego Coto, by swoich odnaleźć. Ja szwendałem się dalej, unikając bliskości fasady ratusza w obawie przed straszliwym żarem, od pożogi bijącym. Okrążywszy zasię gmach, spostrzegłem dwóch mężów, co księgi i pliki papierów w pośpiechu wynosili ze środka i w stos ustawiali. Nie

wyglądało to na zwykłe łupiestwo – trudno wszak przypuszczać, by podczas plądrowania miasta ktokolwiek na książki uwagę swą zwrócił – a raczej na ratowanie dokumentów zagrożonych płomieniami, zbliżyłem się tedy, by okiem rzucić. Jak może pamiętacie waszmościowie, obeznany już byłem ze słowem drukowanym od czasu, kiedy w królewskiej stolicy Obojga Hiszpanii mieszkał, a to za sprawą przyjaźni, jaką darzył mnie mość Francisco de Quevedo (który obdarował mnie Plutarchem), lekcji łaciny i gramatyki, przez Klechę Pereza udzielanymi, zamiłowaniu, jakie sam żywiłem dla sztuki dramatycznej Lopego, oraz lekturom, którym tak chętnie oddawał się mój pan Alatryste, gdy miał sposobność się w nich zatopić.

Jednym z tych, co księgi wynosili i w stos na ulicy układali, był leciwy już Niderlandczyk o długich, jasnych włosach. Nosił się na czarno, jak tutejsi pastorowie, kołnierz miał powalany, a pończochy zszarzałe, aliści nie wyglądał na duchownego (o ile tak można nazywać kapłanów tego schizmatyka Kalwina, niech się smaży w piekle czy gdzie go tam, zasrańca jednego, diabli obracają). Wykoncypowałem w końcu, że musi to być jakiś sekretarz albo inny urzędnik miejski, co księgi chce przed ogniem uchronić. Poszedłbym tedy precz przed siebie, gdyby uwagi mej nie zwrócił drugi, który właśnie śród dymów, książkami objuczony, na dwór wychodził – nosił bowiem czerwoną wstęgę żołnierzy hiszpańskich. Był to młodzian bez kapelusza na głowie, z obliczem pokrytym potem i aż od sadzy czarnym – snadź wiele już razy zapędził się był w głąb pogorzelska. U pendentu wisiał mu rapier, na nogach widniały wysokie buty, całe zbrukane gruzem i popiołem, a rękaw jego kaftana tlił się i dymił, atoli właściciel jego zdawał się zgola tym nie przejmować. A kiedy nareszcie księgi na ziemi złożył i dostrzegł strużkę dymu z odzienia, ugasił je, klepiąc się parę razy niedbale dłonią. I teraz dopiero wzrok podniósł i na mnie spojrział. Lico miał

szczupłe, kanciaste, wąsik ciemny, jeszcze niezbyt gęsty, który przechodził pod dolną wargą w niewyraźną bródkę. Mógł liczyć sobie ze dwadzieścia, może dwadzieścia jeden wiosen.

– A ty czemu nie pomożesz? – burknął, widząc czerwony krzyżyk na mym kaftanie naszyty. – Będiesz stać tu jak jaki gamoń?

Co rzekłszy, rozejrzał się po okolicznych bramach, skąd przyglądały się im jakieś niewiasty z pacholętami, po czym otarł pot z twarzy osmalonym rękawem.

– Przebóg – mruknął – zaraz umrę z pragnienia.

I na powrót znikł w czeluściach ognia społem z tym w czerni, by kolejne książki przytargać. Ja chwilę podumałem i uznałem, że najlepiej będzie podbiec co sił w nogach ku najbliższemu domostwu, gdzie wedle strzaskanych i wyrwanych z zawiasów drzwi stała jakaś złężniona niderlandzka rodzina.

– Drinken¹⁶ – ozwał się i moje dwa dzbany spiżowe pokazałem, jednocześnie gestem naśladując picie i kładąc drugą dłoń na rękojeści mego sztyletu. Heretycy zrozumieli i słowo, i moje ruchy, zaraz bowiem napełnili dzbany wodą, ja zaś w mig wróciłem do dwójki osobników, co książki ustawiali w sterty. Ledwie dzbany me spostrzegli, w okamgnieniu wychylili je duszkiem z widoczną łapczywością, nim jednak z powrotem zanurzyli się w dymach, Hiszpan znowu zwrócił się ku mnie: – Dzięki – rzekł zdawkowo.

Ruszyłem za nim. Biesagi na ziemi zostawiłem, zrzuciłem z siebie aksamitny kaftan i poszedłem jego śladem – nie dlatego że uśmiechnął się, gdy mi dziękował, ani też dlatego zgoła, że rozczuliły mnie jego zaczerwienione od dymu oczy i osmalony rękaw, ale dlatego że raptem ów nieznan mi żołnierz uświadomił mi ważną prawdę: owóz czasami są rzeczy ważniejsze niżli łupiestwo. Choćbyś miał się obłowić w bogactwa

stukrotnie większe od twojej rocznej intraty. Zaczerpnąłem tedy powietrza, ile tylko płuca me zmieścić zdołały, osłaniając nos i usta gałgankiem z kieszeni wydobytym, schyliłem głowę, by nie uderzyć w rozżarzone belki, które lada chwila runąć mogły, i ruszyłem za tamtymi w głąb pogorzelska, gdzie na płonących regałach czekały jeszcze książki. Nadszedł wreszcie taki moment, kiedy wszystko wokół jednym wielkim, duszącym stało się upałem, pełnym fruujących węglików, wypalającym płuca przy lada oddechu, a większość książek w popiół się obróciła, w proch, który już nie miłuje, jak w cudnym i tak nierzeczywistym tutaj sonecie mości Francisca de Quevedo¹⁷ jeno w smętne resztki. A wraz z nimi w ów proch obracały się i przepadały niezliczone godziny skupienia, owoce miłości i wiedzy, żywoty wreszcie, które mogły wszak światło przynieść innym żywotom.

Odbyliśmy ostatnią wycieczkę, po której powała się zapadła przy akompaniamencie wybuchów i łoskotów tuż za naszymi plecami, my zaś stanęliśmy na dworze, ustami łąpczywie powietrze chwytając, i pozieraliśmy na siebie oniemiałymi oczami zażawionymi od dymu, cali potem przesiąknięci. U naszych stóp leżały ze dwie setki ocalonych ze spalonej biblioteki książek i dawnych zwojów. Jak zmiarkowałem, była to może dziesiąta część tego, co strawił ogień w środku. Odziany na czarno Niderlandczyk, znużony wysiłkiem, klęczał wedle uratowanego dobytku, kaszlał i płakał. Żołnierz tymczasem, kiedy już odetchnął, znów uśmiechnął się do mnie jak wówczas, kiedy wódę mu był podawał.

– Jak się zowiesz, chłopcze?

Wyprostowałem się nieco, dusząc w sobie kaszel.

– Íñigo Balboa – odparłem. – Z chorągwi kapitana mości Carmela Catona.

Mijałem się tu ciut z prawdą. W chorągwi owej służył, i owszem, kapitan Diego Alatryste, a zatem ja także, atoli w regimentach pachołkowie

znaczyli niewiele więcej niżli słudzy czy juczne muły. Nie mogłem tedy podawać się za żołnierza. Ale nieznanemu nie robiło to snadź nijakiej różnicy.

– Dziękuję, Íñigo Balboa – rzekł.

Uśmiech jeszcze bardziej oblicze mu rozjaśnił, całe lśniące od potu i czarne od sadzy.

– Któregoś dnia – dodał – przypomnisz sobie, czegoś dzisiaj dokonał.

Przebóg, niesamowite. Przecież nie mógł tego żadną miarą przewidzieć, ale jak sami waszmościowie zmiarkować mogą, trafił ów żołnierz w sedno, boć wybornie sobie tamtą chwilę przypominam. Wsparł bowiem wówczas jedną dłoń swą na moim ramieniu, a drugą potrząsnął moją prawicę ciepłym, mocnym uściskiem. Następnie zaś, słowa nie zamieniwszy z Niderlandczykiem, który księgi układał w mniejsze stosiki, jakby skarby miał przed sobą – dziś wiem, że tak było w istocie – ruszył prosto przed siebie.

Ładnych kilka lat upłynęło, nim się znowu z owym nieznanym żołnierzem spotkałem, któremu tamtego mglistego jesiennego dnia w Oudkerk pomagałem ratować książki z płonącego ratusza. I przez wszystkie te lata pojęcia nie miałem, jak się zwał. I później dopiero, kiedy sam wyrosłem na męża pełną gębą, szczęście dopisało mi i natknąłem się nań w Madrycie i w okolicznościach, które nijak mają się do niniejszej opowieści. On podówczas nie był już zwykłym żołnierzem, aliści, pomimo długich lat, jakie dzieliły nas od pamiętnego poranka we Flandrii, nie zapomniał, jak się nazywam. A i ja nareszcie dowiedziałem się tego samego o nim. Zwał się Pedro Calderón: pan Pedro Calderón de la Barca.

Ale wróćmy do Oudkerk. Po odejściu żołnierza i ja się z placu oddaliłem, chcąc poszukać kapitana Alatryste. Odnalazłem go w dobrym

zdrowiu z całą resztą drużyny wedle skromnego ogniska w ogródku za domem nieopodal nabrzeża kanału, wzdłuż murów miasta biegnącego. Kapitanowi i jego towarzyszom przypadł w udziale szturm na tę część grodu, ażeby barki tam zacumowane zażegać i tylne wrota zdobyć, co musiało odwrót odciąć broniącym się wrażym oddziałom. Kiedym dotarł do pana mego, dym z pozostałości zwęglonych barek snuł się wciąż nad kanałem, zasię na deskach nabrzeża, w ogrodach i okolicznych domostwach łącno dostrzec można było ślady niedawnych walk.

– Íñigo – ozwał się kapitan.

Jego zmęczonemu, z lekka nieobecnemu uśmiechowi towarzyszyło spojrzenie, które tak często gości w oczach żołnierzy po trudnych zmaganiach. Weterani z naszych regimentów nazywali je „ostatni widok”, ja zaś w toku mego we Flandrii pobytu nauczyłem się odróżniać też spojrzenia innych zgoła gatunków: zmęczone, zrezygnowane, przerażone czy spojrzenia tuż przed rozpoczęciem rzezi. Ale to spojrzenie pozostaje ci w oczach po tym, jak już zagoszczą w nich wszelkie inne – i takim właśnie powitał mnie teraz kapitan. Odpoczywał, siedząc na ławce, łokieć na stole oparłszy, z lewą nogą wyciągniętą, jakby mu dolegała. Na botach, co mu kolan sięgały, wciąż mnóstwo miał błota, a i jego rozpięty bury kaftan, na ramiona narzucony, cały był brudny. Pod spodem widziałem dobrze mi znany napierśnik z bawolej skóry. Kapeluszek kapitan położył na stole wedle pistoletu – jak zmiarkowałem, w bitwie użytego – oraz pasa z rapierem i lewakiem.

– Podejdz, ogrzej się.

Posłuchałem go z dużym ukontentowaniem, zerkając z ukosa na trupy trzech Niderlandczyków, nieopodal leżące. Jeden spoczywał na deskach nabrzeża, drugi pod stołem. Trzeci zasię, twarzą do ziemi, padł na progu domu z halabardą w ręku, która ni żywota mu nie zdołała ocalić, ni do

innego żadnego celu się mu nie przydała. Dostrzegłem, że człek ów kieszenie miał na nice wywrócone, zwycięzcy odarli go byli już z pancerza i butów, a u dłoni brakowało mu dwóch palców – ani chybi komuś nadzwyczaj było spieszno, by pierścieni psubrata pozbawić. Struga brudnoczerwonej krwi ciekła zeń skroś ogród aż do miejsca, gdzie zasiadał kapitan.

– Temu już nie zimno – rzekł jeden z żołnierzy.

Nie musiałem się doń odwracać, by wiedzieć, kto zacz. Silny akcent baskijski zdradzał Mendię, mego rodaka, Biskajczyka o brwiach zrośniętych i wielkiej siły, którego wąs niemal równie sumiasty był, co zarost pana mego. Kompanii dopełniali Curro Garrote, malagijczyk z Percheles¹⁸, o tak śniadej powierzchowności, że za Maura mógłby uchodzić, José Llop z Majorki, a także Sebastián Copons, druh kapitana Alatryste z wielu dawniejszych kampanii: drobny Aragończyk, suchy i twardy jak sukinsyn, którego oblicze zdało się jak wyciosane w kamiennych kolosach Riglos¹⁹. W pobliżu przechadzała się reszta drużyny: bracia Olivaresowie i Galicyjczyk Rivas.

Wszystkich ukontentował wielce widok mej osoby całej i zdrowej, wiedzieli wszak, jak ciężkie zadaniem dostał do wykonania przy moście zwodzonym, aliści nadmiernej wylewności z ich strony też nie doświadczyłem. Nie pierwszy to raz prochu się nawąchałem podczas tej flamandzkiej awantury, po wtóre zaś, takż i oni siła spraw musieli przemyśleć – a zresztą nie z takich byli, którzy fanfary wznoszą na cześć czynów, do jakich wojaka żołd królewski najzwyczajniej w świecie obliguje. Atoli w naszym wypadku – a ściślej mówiąc, w ich wypadku, jako że pachółkom nie przysługiwały ni zyski, ni żołd – od dawna oczu żołnierskich nie cieszył widok choćby ćwierci reala.

Diego Alatryste też nie powitał mnie wylewnie, nadmienilem już waszmościom, że uśmiechnął się jeno skąpo, ruszywszy wąsem, jakby inna rzecz myśl jego zaprzętała. Zmiarkowawszy zasię, że kręcę się niczym pies pocziwina, co przyjaznej pana ręki szuka, pochwalił mój kaftan z czerwonego aksamitu, za czym poczęstował mnie skibką chleba i kiełbaskami, jakie kompani jego piekli właśnie nad ogniskiem, przy którym jednocześnie sami ciepła zażywali. Nadal odzienie mieli mokre skutkiem całej nocy w kanale spędzonej, a na ich zatłuszczonych, brudnych i utrudzonych brakiem snu tudzież walką licach malowało się ogromne znużenie. Byli aliści w wybornych humorach.

Pozostali wśród żywych, wszystko poszło, jak byli sobie umyślili, miasto znów znalazło się w rękach katolickich i miłościwie panującego nam króla, a łup – sporo worków i tobołów, spiętrzonych w kącie ogrodu – okazał się wcale godziwy.

– Po trzech miesiącach bez żołądu – perorował Curro Garrote, czyszcząc pokrwawione pierścienie ściągnięte z ubitego Niderlandczyka – mamy przynajmniej na kwaterę.

Po drugiej stronie miasteczka rozbrzmiały trąbki i bębny. Mgła już się podnosiła, dzięki czemu zdołaliśmy dostrzec sznur wojska, który nadciągał groblą nad kanałem Ooster. Długie lance przypominały las trzciny, co zdąża przez pierzchające mgielne opary, a w ulotnym promieniu słonecznym, co jak straż przednia pojawił się na czele pochodu, zaśniły żelazne groty, moriony i pancerze, jako też ich odbicia w wodzie kanału. Kolumnę otwierała jazda i chorągwie z dobrze znanym, starym znakiem regimentów hiszpańskich: czerwony krzyż świętego Andrzeja, czyli burgundzki ²⁰

– To Bardasznurek – ozwał się Garrote.

„Bardasznurek” było przydomkiem, jakim stare wiarusy ochrzciły mości Pedra de la Daga, marszałka polnego Starego Regimentu z Cartageny. W

żołnierskiej mowie owych czasów „bardaszyć” znaczyło tyle – sumituję się tu przed waszmościami – co załatwiać się, czyli srać. Może w niniejszej opowieści brzmi to grubo, ale, do kroćset, byliśmy żołnierzami, a nie siostrzyczkami od świętego Placyda. W kwestii zasię sznurka, już mówię: owóż nikt, kto znał zamięrowanie, z jakim nasz marszałek polny wieszał własnych ludzi za naruszenie dyscypliny, nie mógł nijakich wątpliwości żywić, skąd przewisko się bierze. Zatem, że już skończę, ów Bardasznurek, szerzej znany pod zacnym nazwiskiem marszałka Pedra de la Daga, co na jedno wychodzi, zmierzał właśnie groblą gwoli objęcia Oudkerk drogą urzędową w posiadanie, a towarzyszyła mu chorągiew wsparcia pod wodzą kapitana Hernana Torralby.

– Omal południe – wymamrotał Mendieta z niesmakiem. – Kiedy robota już za nami, a jakże.

Diego Alatryste powoli powstał – z wyraźnym trudem, jak zmiarkowałem, snadź dolegała mu noga, którą trzymał był wyciągniętą. Wiedziałem, że rana to nienowa, licząca już z rok odniesiona w biodro w zaułku w Madrycie koło placu Mayor. Był to przedostatni raz, kiedy pan mój stanął oko w oko ze swym dawnym przeciwnikiem, Gualteriem Malatestą. Teraz, gdy wokół wilgoć panowała, odczuwał reumatyczne bóle, a i noc w wodach Ooster spędzoną trudno uznać za najlepsze po temu lekarstwo.

– Tedy i my się przyjrzyjmy.

Przyglądził sobie wąsy, przypiął rapier i lewak, pistolet za pas wsunął i sięgnął po swój szeroki kapelusz z wiecznie pomiętym czerwonym piórem. Wreszcie z wolna się ku Mendiocie zwrócił.

– Marszałkowie zawsze przybywają w południe – rzekł, ale po jego jasnych, zimnych oczach nie sposób było odgadnąć, czy poważnie gada, czy drwi.

– Po to właśnie nam pisane wstawać wcześniej.





II. NIDERLANDZKA ZIMA.



ijały tygodnie, miesiące, aż i zima okrutna nastąpiła, a lubo nasz generał, mość Ambrosio Spínola, na powrót wkładał jarzmo zbuntowanym prowincjom, przecież Flandria wymykała się wciąż, i tak dobrze się wymykała, aż do cna się nam wymknęła. A gdy mówię „wymykała się wciąż”, to abyście waszmościowie osobliwe baczenie dali na fakt, że jeno wojskowa machina hiszpańska utrzymywała na coraz słabszej więzi owe ziemie tak odległe, że kurier z pocztą, konie po drodze zmieniając, trzy tygodnie mitrężył, by do Madrytu dotrzeć. Od północy Stany Generalne, wspierane przez Francję, Anglię, Wenecję i innych wrogów naszych, zwierają buntownicze szyki, umocnione swym kalwińskim kultem, bardziej przydatnym w interesach tamecznych mieszczan i kupców niżli prawdziwa religia. Ta bowiem, staroświecka ciemność, nie zdołała uwieść tych, co wolą się układać z Bogiem pochwalającym zarobek i zysk, a przy tej sposobności i spod dalekiego, surowego jedynowładztwa kastylijskiego się wyzwolić. Położone od południa Stany katolickie ze swej strony lojalność nadal zachowywały, aliści i one już nie mogły zdzierżyć kosztów wojny, która ostatecznie osiemdziesiąt lat trwać miała, ani rozbojów i krzywd doznawanych od wojska, z czasem postrzeganego jako armia zaborcza. Co sprawiało, że

powietrze wokół mocno czyniło się popsute, a na dodatek jeszcze sama Hiszpania w coraz większym pogrążała się upadku: oto król poczciwy a nieporadny, faworyt przemyślny a władzy żądny, niepożyteczna magnateria, sprzedajni urzędnicy i kler równie głupi, co fanatyczny – wszyscy oni ciągnęli kraj nasz w otchłań zatracenia, a w tym marszu ku zagładzie porzucić Koronę chciały Katalonia i Portugalia. Tej ostatniej zresztą zamiar się koniec końców powiódł. Byliśmy otumanieni przez własnych królów, magnatów i duchownych, a także przez religijne i świeckie interesy, które na śmieszność wystawiały tych, co uczciwie chcą na swój chleb zapracować – nic tedy dziwnego, że niejeden Hiszpan wolał szczęścia szukać na bitewnych polach we Flandrii albo w dzikich ziemiach Ameryki, wszakże pragnął żyć jak pan, bez konieczności płacenia i ciężkiego harowania. Oto czemu warsztaty i pracownie przestały wartko pracować, z Hiszpanii odpłynęły ludzkie masy i bogactwa, niejeden z nas zasię stał się zrazu zbrojnym awanturnikiem, następnie żebrzącym szlachciurą, by na koniec przemienić się w wynędzniałego Sancza Pansę. Tak owóż wyborne dziedzictwo, jakie po dziadach swych przejął nasz miłościwy pan, Hiszpania, nad którą słońce nie zachodziło – bo gdy w jednym zakątku zachodziło, już oświetlało inny – trzymała się jeszcze jeno na złocie, z Indii galeonami przywożonym, i na lancach zaprawionych w boju regimentów, tychże sławetnych lancach, które tak pięknie unieśmiertelnił (za naszą sprawą) Diego Velázquez niedługo potem. Lubo więc pogrążaliśmy się w upadku, to przecież jeszcze nie wzgardę budziliśmy, jeno trwogę. Jakże akuratnie i słusznie brzmią te oto strofy, które winniśmy innym nacjom w twarz rzucić ile sił:

Któż o wojnie tu nadmieniał?

Zali pamięć na nie myli?

*Ledwie wspomnisz o Kastylii,
Drży ze strachu cała Ziemia?*

Wybaczcie tu, waszmościowie, że na skromności mi nie zbywa i z taką dezynwolturą siebie w tym krajobrazie umieszczam. Musicie wszelako wiedzieć, że po tylu miesiącach kampanii flamandzkiej ów Íñigo Balboa, któregoście poznali przy okazji awantury z dwoma Anglikami i historii z klasztorem, już dawno młokosem być przestał. Zima roku dwudziestego czwartego, którą Stary Regiment z Cartageny spędził na leżach w Oudkerk, dopadła mnie w pełnym rozkwicie sił młodzieńczych. Wspominałem wyżej, jako to prochu jużem się był zdążył do syta nawąchać, a lubo z racji wieku lancy, rapiera ni arkebuza jeszczem chwycić nie mógł, by do walki stanąć, funkcja pachołka w drużynie, gdzie pospołu z kapitanem Alatryste służyłem, sprawiła, że i stał się weteranem rozmaitych działań wojennych. Nabrałem iście żołnierskich instynktów, potrafiłem na pół mili zwęszyć podpalony lont arkebuza, po świcie ocenić co do uncji kaliber każdego pocisku armatniego czy muszkietowego, wykazywałem wreszcie wyborny talent w czynności, którą my pachołkowie zwaliśmy „zbieraniem spyży”, a więc w myszkowaniu grupami po okolicy, by drew i pożywienia dla żołnierzy i dla nas samych naznosić. Takowa umiejętność okazywała się na wagę złota, gdy – jak w owym czasie – wojna spustoszyła leżące wokół ziemie, intendentura cierpiała niedostatek i każdy musiał radzić sobie własnym przemysłem. Nie zawsze była to bułka z masłem, o czym niechaj świadczy, że pod Amiens Francuzi i Anglicy zabili osiemdziesięciu myszkujących za spyżą pachołków, wśród których i dwunastoletni byli. Zaiste, nieludzkie to zachowanie nawet jak na wojnę, pomszczone zresztą później przez Hiszpanów z nawiązką, gdy dwie setki wojaków płowego Albionu zapoznało się bliżej z naszymi nożami. Powiedziano wszak, że kto

mieczem wojuje i tak dalej. Owszem, w ciągu kilku lat i kilku kampanii poddani angielskich władczyń i władców nieźle skórę nam przetrzepali, ale też i my nie stalismy z założonymi rękami. A gdyby nie to, że tak prędkie, blade i skutkiem picia piwa wielce wrzaskliwe plemię z nich było, nigdy by w pysze swej zwady z nami nie szukali. Dodajmy wreszcie, że o ile Anglika do boju pchała duma narodowa, nami kierowała – cóż poradzić! – narodowa rozpacz, skądinąd też nie faramuszką. Toteż srogo swą skórą przypłacili swe zdobycze i tamci, i tylu innych: Bóg dał, Bóg wziął mą nogę, Lecz bez niej dalej także walczyć mogę.

*Słabo myślą luterańskie bluźnierce,
Że nogi mi tną, ostawiając ręce!*

Ale, ale. Prawda jest taka, że owej szarej, mętnej, mglistej i dżdżystej zimy zbierałem spyżę, plądrowałem i staczałem potyczki, zapuszczając się we flamandzką ziemię, zgoła nie tak wyschniętą jak znaczna część naszego kraju – bo i tutaj nie zasłużyliśmy na uśmiech Pana Boga – ale zieloną jak niwy mego rodzinnego Oñate, lubo bardziej płaską i rzekami tudzież kanałami wszędy poprzerzynaną. Tak to wykazałem nadzwyczajną biegłość w podkradaniu kur, wyrywaniu rzep i podtykaniu sztyletu pod szyję równie jak ja wygłodniałym włościom miejscowym, by ich nędznej strawy pozbawić. Dokonałem tedy – nie tylko wówczas, ale i w latach, co nadejść miały – wielu rzeczy, których wspomnienie sromotą mnie napawa. Aliści przeżyłem zimę, poratowałem mych towarzyszy i zmęźniałem w całym straszliwym znaczeniu tego słowa: Nim wąs mi się sypnął, jam skrami sypał, *Gdy w dłoni mej błysnął rapier złowrogi...*²¹

A tak właśnie napisał był o sobie sam wielki Lope. Postradałem też dziewictwo. Albo winienem rzec może: cnotę, jak wysławia się Klecha

Pérez. Jako że zasię byłem naówczas już na poły mężem i na poły żołnierzem, bodaj ona jedna pozostała mi jeszcze do stracenia. Aliści to już opowieść sekretna i osobista i nie zamierzam jej tu waszmościom szczegółowo referować.

Drużyna Diega Alatryste stanowiła główną siłę chorągwi kapitana mości Carmela Catona, a składała się z prawdziwej śmietanki wojennego plemienia: ludzi z ikrą, z żelazem obeznanych i zgoła chimer nieznających, nawykłych do cierpienia i walki, starych weteranów, którzy mieli już w kościach przynajmniej kampanię w Palatynacie albo służbę regimentarską w Neapolu lub na Sycylii, jak to się miało w przypadku malagijczyka Curra Garrote. Inni, jak José Llop z Majorki czy Biskajczyk Mendieta, już swoje we Flandrii przewojowali, nim nastął dwunastoletni rozejm, a niektórzy, na przykład Copons z Hueski i sam Alatryste, mogli pieczętować się udziałem w kampaniach prowadzonych jeszcze za króla Filipa Drugiego, którego niechże Bóg w opiece swej zachowa, pod jego to bowiem sztandarami obydwaj wiarusi – że Lopego przywołam – sypali skrami z żelaza, a im tymczasem sypał się wąż. Jedni odchodzili z naszych szeregów, innych wcielano, tak czy inaczej drużyna liczyła dziesięciu do piętnastu chłopów i nie miała specjalnych poruczeń ni zadań krom tego, by szparko się przemieszczać i inne oddziały wzmacniać w zależności od sytuacji – po temu zasię zbrojna była w pół tuzina arkebuzów i tyleż muszkietów. Dowodzona również była w sposób osobliwy, na jej czele nijaki kapral nie stał, pozostawała bowiem do bezpośredniej dyspozycji kapitana Catona, który już to rzucał ją na linię walki społem z innymi drużynami, już to przeznaczał do indywidualnych działań, jako to wypady, zwiady, potyczki i zagony. Jak już nadmieniałem, wszyscy w boju byli zaprawieni i na rzeczy się znali i snadź z tej właśnie przyczyny, lubo żadnego kaprala czy innego

zwierzchnika im nieznaczono, sami cichą umową najwyższą władzę przyznali Diegowi Alatryste. Natomiast co się trzech eskudów tyczy, jakie przynależne były dowodzącemu drużyną, te pobierał kapitan Catón, albowiem on na stanowisku tym figurował w papierach regimentu, co się dodawało do sumy czterdziestu eskudów, jakie otrzymywał w ramach żołdu, z dowodzenia chorągwią wynikającego. Lubo kapitan należał do ludzi surowych, jak wskazywało jego nazwisko, i jeżeli dyscyplina nie szwankowała, był w obejściu znośny, przecież jednak ledwie usłyszał brzęk, zaraz krzyczał „moje!”. Ani jednemu marawedi nie przepuścił, a nawet zabitych i dezertarów nie skreślał z rejestru gwoli przywłaszczenia sobie ich wypłat – o ile nadchodziły. Co zresztą było praktyką nader powszechną i na obronę mości Catona rzecz tu można dwie rzeczy: nigdy nie wzbraniał się wspomóc żołnierza, gdy okoliczności tego wymagały, a dwukrotnie zaproponował Diegowi Alatryste żołd kaprański, wszelako za każdym razem pan mój przyjęcia awansu odmówił. Catón wielką estymą kapitana Alatryste darzył, co wesprę opowieścią o tym, jak to ledwo cztery lata wcześniej pod Białą Górą, podczas pierwszego nieudanego ataku hrabiego de Tilly²² i drugiego szturm pod wodzą generała Boucquoy²³ i pułkownika mości Guillerma Verdugo, Alatryste pospołu z kapitanem Catonem – a także z Lopem Balboą, mym ojcem – ramie w ramie parli w górę zbocza, bijąc się okrutnie o każdą piędź ziemi wśród głązów trupami pokrytych. Rok zasię później na równinie Fleurus, kiedy to wprawdzie mość Gonzalo de Córdoba²⁴ bitwę wygrał, atoli Stary Regiment z Cartageny niemal ze szczętem wytrzebiony został, opierając się licznym atakom jazdy, owóż wtedy to Diego Alatryste był jednym z ostatnich Hiszpanów, co nieustraszenie bronili sztandaru, dzierżonego przez samego kapitana Catona, albowiem i chorąży, i inni oficerowie paść w boju zdążyli.

W tamtych czasach takie rzeczy, do diaska, coś jeszcze dla prawych ludzi znaczyły.

We Flandrii padało. I klnę się na Boga, że lało jak z cebra całą tę przeklętą jesień, a potem także całą przeklętą zimę, i wkrótce jednym wielkim grzęzawiskiem stała się owa błotnista, niepewna równina, którą wszędy przerzynały rzeki, kanały i groble, rzekłbyś – ręką biesa wytyczone. Padało dni całe, całe tygodnie i miesiące, aż do cna przesiąkł wodą cały szary krajobraz pod niskimi chmurami: obca ziemia, gdzie mowa dziwna, ludzie zarazem nienawistni i bojaźń przed nami żywiący, nizina zborykana przez podłą pogodę i wojnę, pozbawiona nawet jakiegokolwiek osłony przed chłodem, wichrami i wodą. Nie uświadczyłbyś tu ni brzoskwiń, ni fig, ni śliwek, ni pieprzu, ni szafranu, ni oliwek, ni oliwy, ni pomarańczy, ni rozmarynu, ni sosen, ni wawrzynu, ni cyprysów wreszcie. A i w miejsce słońca na niebie jawił się blady krążek, co leniwie sunął za gęstą zasłoną z chmur. Miejsce, skąd przybyli nasi mężowie w stal i skóry odziani, leżało szmat drogi stamtąd, i tylko w duchu śnić o nim można było, przemierzając tę niegościnną krainę – tak daleko, jakoby na świata krańcu. Zawzięci i butni żołnierze, co wiele stuleci po upadku cesarstwa rzymskiego rewizytę właśnie składali na północy, sami czuli, jak mało ich i jak długa droga dzieli ich od najbliższej przyjaznej okolicy. Już Makiawel pisał wszak, że walor naszej piechoty z czystej konieczności się bierze, i musiał tu florentyńczyk przyznać (na przekór własnym humorom, iż nigdy Hiszpanów nie mógł ścierpieć): *walczą oni bowiem w obcych krajach, gdzie nie mają innego wyboru, jak tylko zwycięstwo lub śmierć; wiedzą przecież doskonale, że cofać się nie mają gdzie, stąd nic dziwnego, że stali się dzielnymi żołnierzami*²⁵. Jeżeli o Flandrii mowa, wszystko to akuratnie się zgadza: liczba naszych nigdy nie przekroczyła tam 20 tysięcy i nigdy nie było nas

więcej jak 8 tysięcy naraz. Atoli wystarczyła i ta skromna liczba, byśmy przez półtora stulecia byli panami Europy: wszak wiedzieliśmy, że wiktoria jeno przeżyć nam pozwoli wśród obcych plemion i że żadne miejsce nie jest wystarczająco blisko, byśmy tam salwować się ucieczką mieli, jeśli by nas pokonano. Dlatego to właśnie biliśmy się aż do końca z prastarą zawziętością, z odwagą kogoś, kto na nic nie liczy, z żarliwością religijną i z zuchwałością, którą jeden z naszych kapitanów, mość Diego de Acuña, z największym mistrzostwem oddał w swym sławetnym, namiętym i posepnym toaście:

Za Hiszpanię – kto jej broni, Śmierć mu piękny tren wydzwoni; Kto zaś sprzeda ją zdradziecko, Temu nawet własne dziecko Oczu niech nie zamknie ani Krzyża w dłonie niech nie włoży, Niech odejdzie gdzie w otchłanie, A nie w grób pod znakiem Bożym²⁶.

Padalo, jak już waszmościom wspominałem, jakby się w niebiosach cysterna oberwała, także owego poranka, kiedy kapitan Catón do naszych wysuniętych głęboko oddziałów z inspekcją przybył. Kapitan pochodził z Bierzo w ziemi leońskiej, mężem był roslým, sześć stóp wzrostu mierzącym, a chcąc uniknąć niedogodności z grząskiego terenu wynikłych, zdobył skądś holenderskiego konia pociągowego, zwierzę stosowne do postury jeźdźca, krzepkie a postawne. Diego Alatryste stał wedle okna, o parapet oparty, wpatrując się w strumienie wody bijące o grube, zamglone szyby, kiedy ujrzał dowódcę, jak wierzchem zbliżał się po szczycie grobli, w oklapniętym od deszczu kapeluszu na głowie i w woskowanym płaszczu na ramionach.

– Zagrzej wina – ozwał się do niewiasty, co za jego plecami stała.

Powiedział to w swym ubogim flamandzkim – brzmiało to: *verwarm wijn* – i jął dalej przez okno popatrywać, niewiasta zasię już nędzny ogień torfem rozniecała w piecyku i sięgała po cynowy dzban, który na stole stał śród kawałków chleba i resztek ugotowanej kapusty, dojadanych przez Coponsa, Mendię i pozostałych wiarusów. Wszędy brud znać o sobie dawał, ściany i powała osmalone były sadzą z piecyka, a woń ciał w domu zebranych, przemieszaną z wilgocią sączącą się skroś dachówki i belki, mogłeś kroić sztyletem bądź rapierem, jakich pełno tu było, nie wspominając o arkebuzach, napierśnikach z kurdybanu tudzież wszelkiej innej odzieży i dawno niechędożonej bielizny. Zalatywało kazerną, zimą i ubóstwem. Zalatywało Flandrią i wojskiem.

Szarawe światło z dworu podkreślało szramy i zmarszczki na nieogolonym, wąsatym obliczu Diega Alatryste i przydawało jasnemu wejrzeniu jego jeszcze większego chłodu. Stał w samej koszuli, kaftan miał jeno na ramiona narzucony, a dwa lonty arkebuza pod kolanami zawiązane przytrzymały mu cholewy połatanych butów ze skóry. Spod okna się nie ruszając, patrzył, jak kapitan Catón zsiadł z konia przed domostwem, popchnął drzwi i chwilę później stanął już wewnątrz, wodę z kapelusza i płaszcza strząsając, złorzecząc pod nosem w żywe kamienie, przeklinając wodę, błoto i całą Flandrię.

– Jedzcie dalej, waszmościowie – rzekł – skoro już macie co.

Żołnierze, którzy gotowali się powstać, powrócili do skromnego jadła, Catón zasię, którego ubranie jęło parować, ledwie do piecyka się zbliżył, bez zbędnych korowodów przyjął od Mendię skibkę czerstwego chleba i miskę z odrobiną kapusty. Za czym zmierzył wzrokiem niewiastę, co mu dzban z winem podawała, objął palcami naczynie, ażeby palce trochę ogrzać, i upił nieco trunku, z żołnierza przy oknie stojącego oka nie spuszczać.

– Na Boga, kapitanie Alatryste – ozwał się po chwili – nieźleście się tu waszmościowie urządzili.

Osobliwie było słyszeć, jak kapitan chorągwi tytułuje „kapitanem” Diega Alatryste. Co wszelako dowodzi, że ten ostatni wraz ze swym przydomkiem znany był powszechnie i darzony szacunkiem także przez przełożonych. Carmelo Catón w każdym razie powiedział to, chciwie spoglądając na niewiastę, Flamandkę trzydzieści kilka wiosen liczącą, płowowłosą jak niemal wszystkie niewiasty w owym kraju. Nienadzwyczajną mogła chlubić się nadobnością, dłonie jej czerwone były skutkiem ciężkiej pracy, a zęby niezbyt równe. Aliści skórę miała białą, fartuch okrywał nader szerokie biodra, a sznurki gorsetu ciasno opinały obfite piersi – takie to niewiasty malował w owej epoce Peter Paul Rubens. Jawiła się przeto niczym zdrowa gęś, widok nierzadki u włościanek flamandzkich, gdy jeszcze w pełnej gotowości żywotnej pozostają.



...zmierzył wzrokiem niewiastę, co mu dzban z winem podawała...

I nie tylko kapitan Catón, ale i najdurniejszy rekrut łącznie mogli odgadnąć ze sposobu, w jaki ona i Diego Alatryste ignorowali się wśród ludzi, że wszystko to dziać się musiało ku wielkiemu utrapieniu jej męża, pięćdziesięcioletniego Flamanda o cierpkim wejrzeniu, który dwoił się i troił, byle tylko usłużyć godnie tym śniadym, strasznym cudzoziemcom, z

całego serca mu nienawistnym, a zrzędzeniem gorzkiego losu skierowanym do jego domostwa na zakwaterowanie. Męża, który mógł jeno rozjuszenie własne i rozpacz przełykać każdej nocy, kiedy małżonka wysuwała się bezszelestnie od jego boku, po chwili zasię dochodziły go jej jęki głuche, z wielkim trudem hamowane, a wtórowało im skrzypienie siennika z kukurydzianego listowia, gdzie sypiał Alatryste. Czemu tak się działo, pozostanie zapewne tajemnicą prywatnego życia tego stadła. W każdym razie Flamandowi sytuację całą wetowano we w miarę godziwy sposób: dom jego i obejście pozostawały bezpieczne, czego nie można powiedzieć o wszystkich miejscach, gdzie kwaterowali Hiszpanie. Zgoda, człek ów nosił poroże, atoli żonie jego przyszło obcować z jednym wojakiem, i do tego zgoła dwornym, a nie z całą zgrają i pod przymusem. Wiecie, waszmościowie, we Flandrii jako i na każdej wojnie, kto utyskiwał, temu ciężko było: w końcu największym przywilejem było wśród żywych pozostawać. Żywym snadź był i nasz pechowy małżonek.

– Rozkazy przywożę – powiedział oficer. – Wypad traktem na Geertruidenberg. Bez nazbyt gorliwego mordowania... Języka trzeba złapać.

– Ilu brać? – zagadnął Alatryste.

– Przyda się ze dwóch, trzech. Jak można wnosić, nasz generał Spínola podejrzewa, że Niderlandczycy szykują odsiecz dla Bredy na łodziach, korzystając z coraz wyższego stanu wód z racji deszczu... Byłoby dobrze, gdyby nasi zapuścili się na jaką milę w tamtą stronę i potwierdzili te supozycje. A wszystko cichaczem, bez rozgłosu. Pełna dyskrecja.

Cichaczem czy przy głośnych fanfarach, wędrówka całą milę błotnistym traktem w tej ulewie nie była fraszką – nikt wszakże ze zgromadzonych w izbie mężczyzn nie okazał zdziwienia. Wszyscy wiedzieli, że ten sam deszcz zatrzymał Niderlandczyków w ich kazernach i okopach i że każdy

chrapałby tam w najlepsze, choćby cały oddział Hiszpanów prześliznął mu się koło nosa.

Diego Alatryste przyglądał wąsy dwoma palcami.

– Kiedy ruszamy?

– Już.

– Jaką siłą?

– Cała drużyna.

Znad stołu dobiegło czyjeś bluźnierstwo, tedy roziskrzzone oczy kapitana Catona natychmiast zerknęły w stronę siedzących.

Wszyscy wszelako łby mieli spuszczone. Alatryste rozpoznał głos Curra Garrote, któremu zaraz posłał wymowne spojrzenie.

– Może – ozwał się z wolna kapitan Catón – któryś z waszmościów panów żołnierzy ma na ten temat coś do powiedzenia?

Odstawił gar niedopitego grzańca na blat i wsparł dłoń na rękojeści rapiera. Spod wąsa wyjrzały mu wielce nieprzyjemne, żółtawe i mocne zęby. Dowódca przypominał psa myśliwskiego, gotowego do ataku.

– Nikt nie ma nic do powiedzenia – odparł Alatryste.

– To i lepiej.

Garrote uniósł głowę, rozeźlony owym „nikt”. Był to chudy i smagły fanfaron, o zaroście skąpym i kędzierzawym na podobieństwo Turczynów, przeciw którym wojował na galerach neapolitańskich i sycylijskich. Włosy miał długie i przetłuszczone, złoty kolczyk w lewym uchu, w prawym zaś żadnego, bo go – jak powiadał – bisurmański handżar połowy narządu tego pozbawił nieopodal Cypru. Aliści inni skłonni byli raczej wytłumaczenia szukać w sprzeczce, do jakiej w Raguzie doszło w pewnym lupanarze.

– A ja, owszem – ozwał się – trzy rzeczy chciałem rzec do mości kapitana Catona... Po pierwsze, syn mojej matki nie zważa, czy mu

maszerować przyjdzie dwie mile wśród deszczu, wśród Niderlandczyków, Turczynów czy innego kurewskiego pomiotu...

Mowa jego brzmiała twardo a dumnie, nawet szorstko. Kompani jego popatrywali nań wyczekująco, niektórzy z widocznym przyzwoleniem. Weterani jeden w drugiego, do dyscypliny wojskowej byli aż nadto nawykli, atoli i zuchwałość nie była im obca – snadź działania zbrojne z każdego szlachcica czyniły. O dyscyplinie, z jakiej słynęły stare regimenty, pochlebnie wyrażał się także ów Anglik, niejaki Gascoigne ²⁷, gdy w *Furii hiszpańskiej*, to jest relacji o zdobyciu Antwerpii, pisał: Walonowie i Niemcy okazują niesubordynację równie wielką, co podziw, jaki wzbudzają z kolei Hiszpanie swoją dyscypliną.

Zważcie, że mówi to Anglik o Hiszpanach, zatem coś musi być na rzeczy. Co zaś się arogancji tyczy, stosownym zdaje się wspomnieć tu opinię mości Francisca de Valdez ²⁸, wprzódy kapitana, potem sierżanta-majora i wreszcie marszałka polnego, co też swoje wiedział, gdy w swym *Zwierciadle dyscypliny wojskowej* pisał, że: *Najczęściej odrazę czują, gdy rozkazom mają się podporządkować. Osobliwie piechota hiszpańska, o kompleksji bardziej cholerycznej niżli inne nacje z uwagi na klimat, niewielką cierpliwość posiada. W przeciwieństwie bowiem do powolnych i flegmatycznych Flamandów, co to nigdy nie kłamali, w złość nie wpadali i wszystko czynili nader spokojnie – lubo z drugiej strony tak niezmiernie skąpy to naród, że ich zegary pewnie za darmo czasu nie podadzą – Hiszpanie zawsze pewni byli swej odwagi i czekającego niebezpieczeństwa, to zasię sprawiało, że w opresji jak za dotknięciem różdżki stawali się wzorcem żelaznej dyscypliny i waleczności, a jednocześnie z dala od pola bitwy bynajmniej subtelną mową nie szafowali wobec przełożonych. Ci ostatni przeto woleli podchodzić do nich nader ostrożnie i dyplomatycznie. Nie należało do rzadkości, lubo groziła za to*

śmierć przez powieszenie, że prosty żołnierz szlachtował nożem sierżanta albo i kapitana z zemsty za prawdziwe lub urojone szkody, hańbiące kary względnie złe słowo.

Świadom tego wszystkiego Catón zwrócił się ku Diegowi Alatryste, jakby chciał mu spojrzeniem pytanie zadać, napotkał atoli jeno niewzruszone oblicze. Alatryste uważał bowiem, że każdy powinien sam brać odpowiedzialność za to, co mówi i robi.

– Wasza miłość wspominałeś o trzech rzeczach... – powiedział Catón ze stężoną miną i złowróbnym spokojem. – Jakież są dwie pozostałe?

– Od dawna nie fasują nam ubrań, chodzimy w łachmanach – ciągnął niewzruszony malagijczyk. – Nie docierają dostawy prowiantu, a że zakazano nam łupienia, to i głód w oczy zagląda... Te szczwane flamandzkie lisy skrywają najlepsze smakołyki, a jeśli nawet nie, to cenią je sobie na wagę złota – tu z urazą wskazał na gospodarza, który przypatrywał im się z drugiej izby. – Jestem pewien, że gdyby go połaskotać sztyletem, ten pies otworzyłby grzecznie spiżarnię albo znalazłby zakopany słoń pełen zacnych florenów.

Kapitan Catón słuchał tego cierpliwie i z pozornym spokojem, atoli dłoni z rękojeści rapiera nie zdejmował.

– A trzecia sprawa...?

Tu Garrote uniósł nieco głos. W sam raz tyle, by szczyptę buty dodać, nie posuwając się wszakże za daleko. Dobrze miarkował, że i Catón nie zdzierży zbyt donośnych słów, czy to wypowiedzianych przez któregoś z weteranów, czy przez samego papieża. Co najwyżej przez króla, ale cóż z tego.

– Trzecia i najważniejsza, panie kapitanie, to że ci tutaj panowie żołnierze, jakieś ich słusznie i trafnie nazwać raczył, od pięciu miesięcy nie dostają żołdu.

Tym razem zgodny pomruk obiegnął stół dookoła. Śród siedzących jeno Aragończyk Copons milczenie zachował, wpatrując się w trzymany w dłoniach ułomek chleba, który zapamiętale kruszył palcami do miski i zjadał kawałek po kawałku.

Kapitan na powrót się ku Diegowi Alatryste zwrócił, nadal pod oknem stojącemu. Ten wytrzymał jego spojrzenie, ust wszelako nie otworzył.

– Podtrzymujesz to waszmość? – spytał Catón ponuro.

Alatryste z kamienną miną wzruszył ramionami.

– Ja podtrzymać mogę to jeno, co sam powiem – sprecyzował. – Czasem też mogę podtrzymać to, co moi kompani czynią... Na razie atoli ni ja niczem nie powiedział, ni oni niczego nie zrobili.

– Ależ ten tu pan żołnierz uraczył nas swoją opinią.

– Opinie każdy ma na własną rachubę.

– I dlatego tak waszmość milczysz i patrzysz jeno na mnie, panie Alatryste?

– Dlatego milczę i patrzę na pana, kapitanie.

Catón zlustrował go badawczo i skinął z wolna głową. Znali się na wylot, poza tym oficer umiał po rozsądek sięgnąć i odróżniał jeszcze słowa stanowcze od obelżywych. Po chwili przeto dłoń z rapiera zdjął i poskrobał się w podbródek, za czym spojrzeniem o zebranych potoczył, kładąc rękę ponownie na broni u pasa.

– Nikt żołdu jeszcze nie dostał – odrzekł wreszcie, kierując się ku Diegowi Alatryste, jakby to on, nie Garrote, z pretensją się zwracał i odpowiedzi oczekiwał. – Ni waszmościowie, ni ja sam. Ni nasz marszałek polny, ni nawet sam generał Spínola!... A zważcie, że mość Ambrosio to genuńczyk i z bankierskiej rodziny pochodzi!

Diego Alatryste słuchał tych słów w milczeniu, wbił jeno jasne oczy w mówiącego. Catón nie służył był we Flandrii przed dwunastoletnim

rozejmem, Alatriście zasię tak. Podówczas rokosze na porządku dziennym stały. Obydwaj wiedzieli świetnie, że mój pan niejedyn bunt w życiu widział, gdy wojsko odmawiało pójścia do walki, ponieważ całe miesiące i lata musiało się bez wypłaty obyć. Sam wszelako nigdy dotąd nie znalazł się w grupie buntowników, nawet wtedy, gdy ciężki stan kasy państwowej uczynił z rokoszu jedyną drogę, jaką oddziały mogły zaległe należności uzyskać. W przeciwnym razie pozostawało tylko złupienie wrażego grodu, jak w przypadku Rzymu i Antwerpii:

*Głód dokucza podczas wojny,
Lecz gdy skarżę się na nędzę,
Wnet mi pokazują twierdzę;
Siła w niej Flamandów zbrojnych²⁹.*

Wszelako w czas tej kampanii – wyjąwszy miejsca szturmem zdobyte w pełnym ogniu walki – generał Spínola nakłaniał wojsko, by nie stosowało przemocy wobec ludności cywilnej, a to, by i tak wątlej nici sympatii nie nadszarpnąć.

Jeżeliby Breda miała kiedyś paść, nie zostałaby złupiona, trud zasię tych, co ją oblegali, nie znalazłby zadośćuczynienia. Kiedy więc groziła ponura perspektywa, że ni łupu, ni wypłaty nie będzie, żołnierze zaczęli marsowe spojrzenia rzucać i szemrać po kątach. I największy baran potrafiłby spostrzec, że coś się święci.

– Poza tym, o ile wiem – dodał Catón – tylko wojsko innych nacji domaga się żołdu przed walką.

To także była trafna uwaga. Gdy sakiewka była pusta, pozostawało jeszcze dobre imię, a trzeba pamiętać, że regimenty hiszpańskie za punkt honoru poczytywały sobie, by nie domagać się zaległych wypłat ni buntu

nie podnosić przed bitwą, inaczej mógłby kto podejrzewać, że czynią tak ze strachu przed walką. Nawet na wydmach Nieuwpoort i pod Aalst zbuntowane już oddziały rokosz zawiesiły, gdy czas bitwy nastał. Czym różniliśmy się od Szwajcarów, Włochów, Anglików i Niemców, którzy nierzadko wypłatą spóźnionych pieniędzy warunkowali pójście w ogień walki. Hiszpanie zawsze rokosz wzniesli po zwycięstwie.

– Sądziłem – wycedził Catón, że mam do czynienia z Hiszpanami, a nie z Germanami.

Przytyk swoje zdziałał, wojacy poruszyli się niespokojnie na siedziskach, i tylko słychać było, jak Garrote mruczy „przebóg”, jakby to jego matkę wezwano na świadka. W przejrzystych oczach Diega Alatryste zamajaczył uśmiech, albowiem słowa oficera podziały jak oliwa na wzburzone fale: przy stole nie padło już ani jedno zdanie sprzeciwu, a i sam kapitan, wyraźnie rozluźniony, odwzajemniał uśmiech Diega Alatryste. Dwa łyse konie.

– Waszmościowie ruszacie natychmiast – powtórzył dobitnie Catón.

Alatryste znów przesunął dwoma palcami wzdłuż wąsów, po czym popatrzył na swych towarzyszy.

– Słyszeliście, co powiedział pan kapitan – rzekł.

Tamci jęli się podnosić, Garrote z wielkim ociąganiem, pozostali z rezygnacją. Sebastián Copons, drobny, chudy, węzłasty i twardy niczym winorośl, już od dłuższej chwili stał i pakował swój dobytek, nie czekając na niczyj rozkaz. Rzekłbyś: ani zaległy żołd, ani wszelkie inne wypłaty, ani nawet skarbiec perskiego króla nie zdołałyby go z pantałyku zbić. Był fatalistą jak Maurowie, którym jego wojowniczy przodkowie kilka wieków wstecz gardziele podrzynali. Diego Alatryste patrzył, jak tamten wkłada kapelusz i płaszcz i wychodzi na dwór, by powiadomić o nowinach resztę drużyny, rozlokowaną w sąsiednim przysiółku. Obydwaj przewojowali już

wiele kampanii, od Ostendy po Fleurus i teraz znów pod Bredą, ale przez te wszystkie lata Aragończyk wypowiedział może w sumie ze trzydzieści słów.

– Do kroćset, byłbym zapomniał – wykrzyknął Catón.

Jeszcze raz ucapił dzban i dopijał duszkiem wino, spozierając na Flamandkę, która ze stołu właśnie jęła sprzątać. Ust od naczynia nie odrywając, sięgnął za pazuchę, wydobył list i wręczył go Diegowi Alatryste.

– Będzie z tydzień, jak do waszmości przyszło.

Krople deszczu rozmyły nieco adres na zalakowanym papierze. Alatryste szybko zerknął na słowa wypisane na odwrocie: Od mości Francisca de Quevedo y Villegas, gospoda Bardiza, w Madrycie.

Niewiasta, przechodząc, musnęła go jedną ze swych bujnych, jędrnych piersi. Żelazo szczękało, do pochew wsuwane, lśniła nasmarowana skóra. Alatryste chwycił swój napierśnik z bawolej skóry i zapiął go nieśpiesznie, za czym sięgnął po pendent z rapiernym i lewakiem. Ulewa dalej bębniła o szyby.

– Co najmniej dwóch jeńców – podkreślił Catón.

Żołnierze byli już gotowi. Spod kapeluszy i fałdów mocno pocerowanych i byle jak połatanych płaszczy wyglądały wąsiska i brody. Broń naszykowali jeno lekką, sposobną do wyznaczonych im zadań, żadnych muszkietów, lanc czy innych ciężarów, jeno sama prosta i zacna stal toledańska, sahuńska, mediolańska i biskajska: rapiery i sztylety. Tu i ówdzie kolba pistoletu wystawała spod ubrania, aczkolwiek broń palna przydatną być nie mogła z racji przemokłego od deszczu prochu. Jeszcze kilka skibek chleba, parę sznurów, by było czym Niderlandczyków skępować. I te puste, obojętne spojrzenia żołnierzy kolejny raz sposobiających się, by stawić czoło niepewnemu losowi, nim wreszcie kiedyś do kraju swego powrócą, cali szramami pokryci, i ni spocząć gdzie nie będą

mieli, ni wina się napić, ni drew, by strawę przyrządzić. Oczywiście o ile nie uzyskają wcześniej – w żołnierskiej gwarze takich nazywano „ziemianami” – siedmiu piędzi ziemi flamandzkiej na wieczne odpoczywanie i wieczną do Hiszpanii tęsknotę.

Catón wino dopił, Alatryste go do drzwi odprowadził i oficer odjechał, więcej ozora nie strzegając. Patrzyli, jak odjeżdża groblą na grzbiecie swej chabety, mijając wracającego do chaty Sebastiana Coponsa.

Alatryste czuł wbite w siebie spojrzenie gospodyni, ale go nie odwzajemnił. Nie tłumacząc, zali na kilka godzin, czy też na zawsze odchodzą, pchnął drzwi i wyszedł na deszcz, czując, jak woda wsiąka mu w popękane podeszwy. Wilgoć przenikała go aż do szpiku kości, powracał ból dawnych ran. Kapitan westchnął z cicha i ruszył przed siebie, słysząc za sobą, jak kompani jego również człapią w błocie. Szli w kierunku grobli, gdzie oczekiwał ich przemoczony Copons, nieruchomy niczym drobny, twardy posąg.

– Przesrane życie – powiedział ktoś.

Nie rzekłszy ni słowa więcej, ze zwieszonymi głowami, owinięci w mokre płaszcze, Hiszpanie zapuścili się gęsiego w szary flamandzki krajobraz.

*Od mości Francisca de Quevedo y Villegas do mości Diega Alatryste y Tenorio Sary Regiment z Cartageny * Poczta wojskowa we Flandrii
Nadzieję żywię, drogi kapitanie, że niniejszy list zastanie Was całego i zdrowego. Co się mej osoby tyczy, piszę do waszmości rychło po tym, jakem był z napadu złych humorów wyszedł, które wiele tygodni w cierpieniu mnie trzymały i wysokich gorączkach. Bogu dzięki, jestem już zdrów, mogę przeto posłać waszmości wyrazy mego wielce serdecznego afektu.*

Jak mniemam, jesteś waszmość zatrudniony pod Bredą, o której to ekspedycji na Dworze plotki z ust do ust wędrują, jako że siła od niej zależy: zarówno przyszłość naszej monarchii, jak i naszej katolickiej wiary, a także dlatego, że – jak powiadają–wyposażona i uruchomiona w tym zamiarze machina wojenna nie ma równych sobie od czasów, kiedy to Juliusz Cezar Alezję oblegał. Jak się tu przypuszcza, dla Niderlandczyków nadziei nie ma i twierdza winna wpaść wam w ręce niczym dojrzały owoc. Atoli niektórzy szepczą, że mość Ambrosio Spínola nader flegmatycznie do dzieła się zabiera i że ów dojrzały owoc, jeśli w odpowiednim czasie nie zostanie zjedzony, może zrobaczywieć. Niezależnie od wszystkiego wiem, że odwagi nigdy waszmości nie brakowało, życzę ci przeto szczęścia w boju, w okopach, wykopach i podkopach i we wszelakich innych szatańskich wynalazkach, od jakich roi się aż w waszmościnej wielce hałaśliwej profesji.

Pewnego razum był usłyszał, jak WM mówi, że wojna to czyste rzemiosło, i pojąłem cię aż nadto dobrze – bywa, że trudno mi odmówić waszmości zupełnej racji. Tu w Mieście Stołecznym wróg nie nosi napierśnika ni hełmu, lecz togę, sutannę lub jedwabny kaftan, a jeśli atakuje, to nigdy wprost, zawsze z ukrycia. W tej materii musisz waszmość wiedzieć, że wszystko przebiega po staremu, jeno gorzej. Jeszcze pokładam ufność w hrabim–diuku, lękam się aliści, że i to nie pomoże. Nam Hiszpanom rychlej łez zabraknie niżli powodów do płaczu, albowiem próżny to wysiłek ślepemu ofiarować lampę, głuchemu słowa, idiotcie naukę, a monarsze prawość. Ci, co zwykle, nadal tutaj sytości zażywają, nasz możny pan o jasnej czuprynie nadal do każdej rozgrywki przystępuje z waletem, damą i królem w rękawie, a kto uczciwy, gwałt samemu sobie bez ustanku zadawać musi. Jeśli o mnie pytasz, ugrzęzłem na amen w całą wieczność trwającej sprawie o Wieżę Jana Opata i toczę boje dzień w dzień

z tą przekupną i pożałowania godną sprawiedliwością, którą raczył nas Bóg obdarzyć, widząc, że piekło pełne już jest wynaturzeń. I śpieszę zapewnić cię, kapitanie, że nigdy dotąd takiego szelmy nie napotkał, jaki urzęduje na placu Providencia. I na ten właśnie temat pozwól, że uraczę cię sonetem, którym natchnęły mnie ostatnie moje mitręgi: Przez ciebie gmach sprawiedliwości runął, Boś sprzedał prawa, wieprzu, miast ich użyć; Mieszek miły ci, paragraf cię nuży; Nad Jazona przedkładasz Złote Runo.

Kram, nie ława, twą winien być trybuną, Prawego człeka słowo twe oburzy, Bo waga twa Mamonie łacniej służy, Śród łkań ty zacną cieszysz się fortuną.

Kto wręcza wkupne, tego nazwiesz bratem.

Do biednego po radę się nie udasz; Gdzie ja kodeks, tam ty widzisz opłatę,

Wyrok wydając, okiem chytrze mrugasz.

Tedy idź umyć ręce wraz z Piłatem Lub trzosik weź i powieś się jak Judasz³⁰.

Nadal jeszcze pominąć poezję i doczesną sprawiedliwość, wszystko idzie jak najlepiej. Na Dworze gwiazda twego druha Quevedy pnie się w górę, na co wyrzekać nie mogę, na nowo poważaną jestem osobą na pokojach u hrabiego–diuka i w samym Pałacu, czego przyczyny upatrywać trzeba zapewne w tym, że ostatnimi czasy mowę mą na postronku trzymam, a i za rapier tak łącznie nie chwytam, choć jak zwykle świerzbi mnie i język, i dłoń. Żyć atoli trzeba, a jako że zaznałem już i banicji, i procesów, i turmy, i grabieży majątku, nie poczytam sobie za hańbę drobnego rozejmu, który co nieco mą fortunę skromną ochroni. Przeto każdego dnia powtarzam sobie,

że królom i możnym panom dzięki zanosić należy, lubo i nie byłoby za co, nie zasię skargi, lubo i za co łatwo by się znalazło.

Piszę waszmości, że rapier schowany trzymam, a zgoła nie całą prawdę ci przy tym mówię. Owóż kilka dni temu obnażyłem mą toledańską klingę, by płazem zdzielić, jak sługę jakiego albo człeka nikczemnego urodzenia, pewnego poecinę, padalca i nędznika, nazwiskiem Garciposadas, który swą haniebną twórczością śmiał znieważać nieszczęsnego Cervantesa, Panie świeć nad jego duszą, utrzymując, że ów Don Kichota napisał lewą ręką³¹ i że księga to próżna, wszelakiej substancji pozbawiona, proza licha i źle ułożona, i że skoro siła ludzi to czyta, snadź jest to książka prostacka, z której pożytek znikomy i niczego nazajutrz już z niej nie pamiętasz. Ów głównopis to oczywista nierozłączny druh tego samcołożnika Gongory, co wszystko tłumaczy. Pewnego tedy wieczoru, gdym bardziej gotów był wina zacnego niżli winy szukać, natknąłem się na łajdaka u wnijscia do gospody Longinosa, sławnej busoli kultystów, ostoï migotów, trykliniów, purpurancji i odmętów cienistego władztwa Posejdonowego³² a wraz z nim na dwóch jego kamratów, kultystów domokrążnych, co dzban za nim noszą: na bakałarza Echevarrię i licencjata Ernesta Ayalę – dwóch łachudrów, co żółcią sikają i utrzymują, jakoby prawdziwa poezja pisana była żargonem, a raczej żargongoryzmem, że zrozumieć ją mogą jeno wybrańcy, to jest oni sami i im podobni, sami zasię czas marnotrawią, szkalując idee, które pod naszymi piórami się lęgną, bo snadź nie potrafią czternastu wersów w jeden sonet sklecić. Owóż szedłem ja tam wraz z diukiem de Medinaceli i kilkoma jeszcze kawalerami, wszyscy w maskach, wszyscy przynależni do konfraterni San Martín de Valdeiglesias³³ 2), i rychło ostrośmy uszu natarli tym huncwotom (nawet pół rany żadnemu nie zadając), aż wreszcie nadeszli pachółkowie porządek zaprowadzić, tedy my się oddaliliśmy – i koniec pieśni.

A właśnie, wspominając o szelmach, taką mam nowinę o waszmościny wielbicielu Luisie de Alquézar, że imć pan sekretarz królewski coraz większe względy na Dworze zdobywa, że coraz poważniejsze sprawy państwowe w swą pieczę otrzymuje i że, jako i wszyscy inni w tym światku, bardzo szybko zbija niemałą fortunę. Jak wiesz waszmość, ma on jeszcze siostrzenicę, dziewczkę wielkiej nadobności, która jest dworką naszej Królowej. Wracając do jej wuja, masz szczęście, żeś szmat drogi stąd. Po powrocie z Flandrii atoli miej się na baczności. Nigdy nie wiadomo, jak daleko jadę swym gadzina pluć potrafi.

A skoro już o gadzinach mowa, muszę WM donieść, że kilka tygodni temu napotkałem bodaj owego Włocha, z którym łączą cię chyba zaległe porachunki. Zdarzyło się to przed oberżą Luda, przy Cava Baja, i jeżeli to on był we własnej osobie, zdał mi się w zacnym zdrowiu, z czego wnoszę, że po ostatnich waszmości z nim dysputach całkiem już wydobrzał. Popatrzył na mnie przez chwilę, jakby mnie rozpoznawał, za czym poszedł swoją drogą. Tak przy okazji, to podejrzany typ, w żałobnych barwach od stóp do głów, oblicze ma szpetnie ospą podziobane, a u pasa monstrualnych rozmiarów rapier. Ktoś, z kim dyskretnie sprawę tę omówiłem, powiadomił mnie, że człek ów ma pod sobą całą bandę zbójców i łotrzyków, których teraz na swe utrzymanie wziął sam Alquézar, posługując się nimi jako apostołami w swych nieczystych kombinacjach i zdradzieckich zamachach. Jak mniemam, cała ta gromadka w taki czy inny sposób może jeszcze stanąć WM na drodze, wszak kto znieważonego z życiem ostawia, z życiem ostawia też mściciela.

Gorliwie odwiedzam Gospodę Pod Turkiem, której to bywalcy, a waszmości druhowie, nalegają, bym i od nich przesłał ci życzenia jak najlepsze, osobliwie zasię poleca ci się Caridad Cyganicha, która – jak powiada, a nie mam powodu kłamstwa tu jakiego upatrywać – waszmości w

osobliwie dobrej pamięci zachowuje i także zachowuje izbę twą od strony ulicy Arcabuz. Tryska zdrowiem, co, owszem, widać. Byłbym zapomniał, Martín Saldaña dochodzi do siebie po pewnej nocnej utarczce z jakimiś zawadiakami, którzy usiłowali „uciec się” pod Świętego Ginesa. Raz go skaleczyli, ale wyliże się z tego. Jak słyszałem, sam trzech ubił.

Nie chcę zajmować waszmości więcej czasu. Proszę jeno, byś przekazał serdeczności ode mnie młodemu Íñigowi, który snadź już kawalerem jest na schwał i godnym rywalem samego Marsa, ma bowiem w WM mistrza równego Wergilemu i Achillesowi. Jeśli łaska, odśwież mu sonet mój o młodości i przezorności, a może jeszcze dodasz tę oto strofę, która częstą jest mi towarzyszką:

Kto ranny, nowych zasług nie zdobywa, Lecz ból, cierpienie i udrękę szczerą; Nie zaszczytem jest służba, a chimera; Żołnierski los mordęgą się nazywa.

... Lubo cóż takiego rzec mu mogę, co WM nader dobrze nie jest wiadome.

Niech Bóg ma waszmości w swej opiece.

Twój

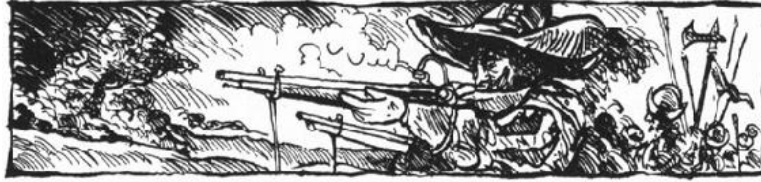
Francisco de Quevedo y Villegas

Postscriptum: Bardzo ckni się nam do waszmości na schodach pod Świętym Filipem tudzież na premierowych pokazach sztuk Lopego. I zapomniałbym dodać waszmości, że miałem dostać list od pewnego młodzieńca, którego może sobie przypominasz, ostatniego żyjącego potomka jednej nieszczęściem dotkniętej rodziny. Jak wnoszę, załatwił

jakieś swoje porachunki w Madrycie i nienękany, pod przybranym nazwiskiem do Indii zdołał popłynąć.

Pomyślałem, że ta nowina w dobry nastrój waszmości wprawi.





III. BUNT.



otem, gdy pył już opadł, nuże wszyscy przygadywać, czy do tego dojść musiało – prawda aliści jest taka, że nikt niczego nie uczynił gwoli zażegnania sprawy. Winy nie ponosi tu zima, bo owego roku we Flandrii nie przyniosła lutych mrozów ni śniegów – lubo z drugiej strony deszcze mocno nam się uprzykrzyły, do czego dodam jeszcze brak prowiantów, wyludnienie wsi i trud, jaki w oblężenie Bredy włożyć nam przyszło. Wszystko to wszelako należało do dobrodziejstw inwentarza, a hiszpańskie oddziały zwyczajne były cierpliwie znosić mozoły wojenne. Co innego zwłoka z wypłatą: niejeden weteran zdążył był już posmakować ubóstwa, gdy do zwolnień i przegrupowań doszło podczas dwunastoletniego rozejmu z Niderlandczykami, i na własnej skórze przekonał się, że służba pod rozkazami naszego monarchy oznaczała mnogie wyrzeczenia, kiedyś szedł na śmierć, i skąpy żołd, kiedy wśród żywych ostawałeś.

Wspominałem już nieraz, jako to wielu starych wiarusów, okaleczonych albo z blaszanymi tubami pełnymi wojennych dyplomów, los skazał na żebrzy po ulicach i placach naszej nędznej Hiszpanii, która korzyści nieodmiennie tym samym ludziom przyznawała, a przecież to tamci właśnie, co własnym zdrowiem, krwią i życiem szafowali, by podtrzymać

prawdziwą wiarę, Stany Generalne i kiesę naszego króla, nader grzecznie i raptownie kończyli w piachu albo w zapomnieniu. Głód szerzył się w Europie, w Hiszpanii, w armii, a regimenty już wiek okrągły walczyły z całym światem, lubo przestawały miarkować, w imię czego to czynią – czy dla odpuszczenia grzechów, czy może po to, ażeby roztańczony i rozweselony Dwór w Madrycie mógł się dalej czuć panem ziemi. Poczciwym żołnierzom nie było nawet dane poczuć, że zajmują się porządną profesją, ponieważ nie dostawali za nią pieniędzy, a nic tak dyscypliny i sumienia nie psowa, jak głód.

Nie dziwota tedy, że zwłoka z wypłatą żołdu we Flandrii znacznie sytuację zawikłała, bowiem owej zimy niektóre regimenty, owszem, otrzymały jakieś połowiczne sumy, w tym także nasi cudzoziemscy sojusznicy, tymczasem regiment z Cartageny ani eskuda nie obaczył. Przyczyn tego do dziś pojąć nie mogę, aczkolwiek w swoim czasie rozprawiano o złym zarządzaniu groszem publicznym przez naszego marszałka polnego, mości Pedra de la Daga, a także o jakiejś mętnej historii ze zniknięciem pieniędzy lub może z ich ukryciem, darujcie, waszmościowie, ale sam w głowę zachodzę. Owóż siła spośród piętnastu regimentów hiszpańskich, włoskich, burgundzkich, walońskich i germańskich, które obręcz wokół Bredy zaciskały pod ścisłym dowództwem mości Ambrosia Spínoli, miało za co wyżyć, tymczasem nasz, rozproszony na mnogie posterunki z dala od miasta, znalazł się wśród tych, którym królewskiego żołdu poskąpiono. Czego efektem były paskudne humory. Jak bowiem pisał Lope w *Natarciu na Maastricht*:

*Póki żyw, podsyć w nim wiarę,
Daj mu strawy, daj mu wody;
Długoż cierpieć ma od głodu*

Pod przekrzywionym sztandarem?

*Ja zaklinam się na wszystko,
Że malowanego króla
Bronić mogę w trudzie, w bólach,
Ale nie o suchym pysku!*³⁴

Nie od rzeczy będzie tu dodać, że nasze pozycje nad kanałem Ooster były najbardziej narażone na ewentualne wraże podjazdy, wszak, co wybornie wiedzieliśmy, Maurycy Nassau³⁵, generał zbuntowanych prowincji, organizował właśnie wojsko, by z odsieczą Bredzie przyjść, za murami której siedział drugi Nassau, Justyn³⁶, społem z czterdziestoma siedmioma kompaniami niderlandzkimi, francuskimi i angielskimi – te nacje jakoś osobliwie, jak waszmościom wiadomo, zawsze lubowały się w dolewaniu swojej oliwy do naszego ognia. Ani chybi, nasze siły katolickie stały obozem wystawione jak na półmisku, o dwanaście godzin marszu do najbliższego wiernego nam miasta, tymczasem zaś Niderlandczycy mieli do swoich najwyżej trzy, może cztery godziny drogi. Regiment z Cartageny miał rozkaz powstrzymać atak, który mógłby zaskoczyć naszych od tyłu, dzięki czemu wojska oblegające miałyby czas należycie natarcie przygotować i nie byłyby zmuszone ani do haniebnej rejterady, ani do nierównej walki na dwie strony. Tedy kilku rozproszonym drużynom przypadło zadanie, w wojskowym żargonie nazywane „straconą szpicą” – polegało ono zasię na akcji zbrojnej, która wszelako dawała jej uczestnikom niejakię szansę przeżycia, lubo złowieszcze imię zdawało się podpowiadać bardziej pesymistyczny wariant. Śród obarczonych takową misją znalazła się i chorągiew kapitana Catona, iże rekrutowała się z wojska zaprawianego w trudach i niedolach wojennych, zdolnego walczyć o każdą piędź ziemi

nawet bez dowództwa ni rozkazów, jeśliby tak niecna fortuna zarządziła. Snadź cierpliwość części żołnierzy wystawiona została na zbyt ciężką próbę – lubo zaznaczyć tu śpieszę, że nasz marszałek polny, mość Pedro de la Daga, znany pod obelżywym przezwiskiem Bardasznurek, osobliwie konflikt rozniecił swymi odstręczającymi manierami, jakie zgoła nie przystoją ni dowódcy hiszpańskiego regimentu, ni człekowi zacnego urodzenia.

Pamiętam, że owego posepnego dnia świeciło blade słońce i lubo było to słońce niderlandzkie, napawałem się nim do woli, siedząc na ławce u wnijsia do domu i z ogromnym ukontentowaniem i pożytkiem czytając książkę, którą kapitan Alatryste zostawił mi, bym się w lekturze doskonalił. Było to pierwsze, wielce sponiewierane i plamami wilgoci pokryte wydanie pierwszej części *Przemysłnego szlachcica Don Kichota z Manczy*, drukowane w Madrycie w piątym roku naszego stulecia – ledwie sześć lat przed mym narodzeniem – przez Juana de la Cuesta: wyborna powieść pióra pocziwego mości Miguela de Cervantes, który człekiem był głębokiego umysłu, nieszczęśliwie zakochanym we własnej ojczyźnie. Gdybyż bowiem nasz cudowny kaleka przyszedł na świat Anglikiem albo zabojadem, inna byłaby śpiewka, za życia jeszcze doczekałby się hołdów, a nie pod postacią pośmiertnej chwały, bo taką jeno nasz Kainowy naród rezerwuje najczęściej dla swych najlepszych synów. Siła uciechy miałem z książki, z opisywanych w niej trafów i wydarzeń, do głębi poruszało mnie wzniosłe szaleństwo ostatniego błędnego rycerza oraz świadomość – którą Diegowi Alatryste zawdzięczam – że w najświetniejszym momencie naszej historii, kiedy to galery z hiszpańską piechotą ruszyły przez zatokę Lepanto przeciwko straszliwej flocie tureckiej, za rapier chwycił tam także pewien waleczny żołnierz, właśnie sam mość Miguel, biedny i wierny wiarus, za

kraj swój walczący, za swego Boga i swego króla. Podobnie później czynili Diego Alatryste i mój rodzic, a i mnie w przyszłości los takowy czekał.

Owóż czytałem sobie owego poranka na słońcu, przerywając co czas jakiś, by podumać nad soczystymi rozważaniami, w jakie księga ta obfituje. Ja także miałem wszakże swą Dulcyneę, jak może, waszmościowie, pamiętacie – atoli moje niepomyślne zachody miłosne wynikały nie z pogardy mej bogdanki, jeno z jej przewrotności, czego snadnie dowiodły już wcześniejsze opowiedziane przeze mnie przygody. Lubo jednak omal honoru i życiam nie postradał w ich wyniku – wspomnienie pewnego talizmanu wciąż dziurę w sercu mym na wylot wypalało – nie byłem zdolny zapomnieć jasnych loków, oczu błękitnych niczym madryckie niebo ni uśmiechu, z jakim snadź sam diabeł Adama skłonił, za pośrednictwem Ewy, by wbił zęby w przesławne jabłko. Obiekt uczuć mych musiał liczyć teraz, jakem skalkulował, trzynaście bądź czternaście wiosen, a gdym ją sobie wyobrażał na Dworze śród parad, zabaw tanecznych, paziów, gładyszów i fircyków, pierwszy raz czułem ukłucie czarnej zadry zazdrości. I ani moja z dnia na dzień coraz większa werwa młodzieńcza, ni niebezpieczeństwa we Flandrii czyhające, ni bliskość markietanek i ladacznic, co za wojskiem zawsze ciągną, ni same Flamandki – wobec których, jak mi Bóg miły, Hiszpanie znacznie mniejszą wrogość okazywali niżli wobec ich ojców, braci i mężów – nie zdołały sprawić, bym zapomniał o Angelice de Alquézar.

Takem sobie właśnie siedział, kiedy pogłoski i niepokojące wieści przeszkodziły mi w dalszej lekturze. Zarządzono ogólny przegląd regimentu i wszędzie widać było żołnierzy, jak broń i ekwipunek gotują, albowiem sam marszałek polny kazał stawić się oddziałom na równinie w pobliżu Oudkerk, owego miasteczka, któreśmy jakiś czas wcześniej krwawo wzięli i które stało się kwaterą główną garnizonu hiszpańskiego na

północny wschód od Bredy. Mój druh Jaime Correas, przybyły dopiero co z siłami drużyny chorążego Coto, opowiadał mi podczas na milę długiego marszu do Oudkerk, że przegląd wojska, zarządzony z dnia na dzień, miał za cel rozpatrzenie mocno nieprzyjemnych konfliktów z naruszeniem dyscypliny, jakie poprzedniej nocy skłóciły poważnie żołnierzy z oficerami. Huczało już o tym we wszystkich oddziałach i wśród giermków, gdyśmy tak maszerowali groblą ku pobliskiej równinie, a rejuwach był taki, że nawet przez sierżantów rzucone rozkazy ludzi mitygujące nie zdołały go zgoła uciszyć. Jaime, objuczony dwiema krótkimi lancami, dwudziestofuntowym hełmem miedzianym i muszkietem, do jego drużyny należącym – ja zaśię dźwigałem arkebuzy Diega Alatryste i Mendiety, przepełnione biesagi z cielejącej skóry i siła butli z prochem – wprowadzał mnie po drodze w szczegóły. Jak się zdaje, podczas fortyfikowania Oudkerk bastionami i okopami zlecono prostym żołnierzom, by trawę wyrywali i faszyny naznosili, kusząc ich wypłatą, która ulżyłaby im w nędznym żywocie, jaki był udziałem nas wszystkich z powodu opóźniającego się żołdu i niewystarczających dostaw żywności. Innymi słowy, żoład, który należał im się zwyczajną koleją rzeczy, miał im zostać wypłacony, o ile dodatkowo zakaszą rękawy, i na koniec każdego dnia mieliby dostać uzgodnioną stawkę. Wielu przystało na te warunki, aliści niektórzy szum podnieśli, przekonując, że skoro jest gdzieś brzęcząca moneta, to opóźnienia zdarzyły się wcześniej niżli rozkaz fortyfikowania miasta, i że nikt pracować nie powinien, ażeby otrzymać to, co mu się i tak sprawiedliwie należy. I że łącniej wolą cierpieć dalej niedostatek, niżli w taki sposób go oddalać, bo niepodobna, by tak haniebnie głód wygrywał z honorem. I jeszcze, że prawdziwemu szlachcicowi (a każdy żołnierz takowym się mienił) bardziej snadź przystoi, by padł z nędzy i reputację swą do grobu zabrał, niżliby życie zachował, zatrudniając się przy łopatach i gracach. Od słowa do

słowa ludzie w grupki skupiać się jęli, huczek poszedł, iż sierżant pewien czynem znieważył arkebuzera z chorągwi kapitana Torralby, tamten zasię, lekko jeno poszkodowany, pospołu z kompanem swym – lubo sierżanci stopień rozpoznać musieli po halabardzie – za sztylety ucapili i w mig żelazem podoficera pogłaskali, cudem chyba do Wieczności go nie posyłając. Skutkiem czego teraz oczekiwało nas publiczne wymierzenie kary obydwu winnym, a pan marszałek polny winszował sobie, ażeby cały regiment krom tych, co strażę pełnili, świadkiem był całego wydarzenia.

– Powiesić ich – rozkazał mość Pedro de la Daga.

W grobowej ciszy głos marszałka polnego zabrzmiał na równinie niczym krótkie, twarde szczeknięcie. Kompanie nasze uformowane były w trzy boki ogromnego czworokąta. Pośrodku każdej sterczał sztandar, wokół niego zasię stali pancerni ze swymi lancami, a na skrajach arkebuzerzy. Cały regiment w sile dwóch tysięcy zachowywał milczenie i spokój tak wielki, że lecącego ponad nami gza łącno można było posłyszeć. W innej sytuacji widok równych szeregów przedstawiałby się wybornie, lubo odzież nie najprzedniejszą mieli nasi na sobie, połatana, tu i ówdzie nawet postrzępioną, a jeszcze gorzej przedstawiała się rzecz z butami – aliści ich rynsztunek wypolerowany był nieskazitelnie i akuratnie wedle regulaminu, każdy napierśnik, morion, grot lancy, lufa arkebuza i wszelka inna broń lśniły w świetle dnia, aż miło: *mucrone corusco*³⁷ jak bez uchyby powiedziałby regimentarski kapelan, ojciec Salanueva, gdyby właśnie był trzeźwy. Wszyscy mieli na ubraniu spłowiałe czerwone wstążki albo naszyte na napierśnik (względnie, jak ja, na kaftan) karminowe krzyże świętego Andrzeja, zwane także krzyżami burgundzkimi: były to, jakem już był nadmieniał, znaki, dzięki którym Hiszpanie rozpoznawali się w ogniu walki. Na czwartym boku czworokąta, zaraz wedle chorągwi całego

regimentu, otoczony swym sztabem i gwardią osobistą złożoną z sześciu niemieckich halabardników, siedział w siodle mość Pedro de la Daga. Dumną głowę miał odkrytą, szyję spowijała mu flamandzka kreza koronkowa, spływająca na zbroję z taszkami, kutą z przedniej stali mediolańskiej, przy pasie zwisał mu rapier damasceński; dłonie pana marszałka polnego okrywały rękawiczki z łosiowej skóry, prawa wsparta na biodrze, lewa trzymała cugle.

– Na suchej gałęzi – dorzucił.

Zaraz też jął wolty czynić, powodując koniem za pomocą krótkich pociągnięć cuglami, ażeby wszystkie dwanaście kompanii podziwiać jego oblicze mogło – jak gdyby usta chciał zamknąć wszystkim, którym oponować by do głowy przyszło przeciw takiemu wyrokowi, co do kary śmierci dokładał jeszcze dyshonor sznura i pozbawiał skazańców choćby towarzystwa zielonych gałązek. Ja społem z innymi giermkami stałem przyciśnięty do naszego szyku, z dala od niewiast, ciekawskich i pospolitego gminu, którzy z oddalenia widowisku się przypatrywali. Znajdowałem się kilka kroków ledwie od drużyny Diega Alatryste i łącznie dostrzec mogłem, jako to niektórzy żołnierze w ostatnich szeregach, osobliwie Garrote, szemrać poczęli, słysząc takie słowa. Sam Alatryste atoli stał nieporuszony, ze wzrokiem wbitym w marszałka polnego.



Dumną głowę miał odkrytą, szyję spowijała mu flamandzka kreza koronkowa...

Mość Pedro de la Daga mógł dobiegać pięćdziesiątki. Był to niewysoki Kastylijczyk z Valladolid o żywych oczach i takimże umyśle, co znaczne miał w armii doświadczenie i niewiele respektu dla podwładnych – ponoć niemiłe jego usposobienie brało się z flegmatycznych humorów ciała jego, to jest częstych zaparc. Cieszył się osobliwymi faworami samego naszego generała Spínoli oraz możliwych protektorów w Madrycie. Zasłużył się już jako regimentarz podczas kampanii w Palatynacie, a dowodzenie regimentem z Cartageny objął po tym, jak pod Fleurus mości Enriquemu Monzonowi kula z falkonetu wystrzelona nogę urwała. Przewisko „Bardasznupek” nie wzięło się z powietrza: nasz marszałek należał do tych, którzy jak Tyberiusz wolą bojaźń i nienawiść wzbudzać u wojska i tą drogą

dyscyplinę wdrażają, co w niczym nie przeczyło temu, że mężem był walecznym i gardził niebezpieczeństwem w równym stopniu, co własnymi żołnierzami – jak wspomniałem wyżej, otaczał się halabardnikami niemieckimi – a głowę miał nie od parady, gdy o sprawy militarne chodziło. Na koniec powiem, że skąpy był nad wyraz, oszczędny w łaskach i okrutny w kar wymierzaniu.

Wysłuchawszy wyroku, obydwaj podsądni ani nawet nie mrugnęli – między innymi po temu, że miarkowali należycie, jak takie sprawy zazwyczaj się rozstrzyga, a snadź kto sierżanta zasztyletuje, temu karty kłamać nie mogą. Znajdowali się pośrodku czworokątnego szyku, przez regimentarskiego profosa pilnowani, głowy mieli odkryte, a ręce za plecami spętane. Jeden był starym wiarusem z niejedną blizną, siwy i o sumiastych wąsach, on też pierwszy był rękę podniósł i on też teraz bardziej spokojny się zdawał. Drugi, chudy i z nader gęstą brodą, wyglądał na młodszego. O ile zasię ten bardziej wiekowy cały czas wzrok podniesiony miał i spoglądał, jakby cała sprawa nie jego dotyczyła, ów chudy oznaki przygnębienia zdradzał, okiem rzucając to na ziemię, to na kompanów swych, to znów na kopyta konia pana marszałka polnego, stojącego nieopodal. Atoli obydwaj trzymali się zgoła dzielnie.

Na znak przez profosa dany dobosz w bęben uderzył, a trębacz mości Pedra de la Daga odegrał fanfarę, by wagę wydarzenia podkreślić.

– Czy podsądni coś rzec jeszcze pragną?

Poruszenie niejakię śród kompanii się uczyniło, a gdy żołnierze uszu jęli nastawiać, las pik zdał się skłaniać ku przodowi na podobieństwo ładu, który pod wiatru tchnieniem się pochyla. I wszyscyśmy ujrzeli, jako to profos podchodzi do oskarżonych i głowę nadstawia ku starszemu, słuchając, co tamten ma do powiedzenia, następnie zasię spogląda na marszałka polnego, który zaraz głową skinął – nie dla dobroćliwości swej,

ale ponieważ taki obowiązywał zwyczajowo ceremoniał. I wówczas po równinie rozległ się głos siwego żołnierza, który powiadał, że wiele już wojen ma za sobą i że sumiennie, podobnie jak jego kompan, wszelkie powinności wypełniał aż do tego dnia, że śmierć ponieść to rzecz w tej profesji zwyczajna, ale że umrzeć na skutek „choroby sznura”, czy to na zielonej gałęzi, czyli też na suchej, czy na jakiej tam licho wskaże, to, do diaska, jawna obelga wobec mężczyzn, którzy całe życie w portkach chodzą. Tedy, skoro już mają obydwaj życie postradać, upraszają obydwaj, by dokonano tego za pomocą arkebuz, co się należy im jako Hiszpanom i ludziom z ikrą, a nie wieszano ich jak lada włościan. A jako że cała sprzeczka wybuchła z powodu oszczędności, do jakich wojsko było zmuszone, wnoszą także obydwaj, iżby pan marszałek polny, gwoli zaoszczędzenia na pociskach, przyjął od niego jego własne kule, z zacnego ołowiu z Escombreras odlane, których całkiem spory zapasik nosił w swej prochownicy – wszak tam u kaduka, dokąd zaraz potem ich pošlą, i tak już się na nic amunicja mu nie przyda. I żeby w takim stanie rzeczy wyekspediowano ich bez zaległego od pół roku żołdu, nieważne, sznurem, arkebuzem czyli też w tanecznych podskokach.

Co rzekłszy, wiarus ramionami wzruszył z obliczem obojętnym, za czym splunął na ziemię stoicko a siarczyście, prosto między własne buty. Jego towarzysz splunął również i na tym skończyło się całe gadanie. Nastąpiło długie milczenie, po którym, z wysokości swego wierzchowca, mość Pedro de la Daga, wciąż z prawicą na biodrze wspartą, za nic mając wyłożone przed chwilą racje, ozwał się sucho: „Powiesić ich”. Natenczas wśród chorągwi wielki rumor się podniósł, który oficerów wielce zaniepokoił, szeregi burzyć się jęły, niektórzy żołnierze nawet miejsca swe opuścili, gromko pomstując, i na nic zdały się wysiłki sierżantów i kapitanów, by kres tej ruchawce położyć. A ja, w urzeczeniu wielkim całe zamieszanie

obserwując, spojrzałem w tym momencie na kapitana Alatryste, by zmiarkować, po której stronie stoi. I zobaczyłem, że powoli kręci głową, jakby nieraz już podobnych wydarzeń świadkiem być mu przyszło.

Rokosze we Flandrii, zrodzone z niekarności, jaką złe rządy powodują, były chorobą, która podkopywała prestiż całej monarchii hiszpańskiej. Upadek tegoż w zbuntowanych prowincjach, a także w tych, które pozostały wierne, więcej krzywd wyrządził wzburzonemu oddziałom niżli całemu wojennemu przedsięwzięciu. Za moich czasów tą jeno drogą można było wypłat się domagać, a sytuacja tym gorszą się jawiła, że żołnierz hiszpański, na północy walczący, nie mógł dezercji się dopuścić, bo stanąłby twarzą w twarz z wrogą sobie ludnością miejscową, której na równi z wrogimi wojskami wystrzegać się należało. Tedy rokoszanie zajmowali jaką miejscowość i fortyfikowali się w niej – a wiedzieć trzeba, że wśród miast we Flandrii zdobytych najokrutniejsze ofiary ponosiły te, które popadły w ręce oddziałów, zaległego żołdu łaknących. Godzi się tu aliści zaznaczyć, że nie byliśmy tu jedyni. O ile bowiem Hiszpanie, równie uciemienieni, co bezwzględni, krwią i ogniem szlak swój znaczyli, o tyle gorzej jeszcze zachowywały się oddziały walońskie, włoskie albo germańskie, które nie cofały się nawet przed taką hańbą, że odprzedały wrazym siłom fortece Sint–Andries i Crèvecoeur³⁸, do czego Hiszpanie przenigdy się nie posunęli – nie dla braku ochoty, ale ze zwykłego poczucia przyzwoitości i ze strachu przed sromotą. Inna rzecz przecież gardziele podrzynać i łupić, gdy wypłata zwleka, inna zaś (przy czym, do diaska, nie mówię, że lepsza lub gorsza, po prostu inna) nikczemności a wiarołomstwa się dopuszczać. I przypominam sobie w tej materii różne zdarzenia, jako to pod Cambrai, gdzie sprawy tak źle się miały, że hrabia de Fuentes uprzejmą prośbę do szanownego zbuntowanego wojska, w

Tirlemont stacjonującego, zaniósł, by „były tak łaskawe i zechciały pomóc mu w zdobyciu cytadeli³⁹. Owe zaś hufce, na powrót zdyscyplinowane i bojaźń wzbudzające, w wybornym porządku szturm przeprowadziły i zdobyły zarówno cytadelę, jak i całą twierdzę. Wspomnijmy tu również o rokoszanach, którzy w najgorszym momencie bitwy na wydmach Nieuwpoort ubłagali, ażeby ich w najbardziej niebezpieczne miejsce przesunąć, albowiem pewna niewiasta, infantka Klara Eugenia⁴⁰, prosiła ich była o ratunek. Nie od rzeczy też będzie powiedzieć o buntownikach pod Aalst, którzy odrzucili warunki zaoferowane im przez samego hrabiego Mansfield i żadnych przeszkód nie czynili kolejnym regimentom niderlandzkim, co toomalże ogromnego spustoszenia nie dokonały w królewskich Niderlandach Południowych. Te same oddziały, co gdy zaległy żołd przyszedł, lubo nie w całości, nie przyjęły ni marawedi i odmówiły walki, choćby i Flandria, i Europa wszystka miała się pod ziemię zapaść – owóż te same oddziały, ledwie nowina je dosięgła, że sześć tysięcy Niderlandczyków pod Antwerpią i czternaście tysięcy ich kamratów różnorakiego autoramentu gotują się wymordować stu trzydziestu Hiszpanów, fortecy broniących, o trzeciej nad ranem w marsz wyruszyły, wpływ i łodziami Skaldę przebyły i z zielonymi gałązkami na kapeluszach i hełmach jako zwycięstwa zwiastowanie, przysięgę złożyli, że tego dnia na wieczerzę albo w Raju do Chrystusa Pana naszego staną, albo w Antwerpii społem z rodakami. Na koniec, gdy w ciężkich terminach się znaleźli na kontrskarpie, chorąży Juan de Navarrete sztandarem potrząsnął, wszyscy wezwali gromko świętego Jakuba i całą Hiszpanię, jak jeden mąż z kolan się podnieśli, na wraże okopy ruszyli, łamiąc, rznąc i siekąc, co im na drodze stanęło, i słowa danego dotrzymali: Juan de Navarrete i jeszcze czternastu istotnie wieczerzało owego dnia z Chrystusem albo z kim tam do stołu siadają ci, co umierają na stojąco, a pozostali pospołu z oblężonymi

rodakami posilili się w Antwerpii. Słusznie bowiem powiadają, że naszej nieszczęsnej ojczyźnie zawsze brakowało i sprawiedliwości, i mądrych rządów, i urzędników poczciwych, i królów godnych tego, by koronę na głowach nosić – atoli, przebóg, zawsze pod dostatkiem miała zacnych wasali, niedostatek, nędzę i krzywdę zapomnieć gotowych, za to pierwszych, by zęby zacisnąć, żelaza dobyć i, zaprawdę, do boju ruszyć w imię honoru Hiszpanii. Ten zaś to nic innego, jak suma skromnych honorów każdego człeka z osobna.

Wróćmy wszelako do Oudkerk. Był to pierwszy z wielu rokoszów, jakie i mnie z czasem przeżyć przyszło w ciągu dwudziestu lat przygód mego żołnierskiego żywota, które zawiodły mnie ostatecznie na ostatnią wielką scenę hiszpańskiej piechoty pod Rocroi, w dniu, kiedy we Flandrii zaszło słońce Hiszpanii. W czasie, gdy dzieją się opowiadane tu przeze mnie wypadki, taki rodzaj niesubordynacji stał się niejako zwyczajnym narzędziem w naszych rękach, a przebieg jego, znany od czasów wielkiego cesarza Karola, zgodny był z na wskroś przeciwicznym rytuałem. Śród kompanii dały się słyszeć okrzyki „wypłata, wypłata” tudzież „rokosz, rokosz”, i stał się bunt, wprzód kompanii kapitana Torralby, do której przynależni byli obydwaj podsądni. A ponieważ nie doszło uprzednio do rozwieszenia nijakich obwieszczeń ni do zawiązania spisku, wszystko potoczyło się zgoła samorzutnie, przy akompaniamencie przeciwstawnych opinii: niektórzy snadź opowiadali się za utrzymaniem dyscypliny, inni zaś ku jawnej rebelii się przychyłali. Najwięcej humorów napsuło wszakże usposobienie naszego marszałka polnego. Inny postąpiłby bardziej politycznie, paląc i Panu Bogu świeczkę, i ogarek diabłu, a mianowicie ugłaskałby żołnierzy, mówiąc im to, co usłyszeć chcieli. Nie zdarzyło się bowiem jeszcze, by jakiegokolwiek słowa najbardziej skąpego po kieszeni

uderżyły. Mam tu na myśli coś w rodzaju „panowie żołnierze, synowie moi” i tak dalej – podobne argumenty wielki pożytek przyniosły i diukowi de Alba, i mości Luisowi de Requesens⁴¹ i Alessandrowi Farnese, lubo wszyscy oni w duchu równie nieugięci i pogardy dla wojska pełni byli, co sam Pedro de la Daga. Ale Bardasznurek był godnym nosicielem własnego przezwiska, a w dodatku nie krył, że za nic ma swoich panów żołnierzy. Rozkazał tedy profosowi i germańskiej eskorcie, ażeby odprowadzili obydwu skazanych pod najbliższe drzewo, już nie robi mu różnicy, czy zielone, czyli też suche, swej zaś zaufanej kompanii, ze z górą stu arkebuzerów złożonej, której marszałek polny był nominalnym dowódcą, polecił, by stanęła pośrodku czworoboku, lonty podpaliła i pociski załadowała. Ci lubo też żołdu nie dostawali, aliści z przywilejów i korzyści innych korzystali, posłuchali więc bez jednego szmeru, co jeszcze oliwy do ognia dołało.

Prawdą jest, że jeno czwarta część wojska do rokoszu przystąpić chciała, ale buntownicy stali w różnych miejscach szyku, do rebelii przekonując, pozostali zaś wciąż się wahali. W naszej kompanii najgłośniej za nieposłuszeństwem przemawiał Curro Garrote, a wtórował mu chórek zgoła niemały. Na przekór tedy wysiłkom kapitana Catona cały oddział mógł lada chwila przejść na stronę niepokornych, podobnie zresztą, jak to miało miejsce i w innych oddziałach. My, giermkowie, jak jeden mąż puściliśmy się pędem ku swoim, by ni szczegółu nie uronić. Jaime Correas i ja preciskaliśmy się między żołnierzami, którzy we wszystkich narzeczach Hiszpanii okrzyki wznosili, tu i ówdzie widziałem już obnażone główne. I jak to jest we zwyczajach, zgodnie z owymi narzeczami i pochodzeniem, stawali jedni przeciw drugim: walencjanie brali jedną stronę, Andaluzyjczycy drugą, Leończycy przeciw Kastylijczykom, Galisyjczycy, Katalończycy, Baskowie i Aragończycy zamykali się we własnych kółkach,

swego odrębnego interesu broniąc, Portugalczycy zasię, bo i tych było tam kilku, w jeszcze jedną grupkę się zbili i na bok odeszli. Nie było królestwa ni prowincji, które pozostawałyby z innymi w zgodzie, i patrząc na dzieje nasze, mógłbyś przysiąc, że cała rekonkwista⁴² innego nie może mieć wytłumaczenia, jak to, że Maurowie też byli Hiszpanami. Wracając do kapitana Catona, jedną dłonią pistoletu dobył, drugą sztyletu i współ z chorążym Coto i młodszym chorążym Minayą, co drzewce sztandaru dzierżył, daremnie usiłowali wzburzenie wśród ludzi uśmierzyć. Raptem od kompanii do kompanii jał rozlegać się okrzyk „rycerze wystąp”, rzecz wielce charakterystyczna w dziejach owych osobliwych niepokojów. Żołnierze bowiem nader wysoko cenili sobie swą kondycję, wszyscy mienili się być szlachetnego rodu i zawsze do zrozumienia dawali, że rokosz skierowany jest przeciw dowództwu, a nie przeciw władzy katolickiego króla. Tedy, by władzę ową od ujmy, a regiment cały od skutków jej uchronić, niepisana zgoda była pomiędzy wojskiem a oficerami, że ci ostatni opuszczali szeregi wraz ze sztandarami i z tymi żołnierzami, którzy buntu podnosić nie chcieli. Takim to sposobem ni oficerów, ni insygniów regimentarskich dyshonor nie plamił, oddział jako taki zachowywał zacną reputację, a zbuntowani mogli po wszystkim powrócić pod komendę, której formalnie nigdy nie kwestionowali. Nikomu nie było w smak, by powtórzył się los Starego Regimentu z Leivy, który po rokoszu pod Tielt został rozwiązany, chorążowie, szlochając, drzewca łamali, a sztandary palili, byle ich tylko nie oddać, weterani obnażali bliznami pokryte piersi, kapitanowie zrywali i na ziemię rzucali swoje szarże, a wszyscy owi twardzi i nieustraszeni mężowie płakali jak bobry ze wstydu i upokorzenia.

Wystąpił tedy, lubo niechętnie, kapitan Catón z szeregu, unosząc sztandar, wraz z chorążym Coto, z Minayą i sierżantami, a za nimi kilku

kaprali i żołnierzy podążyło. Druh mój Jaime Correas, od tumultu całego wniebowzięty, biegał to w jedną, to w drugą stronę, nawet parokrotnie zakrzyknął sam „rycerze wystąp”. Jako że na mnie wrzawa takż ogromne wrażenie poczyniła, w którymś momencie i ja mu zawtórowałem, lubo głos mi w gardzieli uwiążł, kiedym zmiarkował, że oficerowie zaprawdę szeregi opuszczają. Diego Alatryste znajdował się bardzo blisko, wedle swych towarzyszy z drużyny, a oblicze nader miał chmurne. Dłonie obydwie złożył był na lufie arkebuza, kolbą o ziemię wspartego. W tym gronie nikt słowa nie zamieniał ni szyku nie naruszał – nikt krom Curra Garrote, który już rej śród liczego chóru żołnierzy wodził. Kiedy zasię Catón i inni oficerowie z szeregu wystąpili, mój pan zwrócił się ku Mendiecie, Rivasowi i Llopowi, którzy ramionami wzruszyli i bez zbędnych ceregieli do rokoszan przystąpili. Copons z kolei, nikomu wierności nie obiecując, ruszył w ślad za sztandarem i oficerami. Alatryste westchnął cicho, arkebus na ramię zarzucił i już miał zawrócić ku buntownikom. Aliści w tym momencie spostrzegł, że stoję tuż nieopodal, zachwytem zdjęty i ani myśląc gdziekolwiek się ruszać, klepnął mnie tedy mocno w kark i nakazał za sobą iść.

– Twój król jest twoim królem – powiedział.

Za czym niespiesznie ruszył pomiędzy żołnierzami, którzy rozstępowali się, nijakiego wyrzutu mu nie czyniąc, choć widomym było, że się wycofuje z awantury. Po chwili stanął wraz ze mną na równinie, wedle liczącej dziesięciu, może dwunastu mężów grupy kapitana Catona i oficerów lojalnych wobec władzy. Podobnie atoli jak Copons, który stał nieopodal spokojnie i bez słowa, jakby cała sprawa nic go nie obchodziła, starał się trzymać nieco z boku, niemalże w połowie drogi pomiędzy tamtymi a naszą kompanią. Ponownie arkebus o ziemię oparł, dłonie

położył na wylocie lufy i tylko z uwagą jasnymi oczami swymi spod kapelusza baczenie dawał na wszystko, co się dzieje.

Bardasznupek nie zamierzał pozwolić sobie dmuchać w kaszę. Niemcy wieszali właśnie dwóch podsądnych mimo ogromnej wrzawy w regimencie. Inne sztandary i służący pod nimi oficerowie też już opuścili byli szeregi. Zdołałem naliczyć, że spośród tuzina kompanii cztery już ogłosiły rokosz, a zbuntowani żołnierze skupiają się w jednym miejscu, coraz zuchwalsze okrzyki i groźby wznosząc. Raptem padł wystrzał, ale kto strzelał, pojęcia nie mam, a i nikt skutkiem tego nie ucierpiał. Wówczas marszałek polny nakazał swej chorągwi, by wycelowała arkebuzy i muszkiety w kierunku rokoszan, a pozostałym lojalnym oddziałom, by naprzeciw nim w szyku stanęły. Dały się słyszeć rozkazy, warkot tarabanów, sygnały trąbką, a sam mość Pedro de la Daga dumnie przecwałował po kilkakroć z jednego końca równiny na drugi, by manewru całego osobiście dopilnować. I muszę tu przyznać, że miał nasz dowódca ikrę, wszak każdy niezadowolony mógł mu tam na miejscu posłać grzeczną porcję z arkebuza, która zamknęłaby mu usta na wieki wieków. Snadź waleczność i skurwysyństwo mogą czasem w jednym ciele mieszkać. W każdym razie, rade nierade, a miejscami snadnie z widomą niechęcią, lojalne oddziały jęły przegrupowywać się frontem do rokoszan. Znów zagrały tarabany i trąbki, wzywające wiernych oficerów i żołnierzy, ażeby dołączyli do uszykowanych kompanii, tam też podążyli Catón i jego grupa. Copons stał wedle Diega Alatryste i mnie, i wszyscyśmy, jakom rzekł, byli odrobinę z boku. Kiedy rozkaz posłyszeli i zmiarkowali, że regiment stanął przeciwko buntownikom z bronią w ręku i z płonącymi lontami, obydwaj weterani swe arkebuzy na ziemię odłożyli, pozbyli się dwunastu apostołów – czyli lederwerków z dwunastoma ładunkami prochu, w poprzek piersi noszonych – i dopiero wówczas jęli iść za swym sztandarem.

Nigdy dotąd niczego podobnego nie był oglądał. Gdy lojalna część regimentu uszykowała się do walki, cztery zbuntowane kompanie również były już przegrupowane i ustawiły się w ordynku bojowym: pikinierzy w środku, arkebuzy na narożnikach. Nad porządkiem, z uwagi na nieobecność oficerów, czuwali kaprale drużynowi, a tu i ówdzie prości żołnierze. Naturalnym instynktem weteranów wiedzeni, buntownicy wiedzieli, że nieład w szeregach klęskę jeno oznaczać może i że – o paradoksie żołnierskiego fachu! – tylko subordynacja wybawić ich może od skutków własnej niesubordynacji. Przeto, ani na jotę siły swej nie uszczuplając, wykonali wszelkie manewry, jako mieli we zwyczaju, zajmując każdy sobie właściwe miejsce w szyku, wkrótce też dobiegła nas woń podpalanych lontów, a gotowe do wystrzału muszkiety już wspierały się na stawianych na ziemi forkietach.

Marszałek polny wszelako pożądał krwi i posłuszeństwa. Obydwaj skazani dyndali już na drzewie, skoro więc ten obowiązek spełniony został, gwardia niemiecka – same jasnowłose olbrzymy wrażliwe niczym połcie wołowiny – znów pojawiła się wokół mości Pedra de la Daga, otaczając go swymi pikami. Ten nowe rozkazy wydał, jeszcze raz odezwały się tarabany, trąbki i piszczałki, a Bardasznurek, nieodmiennie z prawicą na biodrze wspartą, przyglądał się, jak jego wierne kompanie jęły maszerować z wolna naprzeciw buntownikom.

– Regiment z Cartageny!... Baaaa...czność!

Raptem cisza zapadła. Obydwie strony stały w odległości jakich trzydziestu łokci od siebie, z pikami złożonymi do ataku i pociskami w lufach arkebuzów. Sztandary, które opuściły swe szeregi, były teraz zgrupowane w samym środku szyku, chronione przez lojalne wojsko. I ja wśród nich stałem, bo chciałem znajdować się jak najbliżej mego pana – on zasię zajmował stanowisko pospołu z tuzinem innych żołnierzy kompanii,

którzy buntu nie podnieśli, pomiędzy młodszym chorążym Minayą a Sebastianem Coponsem. Pozbawiony arkebuza, z rapierem w pochwie i kciukami za pas zatknętymi Diego Alatryste sprawiał wrażenie, jak gdyby tylko odwiedził to miejsce, i nic nie zwiastowało, jakoby gotów był przyłączyć się do swych dawnych towarzyszy.

– Regiment z Cartageny!... Arkebuzy... szykuj!

Wzdłuż szeregów przebiegł metaliczny odgłos, z jakim arkebuzerzy wsypywali proch do panewek, a zapalone lonty przystawiali do kurków. Skroś szarawy dym, z lontów płynący, dostrzegalem oblicza ludzi stojących naprzeciw nas: ogorzałe, zarośnięte, pokryte szramami, ze srogimi brwiami, widocznymi spod obdartych kapeluszy i hełmów. Ledwie drgnęły arkebuzy po naszej stronie, niektórzy po drugiej odpowiedzieli tym samym, a niejeden w pierwszym szeregu i pikę pochylił. Atoli zdołaliśmy też dosłyszeć wśród nich pojedyncze głosy, mówiące: „panowie, panowie, gdzie rozum”, zaraz też arkebuzy i piki wśród buntowników uniosły się na nowo, czym tamci dowieść chcieli, że bić się z towarzyszami broni nie zamiarowali. My zaś oczy nasze zwróciliśmy teraz na marszałka polnego, nad równiną bowiem zabrzmiał donośnie jego głos: – Regimentarz!... Oddać tych ludzi w ręce królewskiej sprawiedliwości!

Regimentarz Idiáquez z buławą w dłoni oddalił się ku rokoszanom, by czym prędzej stanowisko swe przedłożyć. Była to czcza ceregiela, a Idiáquez, stary wiarus, który sam w swoim czasie niejednokrotnie bunt był podnosił – osobliwie w 98 roku poprzedniego stulecia, gdy zwłoka z wypłatą żołdu i niesubordynacja sprawiły, żeśmy połowę Flandrii utracili – rzecz swą wypowiedział krótko i rzeczowo, zaraz też ku naszym liniom powrócił, na odpowiedź zgoła nie czekając. Żaden zresztą z żołnierzy naprzeciw nas stojących nie przywiązywał do całej ceremonii snadź

większej wagi niżli sam regimentarz, posłyszałem bowiem jeno pojedyncze okrzyki „żołd, żołd”.

Co widząc, mość Pedro de la Daga, nieodmiennie na siodle swym wyprężony i z nieubłaganym licem ponad kutą zbroją, uniósł jedną dłoń w skórzanej rękawicy.

– Arkebuzami... celuj!

Arkebuzerzy wycelowali broń, palce na języczkach kurków trzymając, zasyczały podpalone lonty. Muszkiety, jako że dużo cięższe, trzeba było wesprzeć na forkietach. Tymczasem po drugiej stronie dało się zauważyć niepokój w szeregach, lubo bez cienia wrogości.

– Ogień!... Na moją komendę!

Ten rozkaz rozległ się wyraźnie na całej równinie.

Wprawdzie niektórzy buntownicy cofnęli się nieco, przyznać muszę, że większość z nich bezwzględny spokój zachowała, mimo że na wprost siebie mieli ciemne wyloty arkebuzów do strzału gotowych. Zerknąłem na Diega Alatryste i zmiarkowałem, że jak niemal wszyscy żołnierze, nawet ci, którzy wciąż byli uzbrojeni, i ci, co po przeciwnej stronie oczekiwali salwy, wpatrywał się w regimentarza Idiaqueza. Spoglądali nań także kapitanowie i sierżanci, ten zasię oczu z jego miłości pana marszałka polnego nie spuszczał. Który z kolei na nikogo już nie patrzył, wrażenie sprawiając, jakby odbywał nader wyczerpujące ćwiczenia. I już, już dłoń Bardasznurek unosił, kiedyśmy wszyscy zobaczyli – a może ściślej będzie rzec, jako to nam się zdało – że Idiáquez nieznacznie kręci głową, ruchem, który był niemalże niedostrzegalny, którego właściwie zgoła nie było, tedy za niesubordynację nie mógł być wzięty. Dlatego później, kiedy przełożeni dochodzenie przeprowadzali, nikt nie był w stanie pod przysięgą zeznać, że to widział.

I na ten gest, dokładnie w chwili, kiedy mość Pedro de la Daga wydał komendę „ognia”, osiem lojalnych kompanii opuściło piki, a arkebuzerzy jak jeden mąż złożyli swą broń na ziemi.





IV. DWAJ WETERANI.



ieodzowne okazały się i trzy dni rokowań, i wypłata połowy zaległego żołdu, a wszystko w przytomności samego naszego głównodowodzącego, generała mości Ambrosia Spínoli, by rokoszanie z Oudkerk jarzmo na nowo przyjęli. Przez owe trzy dni dyscyplina w regimencie przestrzegana była jak nigdy, a wiedzcie, waszmościowie, że w czasie tym oficerów i sztandary zgromadzono w miasteczku, wojsko zaś obozowało poza murami. Mówiłem wszak już, że regimenty nigdy nie były bardziej zdyscyplinowane, jak podczas rokoshu. Przy tej sposobności wzmocniono nawet wysunięte posterunki wartownicze, inaczej Niderlandczycy mogliby okazję wykorzystać i skoczyć na nas jak maciora do koryta. Żołnierze z zadziwiającą sumiennością dyscypliny przestrzegali, przez wybranych przedstawicieli zaprowadzonej, aże wręcz przykładowie ukarano – i tu nikt protestu nie zgłosił – pięciu oczajduszów, co to na własną rękę chcieli miasteczko złupić. W porę sąsiedzi ich znać dali, za czym bezzwłoczny sąd z ich kompanów złożony wydał wyrok, by ich rozstrzelać z arkebuzów pod murem cmentarnym, i tam pokój wieczny napotkali, a potem i chwałę. Tak po prawdzie, to tych skazańców było zrazu czterech. Aliści traf chciał, że dwóch innych podsądnych, za drobniejsze przewiny zatrzymanych, skazano

na obcięcie uszu, jeden zasię nuże się zaklinać i zarzekać na wszystkie świętości, że on, szlachcic i stary chrześcijanin, prawnuk różnych Mendozów i Guzmanów⁴³, woli umrzeć niżli podobną hańbę ścierpieć. Co słysząc, trybunał, który w przeciwieństwie do naszego marszałka polnego bardziej wyrozumiały był dla spraw honoru – wszak składał się z żołnierzy i towarzyszy broni – zawyrokował, że ucho godzi się ułaskawić, a jego właścicielowi przeznaczono w zamian kulę z arkebuza. Co nie przeszkodziło, by potem skazaniec ów – snadź był szlachcicem niestałym – odszcekać rzecz całą usiłował, ledwie pod murem cmentarnym stanął, lubo z kompletem uszu.

Podówczas to właśnie pierwszy raz miałem sposobność zobaczyć mości Ambrosia Spínolę Doria, markiza de Los Balbases, granda Hiszpanii, głównodowodzącego naszych sił we Flandrii, a którego obraz – zbroja czarna, złotymi ćwiekami nabijana, buława generalska w lewej dłoni, szeroki kołnierz z flamandzkich koronek, czerwona szarfa i buty z łosiowej skóry – obraz zwycięzcy, co dwornie zapobiega, by się przedem żaden pokonany Niderlandczyk nie wcisnął, na zawsze utrwalony został dzięki pędzlowi Diega Velazqueza. O jego sławetnym płótnie w swoim czasie opowiem, wszak nie darmo to ja właśnie opisałem po latach wielkiemu mistrzowi konieczne szczegóły. Owóż w czasie walk pod Oudkerk i pod Bredą nasz generał liczył pięćdziesiąt pięć albo pięćdziesiąt sześć wiosen, szczupłej był postury i takiegoż oblicza, blady, z siwą brodą i czupryną. Jego przebiegła i zdecydowana natura w zgodzie pozostawała z charakterem jego genueńskiej ojczyzny, którą porzucił był gwoli oddanej służby naszym królom. Wojownik był zeń cierpliwy a szczęśny, atoli ani żelazną wolą diuka de Alba, ani sprytem innych swych poprzedników pochwalić się nie mógł, jego wrogowie na Dworze zasię, coraz liczebniejsi

z każdym kolejnym jego triumfem – jesteśmy w Hiszpanii, jakżeby inaczej! – oskarżali go na przemian o cudzoziemskie pochodzenie i wygórowane ambicje. Nie da się wszelako zaprzeczyć, że największe wiktorie dla Hiszpanii odniósł w Palatynacie i we Flandrii, oddawszy naszej monarchii swą osobistą fortunę, zastawiwszy swe dobra rodzinne, by móc oddziały spłacić. Stracił nawet brata swego Federica w bitwie morskiej z Niderlandczykami. W epoce owej wielką cieszył się chwałą wojenną, o czym niechże zaświadczy fakt, że gdy zapytano Maurycego Nassau, głównodowodzącego wrażą armią, kogo za najlepszego żołnierza współczesnego uważa, odrzekł: „Spínola jest drugi”. Dodajmy tu, że nasz mość Ambrosio był człkiem z ikrą, czym zaskarbił sobie śród oddziałów wielki mir, i to podczas kampanii rozejm dwunastoletni poprzedzających. Diego Alatryste sam mógłby poręczyć własnymi wspomnieniami z odsieczy Sluys i z oblężenia Ostendy: podczas tego ostatniego na taki szwank i na takie niebezpieczeństwo się pan markiz wystawiał, że wojsko, w tym także sam Alatryste, opuściło piki i arkebuzy, niechając walki, dopóki się ich generał z dala od zagrożeń nie znalazł.

W dniu, kiedy mość Ambrosio Spínola osobiście bunt uśmierzył, wielu z nas zobaczyło go, jak opuszczał namiot, w którym właśnie rokowania końca dobiegły. Za nim pośpieszyli oficerowie jego sztabu i nasz marszałek polny z nosem na kwintę spuszczone, który jeno wąs wściekle przygryzał, albowiem nie zdołał doprowadzić do tego, by dla przykładu na gałęzi zawisł co dziesiąty buntownik. Mość Ambrosio atoli, posługując się ręką sercu bliższą i swym dobrym usposobieniem, sprawił, że trudności zostały zażegnane. Skoro zasię tylko dyscyplinę oficjalnie w regimencie przywrócono, każdy sztandar i oficer każdy do kompanii swej powrócił, a u stołów rachmistrzowskich – pieniądze z osobistych szkatuł naszego generała pochodziły – jęli się chciwymi rzędami ustawiać żołnierze. Zaraz

też wokół obozowiska poczęła się gromadzić ciżba markietanek, ladacznic, przekupniów, karczmarzy wędrownych i inne pasożytnicze plemię, wyraźną oskomę czując na jakąś cząstkę tego strumienia złota.

Diego Alatryste pospołu z innymi kręcił się wokół rzeczonoego namiotu. Owoż, gdy mość Ambrosio Spínola wyszedł na dwór i zatrzymał się na moment, by mu oczy do jasności dnia przywykły, na sygnał kornetu Alatryste i jego kompani bliżej podeszli, by na generała okiem rzucić. Starym wojennym obyczajem większość z nich zdążyła wcześniej swe połatane mundury wyszczotkować, broń lśniła w słońcu, nawet kapelusze odświętnego nabrały wyglądu mimo częściowo jeno pocerowanych dziur – wszak żołnierze, którzy chlubili się swą profesją, gorliwie zabiegali, by wszem wobec pokazać, że bunt nijakiego uszczerbku wojskowej służbie nie przynosi. Zaiste paradoksem było, że nieczęsto regiment z Cartageny tak dziarsko i szykownie się prezentował, jak przed swym generałem pod Oudkerk. Wysoko też ani chybi oszacował go Spínola, kiedy w asyście swych doborowych arkebuzerów, sztabu, marszałka polnego, regimentarza i kapitanów szedł powoli, strojny w złote runo na naszyjniku zbroi, mijając kolejne grupki, które z drogi mu ustępowały i gromko na cześć jego wiwatowały, *primo* dla jego godności, *secundo*, ponieważ wypłacić żołd był zalecił. Czynili to jeszcze z trzeciego powodu, a to żeby na nosie zagrać mości Pedrowi de la Daga, który zaraz za swym generałem postępował i przeżuwał rozczarowanie, że nie ma kim sznura obciążyć, oraz filipikę, jaką był (wedle tego, co dobrze poinformowani prawili) mość Ambrosio na osobności i nader dotkliwym językiem doń wygłosił, grożąc mu, że stanowiska pozbawi, jeśli ten dbać o swych żołnierzy nie będzie jak o źrenicę własnego oka. Tak przynajmniej powiadano, lubo śmiem wątpić, czy prawdą było to ze źrenicami – toć wiadomo, że wszyscy generałowie i

marszałkowie polni, czy sympatyczni, czyli też bezwzględni, zarówno głupi, jak i bystrzy, jednakim są pomiotem i proste wojsko tyle ich obchodzi, co śnieg zeszłoroczny, nadaje się bowiem do tego jeno, by krwią swoją ułatwić zaszczytów i laurów zdobywanie. Owego dnia wszelako Hiszpanie, radując się pomyślnym tumultu zakończeniem, gotowi byli uwierzyć w każdą pogłoskę i w każdy wymysł. Mość Ambrosio tymczasem rozsyłał ojcowskie uśmiechy na prawo i lewo, mówił „panowie żołnierze” i „synowie moi”, pozdrawiał wykwintnie swą długą na trzy piędzi buławą, czasem zasię, oblicze jakiego oficera albo i starego wiarusa rozpoznawszy, kierował do takiego kilka uprzejmych słów. Słowem, czynił swą powinność. I na Boga, czynił ją wybornie.

I raptem natknął się na kapitana Alatryste, który przyglądał mu się, nieco na uboczu swojej drużyny stojąc. Cała grupa zaiste należyty podziw budziła, bo, jakom rzekł, oddział składał się z samych starych żołnierzy, wąsatych i z licznymi bliznami na skórze skutkiem niepogody tak zahartowanej, że najprzedniejszy kurdyban przypominała; a ich wygląd, osobliwie w taki dzień jak tamten, kiedy wszyscy w pełnym rynsztunku byli, dwunastu apostołów spod ciemnej gwiazdy, z rapierami, lewakami i arkebuzami lub muszkietami w dłoniach, najmniejszej wątpliwości nie pozostawiał, że nie masz Niderlandczyka, Turczyna albo innej plagi piekielnej, któraby czoło stawić im potrafiła, gdy na dźwięk tarabanów w wir rzezi bitewnej się rzucą. Owoż zatem mość Ambrosio całe to grono obserwował, wielkie wrażenie nań czyniące, i już miał się do nich uśmiechnąć i podążyć dalej, kiedy pana mego rozpoznał, przystanął na chwilę i odezwał się doń swą miękka hiszpańszczyzną, co dźwięczała od włoskich zaśpiewów: – Do diaska, kapitanie Alatryste, toż to waszmość...? Sądziłem, żeś na zawsze pozostał pod Fleurus.

Alatriste głowę obnażył, kapelusz dzierżąc w lewej dłoni, prawą zaś oparłszy o lufę arkebuzą.

– Blisko byłem – odparł powściągliwie – jak wasza miłość raczy łaskawie pamiętać. Ale snadź jeszcze nie przyszała na mnie pora.

Generał z uwagą studiował szramy na ogorzałym licu wiarusa. Pierwszy raz ozwał się doń był dwadzieścia lat wcześniej, podczas próby odsieczy pod Sluys, kiedy to, zaskoczony raptowną szarżą jazdy, mość Ambrosio musiał się schronić w czworoboku uformowanym między innymi przez tego żołnierza. I z nimi społem, nie pomnąc swej rangi, światły genueńczyk musiał bić się spieszony o własne życie, zadając pchnięcia i z pistoletu rażąc, a trwało to cały długi dzień. Ni on tego nigdy nie zapomniał, ni sam Alatriste.

– Zapewne – rzekł Spínola. – A podobno, tak powiadał mi mość Gonzalo de Córdoba, w zasiekach pod Fleurus stawałeś waszmość dzielnie i do upadłego.

– Prawdę rzekł mość Gonzalo, mówiąc, że do upadłego. Prawie wszyscy kompani tam polegli.

Spínola podrapał się po bródce, jakby raptem coś sobie przypomniał.

– A nie podniosłem waszmości wtedy do rangi sierżanta?

Alatriste pokręcił z wolna głową.

– Nie, ekscelencjo. Sierżantem zostałem w roku osiemnastym, kiedy to wasza miłość wspomniał tamtą historię spod Sluys.

– To dlaczego na powrót jesteś szeregowcem?

– Utraciłem szarżę rok później, z powodu pojedynku.

– Coś poważnego?

– Chorąży.

– Poległ?

– Na amen.

Zadumał się generał nad tą odpowiedzią, za czym wymienił spojrzenia z otaczającymi go oficerami. Mars miał teraz na czole i zbierał się do dalszej drogi.

– Na Boga – ozwał się – dziwota, że waszmości wtedy nie powiesili.

– To było w czasie buntu pod Maastricht, ekscelencjo.

Alatriste wyrzekł te słowa ze stoickim spokojem. W generale snadź obudziły jakieś wspomnienia.

– Ach tak, coś pamiętam – czoło jego znów złagodniało, na usta powrócił uśmiech. – Ci Niemcy i marszałek polny, któremu ocaliłeś życie... A nie przyznałem waszmości wtedy za to ośmiu eskudów nawiązki?

I ponownie Alatriste głową pokręcił.

– To było za historię pod Białą Górą, ekscelencjo. Kiedy pospołu z obecnym dziś tu z nami kapitanem Catonem poszliśmy za panem de Boucquoy zdobywać górne szczyty... A co do samych eskudów, to zredukowano mi je do czterech.

Wzmianka o eskudach spłynęła po uśmiechniętym obliczu mości Ambrosia jak woda po kaczmie. Generał rozglądał się z nieuważną miną.

– Dobrze – uciął. – W każdym razie kontent jestem, widząc waszmość pana ponownie... Czy mogę coś dla waszmości uczynić?

Trudno dociec, czy na twarzy Alatriste pojawił się uśmiech – może to tylko światło zamigotało mu w zmarszczkach wokół oczu. .

– Nie przypuszczam, ekscelencjo. Dziś pobieram połowę sześciu zaległych żołdów i nie mogę narzekać.

– Rad jestem to słyszeć. I wcale przyjemne takie spotkanie starych wiarusów po latach, he?... – wyciągnął przyjaźnie dłoń, jakby kapitana chciał lekko po ramieniu poklepać, atoli uważne, a rozbawione spojrzenie mego pana snadź go od zamiaru odwiodło. – Myślę tu o waszmości i o mnie.

- Oczywiście, ekscelencjo.
- Jak żołnierz z, hm, żołnierzem.
- Jasne.

Mość Ambrosio chrząknął ponownie, ostatni raz uśmiechnął się i zerknął w stronę kolejnych oddziałów. Mówił już głosem zgoła nieobecny.

- Pomyślności, kapitanie Alatryste.
- Pomyślności, ekscelencjo.

I ruszył przed siebie markiz de Los Balbases, głównodowodzący naszych sił we Flandrii. Przed siebie ku chwale i wieczności, jakie uwiecznić miało – lubo podówczas on sam tego nie wiedział, nas zaś rzecz ta miała kosztować siła trudu – wyborne płótno Diega Velazqueza; aliści także (wszak my Hiszpanie medal zawsze w dwie zaopatrujemy strony) ruszył ku oszczerstwom i niesprawiedliwościom ze strony przybranej ojczyzny, której z takim oddaniem służył. Kiedy bowiem Spínola torował szlaki ku kolejnym wiktoriom w imieniu króla niewdzięcznego jako wszyscy monarchowie świata, inni kopali pod generałem dołki na Dworze. Lubo sami z dala od pola walki się trzymając, szkalowali go wszak przed naszym władcą o gnuśnym obliczu i duszy bezbarwnej, władcą, co usposobienie miał dobrotliwe, charakter aliści słaby, co nigdy nie zbliżył się do miejsca, gdzie rany czcigodne odnieść można, wolał snadź nie w wojennej sztuce się wprawiać, jeno w sztuce tańca dworskiego, a nawet w tańcach gminnych, bo i takich nauczał w swej akademii mistrz Juan de Esquivel⁴⁴. I ledwie pięć lat po opisywanych tu wypadkach pogromca Bredy, ów mądry i zdolny mąż, nader doświadczony żołnierz, człek wielkiego serca, co Hiszpanię umiłował był aż do poświęcenia, człek, o którym mość Francisco de Quevedo pisał:

Schizmatyków ty zmiotłeś i podbiłeś

*Palatynat dla hiszpańskiej korony;
Ku chwale wiodłeś wojsko roztomile.*

*Odszedłeś–Italia łzy dzisiaj roni,
Flandria czeźnie; ty zasię ostawiłeś,
Spínola, w bólu nas nieutulonych.*⁴⁵

... owóz ów człek miał pożegnać się z tym światem chory rozgoryczony wynagrodzeniem, jakie otrzymał za swe wojowania; zapłatą, jaką nasza ziemia Kainowa, macocha, a nie matka, nieodmiennie nikczemna i podła, obdarza zawsze tych, co ją miłują i przykładowie jej służą: zapomnieniem, zawiści płynącym jadem, niewdzięcznością i hańbą. A największą ironią losu nieszczęsny mość Ambrosio, umierając, za jedyne pocieszyciela miał swego osobistego przeciwnika, Giulia Mazariniego, jak on sam Włocha z urodzenia, przyszłego kardynała i pierwszego ministra Francji – ten bowiem jedyny był przy jego łożu śmierci i ten jeno wysłuchał starczych wyznań biednego, mającego generała: „Umieram honoru i reputacji pozbawiony... Ograbili mnie z wszystkiego, z pieniędzy i czci... Byłem człekiem pocziwym... Nie takiej zapłaty wyglądasz po czterdziestu latach służby”.

Kilka dni zaledwie po uśmierzeniu buntu osobliwą awanturę traf mi sprokurował. Zdarzyło się to tegoż dnia, co żołd wypłacano, a nasz regiment dostał dzień urlopu przed powrotem nad kanał Ooster. Całe Oudkerk świętujący Hiszpanie we władztwo swe wzięli i nawet posepnym Flamandom, których takeśmy byli rznęli kilka miesięcy wcześniej, z czół mars zemknął, gdy na miasteczko całe rzeki złota jęły płynąć. Jak za dotknięciem różdżki, obecność wojska z pełnymi trzosami sprawiła, że i

wiktuałów, które dotąd jakby pod ziemię się zapadły, teraz wszędy było pełno. Piwo i wino – to drugie wyżej cenione w naszych oddziałach, pierwsze zasię zwaliśmy, wielkiego Lopego idąc tu śladem, „oślimi szczynami” – lały się strumieniami; nawet wątłe słońce tamtejsze przydało blasku ulicznym tańcom, hulankom i zabawom. Domostwa opatrzone szyldami ze znakiem łabędzia albo dyni, czyli lupanary i karczmy (w Hiszpanii posługiwaliśmy się odpowiednio gałązką wawrzynu i sosny) zbijały przedni interes. Jasnowłosym niewiastom o białej kompleksji gościnne uśmiechy na twarze powróciły, a niejeden mąż, ojciec i brat rad nierad spoglądał owego dnia w inną stronę, gdy ich prawowita i rodzona krochmalila ci koszulę; najtwardszy snadź gład mięknie pod wpływem brzęku złota, które i wolę skruszyć, i honor podreperować potrafi.

Lubo rzec się godzi, że Flamandki, wielce swobodne w obejściu i rozmowie, różniły się charakterem od naszych obłudnych rodaczek, chętnie pozwalały się obłapiać i w liczka całować – i niewiele trzeba było zachodu, by zadzierzgnąć przyjazne więzy z tamecznymi katoliczkami. Do tego stopnia, że siła ich towarzyszyła naszym żołnierzom w powrotnej drodze do Włoch albo Hiszpanii – żadna aliści nie posunęła się tak daleko, jak Flora, bohaterka *Oblężenia Bredy*, którą Pedro Calderón de la Barca z niewątpliwą przesadą obdarzył wielkimi cnotami, iście kastylijskim poczuciem honoru i skłonnością do Hiszpanów, czego po prawdzie ni ja, ni zgoła sam Calderón, nigdy nie spostrzegliśmy u żadnej Flamandki.

Ale, ale. Wspominałem waszmościom, że tam w Oudkerk jak wszędy, gdzie wojsko stanie, cały orszak żołnierskich małżonek, ladacznic, przekupniów, szulerów i podobnej hołoty rozstawił swe stragany tuż za ogrodzeniem, a wojsko szwendało się od owego jarmarku do miasteczka i z powrotem, wyzbywając się niektórych łachmanów i nabywając nowe stroje, pióra do kapeluszy i inne szykowne wspaniałości – snadź co łatwo

przyszło, łatwo pójdzie – i łamali przy tym wszystkie dziesięcioro przykazań, a wraz z nimi uszczerbek cnotom głównym i kardynalnym przynosząc. Flamandowie coś takiego zwą *kermis*⁴⁶, a Hiszpanie hulanką. Jak mawiają wiarusi, istna Italia.

Na swój sposób i moja młodość uciechy znacznej w tym wszystkim zaznała. Społem z druhem mym Jaimem Correasem wałęsałem się owego dnia tędy i owędy, a lubo nie należałem do tęgich wielbicieli wina, suto sobie popiłem jak wszyscy, między innymi dlatego, że picie i gra to nader żołnierskie zajęcia, a nie brakowało znajomków, co wino darmo oferowali. Co się tyczy gry, niczegom nie ugrał, jako że giermkowie nie dostawali wypłat ni zaległych, ni bieżących, grać tedy nie miałem czym, przyglądałem się za to żołnierzom, którzy kupili się wokół bębnow, co jako stoliki do kości albo do kart służyły. Bo wprawdzie ostatni nawet *miles gloriosus*⁴⁷ wśród naszych z dziesięciorgiem przykazań na bakier żył, wprawdzie ledwie pisał i czytał, atoli przecież gdyby alfabet składał się z symboli asa karcianego, wszyscy modlitewnik przerobiliby z równą biegłością, z jaką przerobili czterdzieści osiem stron talii.

Toczono tedy po membranach kości, rzetelne i szemrane, i tasowano obrazki, jak gdyby to było Potro de Córdoba albo sewilski Dziedziniec Pomarańczowy: gracze obstawiali grzeczne sumki, grając w oczko, w mariasza, w kanastę i w skata, a obóz ogromną stał się szulernią, pełną „wchodzę” i „odpadam”, gdzie prędzej wystrzałową wiązkę usłyszysz niżli wystrzał z arkebuza, kładź acan, pies trącał tego dupka, na Boga i Przenajświętszą... W takich potyczkach najgłośniej zawsze rozprawiają ci, co w ogniu bitewnym miast rapierem robić, łącniej w gacie narobią, za to owszem, śmiało sobie poczynają na tyłach, siekąc szpadą malowaną lepiej niż własną⁴⁸. Znalazł się owego dnia niejeden, co ze szczętem zgrał się z sześciomiesięcznej wypłaty, o którą dopieroż bunt wszczywał, a teraz jęczał

powalony ciosem Fortuny równie fatalnym, co pchnięcie sztyletem. A nie mówię tego jeno w sensie metaforycznym, toż nieraz wyskakiwało skądciś jakie kanciarские nasienie, a to znaczony walet, a to piąty król, a to ręką przeważona kostka, a wtedy inni nuże „jakem taki, jakem owaki” wołać, „gardłem waszmość odpowiesz”, sztyletami na cudzej skórze żale wypisywać, żelazem golić i krew hojnie puszczać, które to zabiegi nic wspólnego ze sztuką balwierską ni hipokratejską nie miały:



... kładź acan, pies trącał tego dupka, na Boga i Przenajświętszą...

Cóż to za ciżba? Czy ludzie zacni?

*Hiszpańscy żołnierze: znamiona męstwa, Złorzeczenia, szcutki, tupet, przechwałki, Obelgi tudzież inne wszeteczeństwa.*⁴⁹

Przy wcześniejszej okazji napomknąłem już waszmościom, że Flandria wyzuła mnie podówczas z niewinności, lubo nie tylko z niej. Co się zaś tej pierwszej tyczy, to wspólnie z Jaimem Correasem owego dnia skierowałem kroki swe w stronę pewnego wozu, gdzie pod osłoną brezentu na rusztowaniu drewnianym rozpiętego jeden czcigodny, takie czasy, kupler uwalniał wojsko od męskich trosk dzięki pomocy trzech, czterech parafianek:

*Sześć czy siedem jest gatunków
Grzesznych dziewczek, co w tej porze
Przemierzają padół boży
W rozpasanym swym rynsztunku.*⁵⁰

Owoż do jednego z tychże gatunków należeć musiała pewna niezmiernie wytworna i nadobna na liczku podwika, całkiem młoda jeszcze i zgrabnej figury, i w nią też zainwestowaliśmy, mój druh i ja, znaczną część łupu zdobytego podczas zdobywania Oudkerk. W sakiewkach niespecjalnie nam owego dnia dźwięczało, aliści dziewczę, pół-Hiszpanka, pół-Włoszka, co kazała zwać się Clara de Mendoza – nigdym ladacznicy nie napotkał, która nie pyszniłaby się nazwiskiem niższym niż de Mendoza albo de Guzmán, choćby ze świniarczykowego plemienia się wywodziła – przychylnym patrzyła na nas okiem z powodów dla mnie niepojętych. Chyba że to skutkiem naszego wieku młodocianego i jej przekonania, że kto pacholę zadowoli, ten ma klienta na całe życie. Poszliśmy tedy do niej powdzięczyć się raczej i popatrzeć, skoro kieszeń nie uprawniała nas do prawdziwego folgowania – aliści rzeczona Mendoza, lubo zajęta sprawami ściśle z jej profesją związanymi, zdobyła się na to, by posłać nam czułe słówko i zniewalający uśmiech, acz przyznać trzeba, że liczko jej zgoła nie

panieńskim było. Wielce zalterował się tym wydarzeniem pewien żołnierz–zabijaka, co z nią rozkoszy właśnie zażywał, walencjanin o wąsiskach paskudnych i szalbierskiej brodzie, człek wielce popędliwej i hultajskiej natury. I zaraz do swego „czmychać mi stąd, ale już” dorzucił i cielesne połajanki, kopniakiem częstując druha mego, a policzek przeznaczając dla mnie, każdy z nas dostał tedy swoją dolę. Bardziej niżli moja twarz ucierpiał honor, a skutkiem prowadzenia niemal wojskowego życia nie znajdowałem w sobie pobłażania, gdy kto miarkę przebierał, osobliwie zasię, gdy postrzegalem, że zbyt gwałtownie miarę lica mego chce zdjąć; tedy moja krew młoda rychło znać o sobie dała: oto prawica powędrowała mi bezwiednie ku pasowi, za którym na krzyżu nosilem grzeczny sztylecik toledański.

– Wasza miłość raczy dać baczenie – ozwałem się – na nierówność, jaka między naszymi osobami zachodzi.

Nie wysunąłem broni z za pasa, wszelako gest mój godzien był zucha z Oñate. Mówiąc o nierówności, miałem na myśli to, że mój był ledwie młodzik i giermkim, on zaś żołnierzem na schwał – ów jednakowoż poczuł się dotknięty do żywego, tusząc, że cnoty jego w wątpliwość podałem. Dość powiedzieć, że przytomność świadków dodatkowo rozjuszyła śmiałka, który na domiar złego i tę nade mną miał przewagę, że pomiędzy pępkiem a grzbietem targał spory ładunek jerezu, co snadnie z tchnienia dawało się zmiarkować. Bez zbędnych więc ceregieli kazał mi natychmiast gębę zamknąć, a sam ruszył na mnie niczym zwierz dziki, chwytając za swą Durindanę⁵¹. Gawiedź zaraz się rozstała, nikt wtrącić się nie śmiał, bez wątpienia uważając, że wiek już dozwala, by czyny me dorównały słowom. I niechże Bóg pokarze wszystkich, którzy mnie w takich terminach ostawili, dając dowód, jak okrutna jest ludzka natura, gdy w grę wchodzi widowisko; a nikt z ciekawskich za zbawiciela polowego się

snadź nie uważał. A że w takim momencie języka już się wsunąć nie dawało, jedyne, com mógł uczynić, to wysunąć także mój sztylet, by pola dotrzymać albo przynajmniej żeby nie zakończyć mej wojskowej drogi jako kurak z różną. Żyjąc u boku kapitana Alatryste i mając za sobą szmat czasu na służbie we Flandrii spędzony, nabrałem niejakich nawyków, poza tym patrzyła na mnie owa Mendoza. Nie spuszczać tedy z oczu walencjanina, cofnąłem się przed puntą jego rapiera, osobliwie, że ją już zadawać ciosy na prawo i lewo, które po prawdzie życia odebrać nie mogły, ale pokieraszować owszem. Ucieczka w grę nie wchodziła, choćby się paliło, a stawić mu czoła także nie mogłem z uwagi na niejednakie uzbrojenie. Ogarnęła mnie chęć, by rzucić weń sztyletem, aliści pomimo całej kabały rozum pracować mi nie poniechał, zaraz też pomiarkowałem, że gdybym chybił, niezłego piwa bym sobie nawarzył. Tamten napierał na mnie, wywijając niczym bisurman, ja się cofałem, pamiętając, że o ładnych kilka cali żelaza krótszy, że drobniejszy, węższy i mniej w bojach zaprawiony, on wszak po trzeźwemu niezłe rapierem władał, sprawnym był wiarusem, ja natomiast stawałem mu naprzeciw z nędznym sztylecikiem, a hart ducha mój za tarczę posłużyć mi nie mógł. Kampania ta przynieść może – jakem kalkulował – łup w postaci co najmniej jednej rozbitej głowy: mojej.

– Zbliź się, huncwocie – powiedział frant.

Ledwie te słowa wyrzekł, wino sprawiło, że się zachwiał, toteż zbliżyłem się doń natychmiast, nie musiał mi tego powtarzać. Na tyle biegle, na ile wiek mi dozwalał, uszedłem jego broni, twarz lewym ramieniem zasłaniając, żeby mi jej choćby przypadkiem nie poharatał, i zadałem mu zacy cios sztyletem od prawej do lewej i od dołu do góry. Gdybym pociągnął dłużej, nasz monarcha pozbawiony by został żołnierza, a Walencja jednego ze swych umiłowanych synów. Fortunnie cofnąłem się

na czas, samemu bez szwanku ze starcia wychodząc, a tamtemu jeno pachwinę raniąc – w nią właśnie ostrze swe kierowałem – wyrywając mu z odzienia rzemyczek, a z ust żałosne „*Cap de Deu!*”⁵² które gromki śmiech wśród zebranych obudziło, a tu i ówdzie i brawa się ozwały, z czego mogłem pocieszenie wziąć, że zbiegowisko po mojej stało stronie.

Atak mój wszelako okazał się błędem, wszyscy bowiem zmiarkowali, że nie jestem bezbronnym pocziwcem, przeto nikt już wtrącać się nie zamierował, aże nawet druh mój Jaime Correas zagrzewał mnie do boju, zachwycony mą postawą podczas potyczki. Najgorsze zaś, że walencjanin skutkiem draśnięcia trzeźwość odzyskał i teraz nacierał już zgoła pewnym krokiem, gotując się iście rzeźnicki cios mi zadać – rzecz tedy nabrała całkiem poważnych kształtów. Zatrwożony perspektywą odejścia w inne okolice bez spowiedzi, a innego wyjścia nie mając, jak bić się, postanowiłem rzucić się drugi i ostatni raz, by wcisnąć się pomiędzy jego rapier a brzuch, dopaść go tam jak najbliżej i kłuć, i kłuć, ile wlezie, aż któryś z nas dostanie bilet w jedną stronę do piekieł. Z braku rozgrzeszenia i świętych olejów już bym stosowne wyjaśnienia miał na podorędziu. Zajmująca rzecz: gdym wiele lat później przeczytał u pewnego Francuza, że „Hiszpan, do sztychu się szykując, zadaje go tak, jakby go mieli zaraz na drobno posiekać”, przyszło mi do głowy, że nikt trafniej nie oddał desperacji, jaką odczułem byłem w owej chwili, stojąc twarzą w twarz z walencjaninem. Wstrzymałem wówczas bowiem oddech, zacisnąłem zęby, wczekałem, aż przeciwnik mój zakończy kolejny cios oburącz, a gdy punta jego rapiera doszła do najdalszego końca zakreślanego w powietrzu łuku, jużem skakał doń z wyciągniętym przed się sztyletem. I tak by się stało, do diaska, gdyby w tymże momencie za kark i za ramię nie chwyciły mnie czyjeś silne dłonie, a czyjaś postać nie wsunęła się pomiędzy mnie a

rywala mego. A kiedy wzrok podniósł, ze zdumieniem ujrzałem nad sobą jasne i chłodne oczy kapitana Alatryste.

– Acan jesteś mocarny, a znalazłeś sobie trochę za małego przeciwnika.

Scena się nieco zmieniła, dysputa toczyła się w innym miejscu, nieco bardziej dyskretnym. Diego Alatryste i walencjanin znajdowali się teraz jakie pięćdziesiąt kroków dalej u stóp wysokiej na osiem, może dziesięć łokci grobli, która zasłaniała ich od strony obozu. Na jej szczycie zasię stali druhowie pana mego i trzymali ciekawskich z dala od wydarzeń. Czynili to, rzekłbyś, od niechcienia, ustawili się bowiem po prostu w nieprzepuszczalne ogrodzenie. Byli wśród nich Llop, Rivas, Mendieta i jeszcze kilku, w tym także Sebastián Copons – on to właśnie swymi żelaznymi dłońmi chwycił mnie był w trakcie mej potyczki. Wedle niego i ja sterczałem, wyciągając szyję, by śledzić, co się dzieje na dole nad brzegiem kanału. Wokół mnie przyjaciele kapitana Alatryste pozory czynili, popatrując to na jedną, to na drugą stronę, a ich srogie spojrzenia, podkręcane wąsy i dłonie co i raz na główkach rapierów się zaciskające przepędzały tych, co wspiąć się chcieli, by rzucić okiem. Gwoli należytego przebiegu rzeczy całej przywołali również dwóch znajomków walencjanina na wypadek, gdyby później o zajściu musiałby kto zaświadczyć.

– Chyba nie chcesz acan – dodał Alatryste – żeby cię potem zwano Dzieciożercą.

Wyrzekł te słowa tonem jak lód zimnym i wielce szyderczym, na co walencjanin wybąkał jakieś „pies trącał”, któreśmy wszyscy na szczycie nasypu posłyszeli. Wszelkie wapory winne już się zeń ulotniły, teraz człek ów lewą dłonią brodę i wąs gładził nerwowo, mocno zalterowany, lubo w prawicy wciąż dzierżył obnażoną broń. Na przekór groźnej postawie, przekleństwu w ustach zmielonemu i świejącemu żelazu w ręku snadnie

widać było, że nijakiej ciągotki do bijatyki nie ma – inaczej już by się na kapitana rzucił, byleby go uprzedzić i pierwszy cios zadać. Przyszedł w owo miejsce, powodowany fałszywym wstydem i niechlubnym wynikiem potyczki ze mną, aliści coraz to zerkał na szczyt grobli, w nadziei może, że ktoś jednak z odsieczą mu przyjdzie, nim do czego dojdzie. Głównie jednakowoż na ruchy kapitana Alatryste baczenie dawał, ten zasię powoli, jakby całą wieczność miał do dyspozycji, zdjął kapelusz, następnie – wciąż nader niespiesznie – uniósł nad głowę prochownicę z dwunastoma apostołami, położył ją na ziemi obok arkebuza, na samym brzegu kanału, na koniec jął z niezmienną flegmą rozpinać kaftan.

– Acan zaprawdę jesteś mocarny... – powtórzył, oczu z tamtego nie spuszcżając.

Słyszając, że trzeci już raz „acan” się doń zwracają, w dodatku z tak nieubłaganą drwiną, walencjanin sapnął zajadle, rzucił okiem na szczyt grobli, uczynił jeden krok naprzód i jeden w bok i przełożył rapier z prawicy do lewicy. Jeśli rozmówca nie był krewnym, przyjacielem albo osobą dużo niższej kondycji, forma „acan” miast „waszeć”, „waszmość” lub „wasza miłość” brzmiała wielce nieuprzejmie, a każdy Hiszpan, że z natury podejrzliwy, tytuł taki mógł mieć za obraźliwy. Skoro wspomnimy, że w Neapolu hrabia de Lemos i mość Juan de Zúñiga za broń chwycili, nie tylko oni, ale i całe świty ich i służba, ogółem jakie sto pięćdziesiąt kawałków żelaza, a wszystko dlatego, że jeden drugiego zatytułował „wielmożny panie” miast „ekscelencjo”, a drugi tamtego „wasza miłość” miast „wielmożny panie” – łatwiej pojmiemy rzeczy sedno.

Widomym było, że walencjaninowi owo „acanowanie” mocno nie w smak i lubo nadal się wahał – snadź z widzenia i z reputacji mąż naprzeciw stojący z pewnością był mu znany – poczuł, że oto bić się zaraz przyjdzie. Gdyby teraz wsunął z powrotem rapier do pochwy wobec człeka, który

„acanem” go zwał, rapier, tak zuchwale dotąd w dłoni dzierzony, wielką sprokurowały sobie plamę na honorze. A w kastylijskiej mowie słowo „honor” brzmiało podówczas nader dumnie. Nie darmo my, Hiszpanie, przez półtora wieku walczyliśmy w Europie, dając się posiekać za prawdziwą wiarę i za własny honor, gdy tymczasem luteranie, kalwini, anglikanie i inne heretyckie nasienie, lubo suto strawę swą Biblią i wolnością sumienia przyprawiali, do walki stawali jeno w imię tego, by ich kompanie indyjskie i kupcy zarabiali większe krocie, honor zasię za nic mieli, jeżeli nie przynosił wymiernych pożytków. Arcyhiszpańska to cecha kierować się raczej „orapronobis” i „co powiedzą” niżli względami praktycznymi. Wiadomo zresztą, jak się to skończyło dla Europy i dla nas samych.

– Nikt tu waszmości na wypominki nie zapraszał – wychrypiął walencjanin.

– Zgoda – skinął głową Alatryste, jakby kwestię wypominek do cna przetrawił. – Pomyślałem aliści, że taki mocarny żołnierz jak acan potrzebuje godnego siebie przeciwnika... Mam ci tedy nadzieję posłużyć.

Stał w samej koszuli, lecz ni jej łąty, ni pocerowane portki, ni stare buty pod kolanami podwiązane lontami od arkebuza w niczym nie umniejszały wspaniałej jego postaci. Woda w kanale zamigotała, gdy odbił się w niej rapier kapitana, z pochwy właśnie wyciągnięty.

– Czy byłbyś łaskaw zdradzić mi swe nazwisko?

Walencjanin, który rozpinał właśnie swój kaftan, równie pocięty i pocerowany jak kapitańska koszula, ponuro głową pokręcił. Wzroku przy tym z rapiera przeciwnika nie spuszczał.

– Zwą mnie García de Candau.

– Jestem zaszczycony – Alatryste sięgnął drugą dłonią do tyłu, skąd wy dobył zaraz swój lewak z zakrzywioną gardą.

– Mnie zasię...

– Wiem, jak się zwiesz – uciął tamten. – Jesteś acan tym malowanym kapitanem, co się tytułuje szarżą, której nigdy nie otrzymał.

Żołnierze stojący na szczycie nasypu popatrzyli po sobie. Wino snadź dodawało walencjaninowi buty. Znając wszak Diega Alatryste i wiedząc, że można by się wszak wykić jedną lekką raną z głupia frant zadaną i paroma tygodniami szpitala polowego, takie harde odzywki gwarancją były rychłego końca. Wszyscyśmy tedy zamarli, by ni jednego szczegółu nie uronić.

I wtedy ujrzałem, że Alatryste uśmiecha się. A żem sporo czasu u jego boku już był przeżył, znałem ów uśmiech na wylot: ot, grymas pod wąsem, posepny jak przepowiednia, krwiożerczy jak oblicze wilka znużonego perspektywą zagryzienia kolejnej ofiary. Już nie z racji afektu czy z racji głodu, ale z zawodowego nawyku.

Kiedy odciągnięto już walencjanina z brzegu kanału, gdzie leżał na poły w wodzie pogrążony, pozostała po nim czerwona plama na powierzchni delikatnych fal. Wszystko odbyło się z zachowaniem prawideł fechtunku i przyzwoitości – walka była ostra, cięcia szybkie, stopy poruszały się w takt ruchów kapitańskiego sztyletu, aż wreszcie rapier pana mego sięgnął upatrzonego celu. Zaraz też stwierdzono zgon pyszałka – owego dnia przy karcianych kłótniach i jatkach naliczono jeszcze trzech poległych, krom następnego pół tuzina takich, co z rozmysłem zadźgani zostali – świadkowie zasię, żołnierze króla naszego i ludzie honoru, bez krępacji zeznali, że walencjanin w sztok urżnięty wpadł sam do kanału i własną bronią się naszpikował. Profos regimentarski przeto z wielką ulgą uznał rzecz za zamkniętą i każdy poszedł swoimi sprawami się zająć.

A poza tym owej nocy nastąpił atak Niderlandczyków, tedy i profos, i marszałek polny, i wojsko całe, i kapitan Alariste, i ja sam wreszcie – Bóg mi świadkiem – wszyscyśmy mieli ważniejsze ambarasy na głowie.





V. WIERNA PIECHOTA.



róg zaatakował o północy, a wysunięte straże zostały zgoła odsunięte na tamten świat, padłszy pod razami nieprzyjacielskiego żelaza, nim zdążyły okiem mrugnąć.

Maurycy Nassau wykorzystał niespokojny czas rokoszu i przez szpiegów swych powiadomiony poszedł na Oudkerk od północy, usiłując posłać ku Bredzie odsiecz niderlandzko–angielską, liczącą znaczne siły piechoty i jazdy, które podeszły pod nasz obóz i usiekły w mig nasze posterunki. Nasz regiment z Cartageny i jeszcze jeden, w pobliżu obozujący regiment piechoty walońskiej pod wodzą marszałka polnego Karla Soesta, dostały rozkaz natychmiastowego wyjścia naprzeciw wrażym oddziałom i opóźnienia ich marszu, nim nasz generał Spínola zdoła kontratak przygotować. Skutkiem czego w środku nocy zbudziły nas tarabany, piszczałki i komendy „do broni”. I nikt, kto tego ni razu nie przeżył, nie potrafi imaginować podobnego zamieszania i rozgardiaszu: w świetle pochodni widać było bieganinę, przepychanki, nagłe skoki, oblicza spokojne, poważne i zatrwożone, wokół rozlegały się sprzeczne rozkazy, wrzaski kapitanów i sierżantów, usiłujących ustawić w szeregi zaspane i na wpół ubrane wojsko, które niezdarnie nakładało na siebie wojenny rynsztunek; a wszystko to przy ogłuszającym warkocie bębnow od obozu

po miasteczko, gdzie gawiedź tłoczyła się już w oknach i na murach i patrzyła na zwalone namioty, rżące wniebogłosy konie, poskramiane dłońmi, które już ferwor bliskiej walki czuły. Blask rapierów, pik, morionów i pancerzy. Poniszczone sztandary, z pokrowców wyciągnięte i już powiewające, krzyże burgundzkie, aragońskie pasy, zamki, lwy i łańcuchy⁵³, lśniące w czerwonym świetle pochodni i ognisk.

Kompania kapitana Catona wymaszerowała dosyć wcześnie, za plecami zostawiwszy ogień w warownym miasteczku i w obozie, i zanurzyła się w mrok, spowijający groblę tudzież okoliczne rozległe mokradła i torfowiska. Z ust do ust pomknęła pogłoska, że idziemy w stronę młyna Ruijter, wedle którego Niderlandczyk musiał przechodzić, kierując się na Brede, a było to miejsce ciasne i, jak powiadali, jedyne, gdzie można się było przez wodę w bród przepawić. Ja pospołu z innymi giermkami szedłem razem z kompanią Diega Alatryste, dźwigając jego arkebuz i drugi, który należał do Sebastiana Coponsa. Obydwaj maszerowali tuż obok, dlatego w bagażu moim znajdował się jeszcze zapas prochu, pocisków i część pozostałej amunicji – krótko mówiąc, byłem jak muł objuczony, które to ćwiczenie, że na marginesie wspomnę, z każdym dniem coraz wyraźniej mięśnie me kształtowało. Bo też dla Hiszpana – cóż poradzić, zawsześmy się własną niedolą karmili – nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Albo na odwrót:

*Wiecie, panowie i panie,
Jak to podczas wojny bywa:
Że zaszczytów zdobywanie
W wielkim znoju się odbywa.*

Marsz po ciemku nie był łatwy, księżyc bowiem świecił słabo, a głównie za chmurami się krył, toteż coraz to któryś wojak potykał się albo oddział zatrzymywał, przez co jedni na drugich wpadali, a wówczas jak grobla długa leciały „psiekrwie” i „diaski” niczym grad pocisków. Mój pan, jak to miał we zwyczaju, zachowywał milczenie, a ja podążałem za nim jak cień za cieniem, i tak szliśmy, a tymczasem w głowie mej i w sercu aż huczało od zmiennych nastrojów: z jednej strony rwałem się, jak to młodzian, do rychłego boju, z drugiej zaś lękałem się niewiadomego, co wszechobecna ciemność dodatkowo potęgowała, i niedalekiego starcia z licznym wrogiem w otwartym polu. Z tego też powodu zapewne tak mnie było osobliwie poruszyło, kiedy w Oudkerk, zaraz po sformowaniu szyku w świetle pochodni, nawet najbardziej zatwardziali ateusze znaleźli chwilę spokoju, by na kolana paść i głowy odkryć, gdy tymczasem kapelan Salanueva udzielał nam wszystkim po kolei ogólnego rozgrzeszenia – ot, na wszelki wypadek. Albowiem lubo nasz pater był ponurym imbecylem, co łacinę na amen w winie potrafił utopić, stanowił wszelako jedyną oazę świętości, jaką pod ręką mieliśmy. Jedno przecie drugiemu na przeszkodzie nie stoi, a nasi żołnierze, gdy w trudne terminy popadali, zawsze woleli otrzymać *ego te absolvo* choćby i z niedoskonałej ręki, niżli dać się zjeść kostusze na surowo.

Był atoli szczegół, który wielce mnie zalterował, a sądząc po cichych rozmowach naokoło, i starym wiarusom dał do myślenia. Przemierzając jeden z pobliskich mostów, ujrzeliśmy, że saperzy przy świetle latarni jęli siekier i łopat dobywać, by po przejściu oddziału konstrukcję ową roztrzaskać – bez wątpienia odcinaliśmy w ten sposób drogę Niderlandczykowi, ale oznaczało to również, że sami z tej strony nijakiej odsieczy spodziewać się nie możemy oraz że tutaj nie wchodziło w grę żadne „ratuj się, kto może”. Oczywiście pozostały i inne mosty, aliści

wystawcie sobie, waszmościowie, jakie wrażenie rzecz taka czyni, kiedy maszerujecie po ciemku na spotkanie wroga.

Most mostem, w każdym razie do młyna Ruijter dotarliśmy tuż przed świtem. Stamtąd dobiegały nas już odgłosy strzelaniny, jaką wysunięte oddziały naszych arkebuzerów wymieniały z napotkanymi luteranami. Tu na miejscu płonęło ognisko i w jego świetle zobaczyłem młynarza wraz z rodziną, żoną i czwórką małych pacholąt. Cała szóstka była w samych koszulach i, mocno bojaźnią zdjeta, spoglądała bezradnie, jak w zajmowanym dotąd przez nich domostwie żołnierze wyważają wnijsia i okna, umacniają górne piętro i stawiają barykadę, ze skromnych mebli utworzoną. Płomienie odbijały się w hełmach i pancerzach, dzieciaki płakały przerażone najściem bezwzględnych mężów w stal odzianych, młynarz zasię za łepetynę się chwycił, widząc, że dobytek jego na zatracenie idzie, lubo nikt się tym nie przejmuje. Na wojnie tragedia z czasem staje się codziennością, a serce żołnierskie twardnieje tak wobec cudzej niedoli, jak i wobec własnej. Młyn nasz marszałek polny wybrał na swoje stanowisko dowodzenia i obserwacyjne, i widzieliśmy, jak mość Pedro de la Daga przy drzwiach z marszałkiem walońskim konferuje, obydwaj w towarzystwie sztabów i chorągwi. Raz po raz zerkali na odległe o jakie pół mili ognie, niby płonące przysiółki, tam bowiem zapewne grupowały się główne siły niderlandzkie.

Na polecenie dowódcy posunęliśmy się jeszcze dalej, za plecami młyn zostawiając, po czym kompanie rozwinęły szyki wśród płotów i drzew, brodząc w przesiąkniętej wilgocią trawie, od której nogi mokły nam po kolana. Rozkaz brzmiał: nie rozpalać ognisk i czekać. Co jakiś czas wystrzał pobliski lub fałszywy alarm poruszenie w szeregach budził, rozlegały się zaraz różne wojskowe okrzyki w rodzaju „stój, kto idzie”, albowiem strach i czuwanie miernymi są odpoczynku sprzymierzeńcami.

Żołnierze z awangardy trzymali lonty zapalone, co w mroku zdawały się jakoby robaczki świętojańskie.

Najbardziej doświadczeni w mokrą trawę się pokładli, chcąc przed walką odetchnąć, pozostali zaś nie chcieli albo nie mogli, najwyższą czujność przeto zachowywali, ciemność wzrokiem przebić usiłując, i bacznie wsłuchiwali się w każdy wystrzał, jaki oddawały wysunięte do przodu oddziały, które pierwszą potyczkę właśnie toczyły. Ja na krok nie odstępowałem kapitana Alatryste, który wespół ze swą drużyną udał się na spoczynek pod płot. Pośpieszałem za nimi po omacku, kilkakrotnie niepomysłnym trafem twarz i dłonie cierniami sobie kalecząc. Parę razy pan mój wołał na mnie, by upewnić się, że jestem w pobliżu. Nareszcie uwolnił mnie od swego arkebuzza, Sebastián Copons także, po czym nakazali mi, bym lont z obu stron zapalony w pogotowiu trzymał. Dobyłem tedy z plecaka krzesiwo i krzemień, korzystając z osłony, jaką płot mi dawał, wypełniłem dane mi polecenie, tęgo na lont podmuchałem, zatknąłem go w rozszczepiony i w ziemię wbity kijek, by sznur nie zawilgł, dzięki czemu wszyscy mogli teraz zeń skorzystać. Co uczyniwszy, skuliłem się wedle pozostałych, by po marszu odsapnąć i może nawet oko na chwilę zmrużyć. Nadaremno. Ziąb panował dojmujący, a skutkiem mokrej trawy od dołu i nocnej rosy od góry odzienie nasze na wskroś przesiąkło, co widząc, Belzebub ręce musiał zacierać. Bezwiednie przyłgnąłem do ciała Diega Alatryste, który leżał spokojnie z arkebuzem między nogami. Czułem woń jego brudnego ubrania, zmieszana z zapachem skóry i stali, atoli szukałem przede wszystkim ciepła. Nie stronił ode mnie, a gdym przywarł do niego, całkiem znieruchomiał. I dopiero później, kiedy świtać jęło, a mnie dygot złapał, pochylił się nade mną i okrył mnie swą starą żołnierską kurtą.

Niderlandczycy na tyle byli uprzejmi, że spadli na nas dopiero z pierwszym brzaskiem. Wraża lekka jazda rozpędziła wysunięte oddziały naszych arkebuzerów i rychło mieliśmy tuż przed sobą ich zwarte szyki, zmierzające do zdobycia młyna Ruijter i otwarcia drogi, przez Oudkerk na Bredę wiodącej. Chorągiew kapitana Catona dostała rozkaz dołączenia do pozostałych kompanii regimentu na błoniach płotami i drzewami otoczonym, pomiędzy trzęsawiskiem a drogą, po drugiej zaś stronie traktu usadowiła się piechota walońska mości Karla Soesta – z flamandzkich katolików, wiernych naszemu monarsze, złożona – dzięki czemu siły nasze rozciągnęły się na ćwierć mili wszere, uniemożliwiając luteranom marsz na Oudkerk. I klnę się waszmościom, że osobliwie dech w piersiach zapierał widok owych dwóch regimentów, oczekujących nieruchomo pośrodku łąk, ze sztandarami wśród pik uniesionych, z lufami arkebuzów i muszkietów wyszczerzonymi na przedzie i po bokach – gdy tymczasem na szczytach okolicznych grobli jęło się pojawiać mrowie nieprzyjaciół, sunących nieubłaganie naprzód. Owego dnia stawaliśmy jeden przeciwko pięciu, rzekłbyś – Maurycy Nassau ogołocił Stany zbuntowane z ludzi, by wszystkich przeciwko nam rzucić.

– Na życie króla naszego, bój to będzie zażarty – posłyszałem słowa kapitana Catona.

– Szczęśliwie, że artyleria z nimi nie ciągnie – zauważył chorąży Coto.

– Na razie.

Oczy mieli zmrużone i spod nisko nasuniętych kapeluszy okiem znawców baczenie dawali, jak zresztą wszyscy Hiszpanie, na lśniące piki, pancerze i hełmy, stopniowo zalewające teren naprzeciw regimentu z Cartageny położony. Drużyna Diega Alatryste wysforowała się naprzód, przygotowała arkebuzy, muszkiety na forkietach wsparła, pociski załadowała, lonty z każdego końca podpaliła i tym sposobem wzmacniała

osłonę lewego skrzydła, w pancerze odzianego i najeżonego gołymi pikami. Każdy pikinier o łokieć stał oddalony od sąsiada. Pierwszy szereg, lekko opancerzony, broń trzymał na ramionach, drugi zasię, osłonięty stalowymi morionami, naszyjnikami, napierśnikami i naplecznikami, pochylił wsparte o ziemię piki ćwierć sta piędzi mierzące i czekał. Ja stanąłem na odległość głosu od kapitana Alatryste, w każdej chwili gotowy dostarczać mu i towarzyszącej mu grupie zapasów prochu, ołowiu i wody, gdyby tylko potrzebę taką odczuli. Spojrzenia me na przemian biegly ku gęstniejącym coraz bardziej masom Niderlandczyków i ku niewzruszonemu obliczu mego pana i pozostałych żołnierzy, którzy stali spokojnie i co najwyżej uwagę jakąś między sobą wymieniali, rzucali skąpe zdania, zmawiali pod nosem zdawkową modlitwę, podkręcali węża albo językiem po wargach wysuszonych przesuwali. I takó¿ trwali w oczekiwaniu. Rychłą walką rozgorączkowany, chcąc się użytecznym okazać, podszedłem do Diega Alatryste, by mu wody podać lub czego by tam sobie wieszował, on aliści ledwie mnie zauważył. Kolbę arkebuzę oparł na ziemi, dłonie położył na lufie, dymiący lont wprzódy wokół lewego przegubu obwiązawszy, i pilne baczenie dawał na nieprzyjacielskie oddziały. Twarz miał pogrążoną w cieniu przez rondo kapelusza rzucanym, napierśnik z bawolej skóry skrupulatnie dopięty pod przewiązanym wypłowiałą czerwoną wstążką pasem z dwunastoma apostołami, rapierem, lewakiem i puszką prochu. Orli profil jego, uwydatniony dzięki gęstym wężom, ogorzała skóra i zapadnięte policzki, od dnia poprzedniego niegolone – wszystko to wrażenie sprawiało, jak gdyby jeszcze chudszy był niżli zazwyczaj.

– Uwaga z lewej! – ostrzegł Catón, zarzucając pelerynę ze znakami na ramię.

Od tamtej strony, skroś pobliskie torfowiska i zagajniki, nadciągała niderlandzka lekka jazda i teren rozpoznawała. Dalszych komend nie

czekając, Garrote, Llop i jeszcze czterech albo pięciu arkebuzerów postąpiło kilka kroków naprzód, podsypało nieco prochu na panewki, wymierzyło skwapliwie i spuściło deszcz pocisków na schizmatyków, którzy zaraz zaciągnęli cugle i zrejterowali. Po drugiej stronie drogi wróg już na regiment Soesta nacierał, prażąc obficie z arkebuzów, Walonowie wszelako dzielnie na ogień ogniem odpowiadali. Z miejsca mego dostrzec mogłem, jak znaczny konny oddział zbrojnych zbliża się do nich, by szarżą wyłom uczynić, ale już piki walońskie pochyliły się na ich powitanie niczym samodzielne wojsko z jesionu i stali.

– Idą – ozwał się Catón.

Chorąży Coto, błyszczącą kolczugą okryty mając korpus i ramiona (dźwigał wszak sztandar, co narażało go na strzały i wszelaki szwank z wrażej ręki), poderwał drzewce z dłoni swego podwładnego i ruszył, by dołączyć do pozostałych znaków w środku naszych sił. Spomiędzy drzew i płotów, ostro odcinających się na tle niskiego jeszcze słońca, całymi setkami wyłazili Niderlandczycy, zaraz też na błonię na nowo w szyki się ustawiali. Krzyczeli przy tym gwoli większego animuszu – wśród nich niemało Anglików szło, równie prędkich do wrzawy, co i do popijawy – wkrótce też, ani na chwilę marszu nie niechając, uformowali zacną linię jakie dwieście kroków od nas, a arkebuzerzy miotali pociski w naszą stronę, lubośmy jeszcze w ich zasięgu nie byli. Napomykałem już waszmościom, że wprawdzie jużem był szmat czasu we Flandrii zmitrężył, ale była to pierwsza moja bitwa w otwartym polu, dlatego nigdy dotąd nie miałem sposobności widzieć Hiszpanów, jak w gotowości bojowej wroga oczekują. Najosobliwsze było milczenie i absolutny bezruch tych posępnych, zarośniętych mężczyzn, co przybyli z najbardziej buntowniczego kraju na świecie, teraz zasię patrzyli, jak nieprzyjaciel podchodzi, patrzyli bez jednego słowa, drgnienia czy miny, które z rozkazami Najjaśniejszego Pana

byłyby niezgodne. Owego dnia właśnie, wedle młyna Ruijter, zmiarkowałem wyraźnie, dlaczego to naszej piechoty podówczas i jeszcze przez wiele lat najbardziej się w Europie obawiano: owóz regiment podczas bitwy przeistaczał się w doskonałą, zdyscyplinowaną machinę wojenną, w której każdy wojak miejsce swe rozumiał. Na tym polegała ich siła i ich duma. Oto wielka zbieranina ludzka, ze szlachciców, awanturników, łotrów i szumowin z całego królestwa złożona, a przecie rzetelna walka za katolickiego monarchę i za prawdziwą wiarę przydawała każdemu z nich, nawet człękowi najpodlejszego autoramentu, godności, której nie uświadczyłbyś nigdzie indziej:

*Na Flandrię zmieniłem ziemię ojczystą,
Żem nie pierworodny, z kwitkiem zostałem.*

*W pole ruszam więc z oręża asystą,
By niedolę zmóc lub rozstać się z ciałem.⁵⁴*

... jak trafnie, a i z naturą niniejszej opowieści w zgodzie napisał płodny geniusz tolekański, brat Gabriel Téllez, bardziej znany jako Tirso de Molina. A że niepodważalna fama szła za naszymi regimentami, toteż i ostatni chudopachołek chwycił lada wicher w żagle własnego honoru, by szlacheckim imieniem się chełpić:

*Ród mój ma we mnie początek,
Snadź lepiej jest się zajmować
Nowego rodu ziszczeniem
Niżli starego zniszczeniem,
Gdy spadnie srom na twą głowę.*

Niderlandczycy wprawdzie ni nosów nie zadzierali, ni wagi żadnej do rodowodów nie przykładali, aliści owego ranka nacierali nader mężnie, sunęli prosto na Brede, stopniowo odległość zmniejszając: ołowiane kule ich muszkietów wciąż padały na trawę, szkody nie czyniąc, ale wcale blisko nas. Spostrzegłem, że nasz szczelnie osłonięty mediolańską zbroją marszałek polny, mość Pedro de la Daga, co wedle sztandarów się trzymał, jedną dłonią nakłada szyszak na głowę, a drugą buławę swą unosi.

Najpierw ozwał się wielki taraban, w mig też zawtórowały mu pozostałe bębny regimentu. Warkot ten zdawał się końca nie mieć, a krew się niemal w żyłach ścinała, bo naokoło zapanowała śmiertelna cisza. Sami Niderlandczycy, tak blisko już będący, żeśmy zgoła mogli rozróżnić ich oblicza, odzienie i broń, też na moment ucichli i zawahali się na odgłos owego łomotu, który dobiegał od strony nieruchomych szeregów, przejścia im broniących. Zaraz atoli, przez kaprali i oficerów ponaglani, podjęli marsz i krzyk swój na nowo. Znajdowali się całkiem nieopodal, jakie sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt kroków, piki i arkebuzy mieli w pełnej gotowości. Widać było nawet rozżarzone końce ich lontów.

I naówczas przez regiment przebiegło wezwanie, gromkie i dufne, i coraz bardziej na sile przybierało, biegnąc od szeregu do szeregu, aż nareszcie do cna zagłuszyło łoskot tarabanów: – Hiszpania!... Hiszpania!... Naprzód, Hiszpanio!

Owo „naprzód” było starożytnym zawołaniem i zawsze jedno oznaczało: strzeżcie się, bo oto Hiszpania naciera. Słyszac to, ażem oddech wstrzymał i na Diega Alatryste znowu spojrzałem, ale nie zdołałem zmiarkować, czy on też ów okrzyk powtórzył. W takt bębnów pierwsze szeregi hiszpańskie poszły naprzód, on zasię wraz z nimi, ramię w ramię z towarzyszami, arkebuz mając w pogotowiu. Po jednej jego stronie, bardzo blisko kapitana

Catona, szedł Sebastián Copons, po drugiej Mendieta, tak ciasno, że szpilki byś nie wetknął. Maszerowali wszyscy miarowo, powoli, równo i dumnie, jakby właśnie przed samym królem defilowali. Ci sami wojacy, co jeszcze kilka dni temu bunt podnosili z powodu niewypłaconego żołdu, teraz kroczyli z zaciśniętymi zębami, wąsami nastroszonymi i gęstymi brodami, w łachmanach osłoniętych natłuszczoną skórą i błyszczącą stalą, nieustraszeni i groźni, z wroga oczu nie spuszczaali – a za nimi jeno dym zostawał z podpalonych lontów. Pobiegłem w ślad za nimi, by niczego nie uronić, lubo kule nieprzyjacielskie świstały już nad naszymi głowami – piechota luterańska i arkebuzerzy byli tuż–tuż. Szedłem, tchu nie mogąc złapać, ogłuszony łomotem mej własnej krwi, która tętniła mi w żyłach i w bębenkach, jakbym całą armię doboszów w sobie nosił.

Pierwsza palba niderlandzka zabrała nam kilku ludzi, a szyki nasze czarną chmurą spowiła. Kiedy dym się rozwiął, ujrzałem, że kapitan Catón unosi buławę. Na znak ów Alatryste i jego towarzysze bez słowa stanęli, dmuchnęli w lonty, wycelowali arkebuzy i przytknęli do nich policzki. Tak oto, trzydzieści kroków od nieprzyjaciela, Stary Regiment z Cartageny wszedł do bitwy.

– Zewrzeć szeregi!... Zewrzeć szeregi!

Słońce od dwóch godzin stało już na niebie, a regiment bił się od samego świtu. Wysuniętym oddziałom arkebuzerów hiszpańskich długo udawało się utrzymać pozycje, wielkie przy tym szkody czyniły wśród wrażeń sił. Kiedy jednak natarła na nie lekka jazda, strzelając, kłując i siekąc, cofnęli się, ani na chwilę wszelako pleców lutrom nie pokazując, i na powrót wtopili się w główny korpus regimentu, gdzie rychło sformowali, wespół z pikinierami, ludzki mur nie do przebycia. Ledwie na skutek szarży albo palby wyłom w nim powstawał, zaraz nowi na miejsce zabitych wchodzili,

tedy z każdym nowym atakiem Niderlandczycy napotykali nieodmiennie zaporę z pik i muszkietów, która do odwrotu ich zmuszała.

– Znów nacierają!

Rzekłbyś, sam bies heretyków ze swych wąpiów womituje, oto bowiem trzecia szarża w naszą stronę nadchodziła. Lance ich połyskiwały coraz bliżej wśród gęstego dymu. Gardziele naszych dowódców całkiem już ochryły od nieustannego komend wydawania, kapitan Catón postradał był kapelusz w ogniu walki, twarz miał całą od prochu czarną, a krew schizmatycka na rapierze jego ani myślała zaschnąć.

– Piki stawiaj!

Nasi lekkobrojni, w pierwszej linii ciasno stojący i dobrze osłonięci pancerzami i morionami ze stali i miedzi zrobionymi, przysunęli piki do piersi. Następnie każdy zrównoważył broń na lewej ręce, za czym prawą ujął w poziomie i naprzód wymierzył, gotów skrzyżować ją z nieprzyjacielem. W tym samym czasie ustawieni po bokach arkebuzerzy srogo ogniem nacierających smagali. Śród nich i ja się znajdowałem, wciśnięty pomiędzy żołnierzy drużyny mego pana, i starałem się jeno nie być zawadą dla ludzi zatrudnionych przy ciągłym ładowaniu arkebuzów i muszkietów, przy czym te ostatnie, jako cięższe, nie z ręki odpalano, a z ustawionych na ziemi forkietów. Uwijałem się jeno, już to prochu jednemu, już to pocisków innemu donosząc, już to wreszcie trzeciemu bukłaczek z wodą, który przywiązany trzymałem do pasa na piersi. Palba taki dym wzniecała, że aż śleplem i dusiłem się, ślozy z oczu mi płynęły i często gęsto musiałem po omacku ku potrzebującym się kierować.

Właściem dostarczył kapitanowi Alatryste porcję pocisków, jako że już zaczynało mu ich brakować, i patrzyłem, jak wsuwa część z nich do woreczka przytroczonego do prawego uda, dwa w usta, a jeden w lufę arkebuza, ubija go dobrze, następnie podsypuje prochu na panewkę,

dmucha na rozżarzony lont wokół lewicy owinięty, po czym unosi broń ku twarzy i celuje w najbliższego Niderlandczyka. Wszystko to czynił niemal mechanicznie, jednocześnie szukając wzrokiem kolejnego wroga, a kiedy strzał padł, spostrzegłem, jak wrazemu pikinierowi w ogromnym morionie dziura się tworzy w napierśniku. Niemal natychmiast do tyłu się zwałił, a chmara towarzyszy już go całkiem zasłoniła.

Na prawo od nas już bój szedł na piki, a i w naszą stronę nacierała znaczna grupa zbrojnych heretyków. Diego Alatryste podniósł lufę rozgrzanego arkebuza ku ustom, wypuścił do środka pocisk, z niebywałą flegmą powtórzył te same ruchy i znowu wypalił. Skutkiem wyziewów własnego jego prochu twarz całkiem mu poszarzała, a wąsy siwymi się zdawały. Sadza jeszcze bardziej uwydatniała mu zmarszczki, a widoczne wśród niej oczy, całe od dymu poczerwieniałe, nieustannie baczenie dawały na nadchodzące szeregi niderlandzkie. Ledwo jaki nowy cel sobie upatrzył, już go z oka nie spuszczał, jak gdyby utracić się go bał, jak gdyby rzeczą honoru było zabić tego właśnie, a nie innego nieprzyjaciela. Wnosiłem, że z rozmysłem sam sobie ofiary wybiera.

– Tam są!... – wrzasnął kapitan Catón. – Nie ustawać!... Nie ustawać!

Po to snadź, by nie ustawać, kapitan Catón od Boga otrzymał był dwoje rąk, rapier i setkę Hiszpanów. I czas już był wielki, by się nimi wybornie posłużyć, jako że piki niderlandzkie całkiem chwacko się do nas zbliżały. Pomimo huku strzelaniny posłyszałem, jak Mendieta klnie w żywe kamienie, jak tylko my Baskowie przeklinać potrafimy, albowiem odpadł mu zamek od arkebuza. Zaraz potem ołowiany ptaszek przefrunął o cal od mego lica, wiizzz, trach, i tuż za mną jeden z żołnierzy na ziemię się osunął. Po prawej rozpościerał się prawdziwy gąszcz pik niderlandzkich i hiszpańskich, a owa najeżona fala stalowych grotów z wolna sięgała już i naszego oddziału. Zobaczyłem, że Mendieta obraca arkebuz, chwytając go za

lufę i gotuje się machać nim jak cepem. Wszyscy w pośpiechu oddawali ostatnie wystrzały.

– Hiszpania!... Święty Jakubie!... Hiszpania!

Z tyłu, za lasem naszych pik, powiewały na wietrze krzyże świętego Andrzeja, kulami srodze podziurawione. Niderlandczycy byli tuż–tuż, istna lawina oczu przepelnionych grozą lub szalem, pokrwawionych twarzy, wrzasków, pancerzy, morionów i blach, rośli heretycy, płowi i nader bitni, co już się szykowali, by pikami i halabardami nas dosięgnąć albo rapierami posiekać. Spostrzegłem, że Alatryste i Copons społem arkebuzy na ziemię cisnęli i dobyli swego żelaza, mocno stopami na ziemi stając. I już piki niderlandzkie między nasze szeregi się wdarły, a groty ich nuże kłuć i kaleczyć, w krwi katolickiej się nurzać. Diego Alatryste na przemian ciął i sztychy zadawał, lubo miejsca wśród tej jesionowej płataniny miał niewiele. Chwyciłem jedno drzewce, co się wedle mnie pojawiło, a stojący obok Hiszpan zaraz wraził swe ostrze w gardziel schizmatyka, co pikę na drugim końcu dzierzył, iż krew jego, po drewnie spływając, dłoń mi całą zbrukała.

Rychło dostaliśmy wsparcie i naszych pikinierów, którzy przeciwko Niderlandczykom wychynęli ponad naszymi ramionami oraz wszędzie tam, gdzie śmierć zabrała któregoś z Hiszpanów i wyłom w szeregu uczyniła. Jak okiem sięgnąć, gmatwanina pik się rozpościerała, a wewnątrz niej wzmagala się sumienna jatka.



...iżę dobyli swego żelaza, mocno stopami na ziemi stając...

Ruszyłem w stronę Alatrystego, łokciami drogę sobie torując pomiędzy towarzyszami broni. Raptem Niderlandczyk jakiś, na odlew przezeń chłaśnięty, padł mu do stóp i ramionami je oplótł, chcąc pogromcę swego tą metodą za sobą na dół pociągnąć. Na widok ów krzyknąłem dziko, własnego głosu nie słysząc, dobyłem sztyletu i jak grom na nieprzyjaciela spadłem, gotów bronić pana mego, choćby mnie na kawałki posiekać mieli.

Zdjęty szalem, zacisnąłem dłoń na twarzy tamtego, dociskając ją do ziemi, Alatriście tymczasem kopniakami z owych niespodziewanych wyników się wyswobadzał, zarazem rapier swój w nieprzyjaciela od góry parokrotnie wrażając. Niderlandczyk atoli wił się wciąż, snadź nie chciał tak łącno dać się na tamten świat odkomenderować. Człkiem był żwawym i mocarnym, krwią wprawdzie broczył niczym byk z Jaramy pod koniec korridy, i z ust, i z nosa, do dziś pamiętam lepką posokę jego, zmieszaną z prochem i kurzem, spływającą mu po bladym, piegopatym, płowo zarośniętym obliczu. Sukinsyn nie chciał umierać, mocował się do ostatka, a ja z nim. Przycisnąłem go jeszcze silniej lewą ręką, w prawej zaś zacisnąłem mizerykordię i zadałem mu trzy energiczne pchnięcia między żebra, że jednak uderzałem z bardzo bliska, wszystkie ześliznęły się po skórzanym napierśniku. Po oczach jego poznałem wszelako, że sztychy moje odczuł, bo z westchnieniem ciężkim puścił nogi pana mego, by twarz własną chronić, jakby trwożył się, że tam go snadź ugodzę. Mnie strach i wściekłość zgoła zaślepiły, w głowie mi się bowiem nie mieściło, jak można tak długo przed ekspedycją do czarta się wzbraniać. Niewiele myśląc, wsunąłem sztylet mój między sznurki jego kaftana – Neen... Srinden... Neen!⁵⁵, mamrotał piekielnik – i całym ciężarem swym się na rękojęści wsparłem. Zdrowaśka jedna nie minęła, a puścił z gęby ostatni krwawy potok, oczy bielmem mu zaszyły i zastygł bez ruchu, jakby nigdy życia w nim nie było.

– Hiszpania!... Wycofują się!... Hiszpania!

Zdziesiątkowane oddziały Niderlandczyków zarządzały odwrót, depcząc po trupach swych kamratów, które gęsto usłały trawiaste pole. Kilku porywczych młodzików z naszych szeregów już chciało w pogoń za tamtymi się puszcząć, większość jednak pozostała tam, gdzie była: regiment z Cartageny składał się głównie ze starych wiarusów – zbyt wielu,

by teraz szyki załamywać i biec tam, gdzie groziło wciąż atakiem z flanki albo zasadzką. Alatryste ucapił mnie za kołnierz kaftana, obrócił, chcąc zmiarkować, czym ranny nie został, i wówczas oczy me napotkały jego jasnozielone oczy. Bez słowa ni gestu zbędneho uniósł mnie z luterskiego cielska i odepchnął do tyłu. Kiedym patrzył, jak ociera swój rapier o napierśnik leżącego, unosi ramię i wsuwa broń do pochwy, zdało mi się, że wielce jest znużony i wyczerpany. Oblicze uwalane miał krwią, podobnie dłonie i strój – nie była to atoli jego własna. Rozejrzałem się. Sebastián Copons, który właśnie szukał swego arkebuza pod zwałonymi ciałami Niderlandczyków i Hiszpanów, broczył z otwartej rany na skroni.

– Srał to pies – mamrotał oszołomiony Aragończyk, macając sobie szeroki na dwa cale kawał skóry z włosami, co mu nad lewym uchem zwisał. I podnosił kciukiem i palcem wskazującym ów kawałek ciała, nie bardzo wiedząc, co ma dalej czynić. Alatryste dobył tedy z kieszeni czystą chustkę i ułożywszy mniej więcej naderwaną skórę na swoim miejscu, obwiązał druhowi głowę.

– Prawie mnie te gównojady załatwiły, Diego.

– Czyli jeszcze nie przyszła pora.

Copons wzruszył ramionami.

– Jeszcze.

Podniosłem się chwiejnie, wojsko tymczasem na nowo szyki formowało, odciągając na bok niderlandzkie ścierwa. Niektórzy wykorzystali sposobność, by pośpiesznie obszukać trupy i zgarnąć skąpe trofea. Widziałem, jak Garrote bez alteracji lewakiem swym palce jednemu obcina i pierścienie z nich do kieszeni wsuwa, a Mendieta nowy arkebuz u jednego nieboszczyka obstalowuje.

– Zewrzeć szyki! – ryknął kapitan Catón.

Jakie sto kroków od nas oddziały niderlandzkie, otrzymawszy wsparcie, szykowały się do ponownego natarcia. Można było dostrzec lśniące zbroje ichniej jazdy. Nasi zostawili przeto grabież na później i na powrót stanęli ciasno, ranni zasię człapali na tył, chcąc jak najraźniej umknąć z pierwszej linii. Trzeba było też uprzętnąć hiszpańskich poległych, by szyki znowu ustawić: regiment nie oddał ani piędzi terenu.

Tak to zatrudnialiśmy się cały poranek i południe nas zastało przy niezłomnym odpieraniu kolejnych ataków niderlandzkich, wzywaniu świętego Jakuba i Hiszpanii, gdy byli już bardzo blisko, odciąganiu naszych poległych i opatrywaniu na miejscu naszych ran – aż nareszcie heretycy, snadź pewni, że nie da się wzruszyć owego niezachwianego muru ludzkiego ni o cal, już z mniejszym wigorem jęli nacierać. Mój zapas prochu i kul dawno się wyczerpał, przeto czas wypełniałem, obszukując trupy w nadziei, że będzie sposobność co nieco zarekwirować. Niekiedy korzystając, że Niderlandczycy w przerwach między szarżami odstępowali na większą odległość, zapuszczałem się głęboko w pole, by zaopatrzyć się u martwych wrażeń arkebuzerów, nieraz też pierzchałem jak zając, ścigany świstającymi mi nad głową pociskami muszkietów. Skończyła mi się także woda, którą pan mój i jego kompani pragnienie uśmierzali – na wojnie pali gardło jak wszyscy diabli – tedy kilkakrotnie szedłem też nad kanał za naszymi plecami. Droga ta nie należała do przyjemnych, usłana była bowiem naszymi rannymi i dogorywającymi żołnierzami, którzy zdołali wycofać się na tyły – maszerowałem tak przez nader pośępny krajobraz wśród okrutnych ran, okaleczeń, krwawiących kikutów, lamentów we wszystkich językach Hiszpanii wznoszonych, drgawek przedśmiertnych, modlitw, bluźnierstw i formułek kapelana Salanuevy, który dłonią znużoną udzielał ostatnich namaszczeń, a że oleje mu się też skończyły, używał do

celu tego własnej śliny. Głupcom, co rozpowiadają farmazony o chwale z wojen i bitew płynącej, należałoby przypomnieć słowa markiza de Pescara⁵⁶: „Daj mi, Boże, sto lat wojny i ni jednego dnia bitwy”, albo sprokurować spacer podobny temu, jaki i mnie przypadł w udziale owego dnia – wtedy łącznie pojęliby prawdziwe oblicze i ukrytą maszynę całego tego spektaklu, gdzie na pierwszym planie są sztandary, fanfary i opowieści zmyślane przez tchórzliwe szelmy i pyszałków z ostatnich szeregów. Tacy i im pokrewni najczęściej na monetach z profilu i na posągach figurują, nigdy zasię świstu kul nie słyszeli, nigdy agonii towarzysza nie widzieli, nigdy wreszcie rąk we krwi wrażej nie zbrukali, nie groziło im także nigdy, że celny strzał prosto w pachwinę klejnotów ich pozbawi.

Podczas wędrówek mych po wodę do kanału rzucałem przy sposobności okiem na drogę od młyna Ruijter i od Oudkerk wiodącą – w nadziei, że posiłki stamtąd nadciągną, ale żywego ducha nie obaczył. Z oddalenia mogłem także całość pola bitwy wzrokiem ogarnąć, Niderlandczyków na wprost i dwa regimenty nasze, co im z obu stron przejście grodziły – hiszpański po mojej lewej, a wojsko Soesta po prawej. Jak okiem sięgnąć, stał lśniła, błyskały muszkiety, dymiały lonty, a chorągwie powiewały wśród nieprzeliczonego mrowia sterczących pik. Nasi walońscy towarzysze dzielnie stawali, ale godzi się też wspomnieć, że trudniejsza rola im przypadła, z bardzo bliska bowiem wraże arkebuzy ogniem ich smagały, a ciężka jazda nękała szarżami. Wraz z kolejnymi atakami coraz mniej grotów się podnosiło, a lubo wojsko Soesta z godnego i bitnego składało się żołnierza, przecie nieubłaganie słabło z każdą chwilą. Sprawa taki paskudny obrót przyjąć mogła, że gdyby Walonowie ulegli, lutry miałby sposobność, by zająć ich teren i nasz regiment z Cartageny od flanki zaskoczyć, szkody znaczne poczynić, a młyn Ruijter tudzież szlak na Oudkerk i Bredę ostatecznie wpadłby w ich ręce. Powróciłem do mego

regimentu z bojażnią w sercu, a gdym mijiał naszego pana marszałka polnego, który w środku naszego zgrupowania siedział na koniu, otoczony swymi oficerami i przygodnymi gapiami, jeszcze bardziej na duchu upadłem. Jakaś zbłąkana kula niderlandzkiego muszkietu, lubo impet zdążyła stracić, zdołała wszak utkwić w jego wybornie tłoczonym mediolańskim napierśniku, czyniąc w nim głębokie wgniecenie. Krom tego aliści dowódca nasz snadnie w dobrym zdrowiu pozostawał, w przeciwieństwie do pierwszego trębacza, który poległ od kuli, co go w usta była dosięgła, a teraz na ziemi spoczywał, tuż koło kopyt końskich, i nikt już nim sobie łba nie zaprzętał. Jak zmiarkowałem, mość Pedro de la Daga i sztab jego ze zmarszczonymi czołami obserwowali dziesiątkowane oddziały walońskie. Nawet ja, choć byłem dopiero wyrostkiem, pojmowałem, że jeśli Soest padnie, Hiszpanom, pozbawionym wsparcia jazdy, nic innego nie pozostanie, jak wycofać się do młyna Ruijter, byleby nie dać się zejść od flanki. Widok rejterującego regimentu musiałby wielkie spustoszenie sprawić. Albowiem co innego szacunek i bojaźń ze strony wroga, gdy ten natrafia na mur zdecydowanych na wszystko żołnierzy, co innego zasię, gdy żołnierze ci pierzchają, by walki uniknąć, choćby robili to bez pośpiechu i głów nie tracąc. Osobliwie w epoce, kiedy wojsko nasze słynęło nie tylko z okrucieństwa w ataku, ale także z nieustraszonej dumy w chwili, gdy umrzeć przychodziło – podówczas mało kto mógł dostrzec, jakie mundury nasze mają barwy na plecach, nawet na obrazku. Oto dlaczego tyleż warta była siła naszych pik, co i nasza fama.

Słońce zenitu już sięgało, kiedy Walonowie, mężnie odsłużwszy swoje monarsze i prawdziwej wierze, ostatecznie ulegli. Szarża ciężkiej jazdy i natarcie piechoty niderlandzkiej zdołały rozproszyć ich szeregi, a my z naszej strony traktu widzieliśmy, jak wbrew staraniom oficerów wielu z

nich salwuje się ucieczką w kierunku młyna Ruijter, a inna, bardziej waleczna grupa ciągnie w naszą stronę, by tu szukać schronienia. Wraz z nimi nadjeżdżał ich marszałek, mość Karel Soest, bardziej przypominający teraz śmierć na chorągwi, bez hełmu, z obydwoma rękami potrzaskanymi przez kule z arkebuzów, w gronie oficerów, którzy usiłowali ratować sztandary. Pędząc w nieładzie i z takim impetem, omal nas nie poturbowali. Gorzej jednak, że w ślad za nimi nadciągała też jazda i piechota niderlandzka, najwidoczniej chcąc na jednym ogniu upiec dwie pieczenie. Na nasze szczęście byli już uznojeni poprzednim natarciem, liczyli tedy, że może sami zmylimy szyki, taki widząc obrót spraw. Nadmieniałem wszelako waszmościom, że regiment z Cartageny nie składał się z żółtodziobów, w niejednym ogniu bitewnym już się był hartował, przeto zgoła bez komendy nijakiej przepuścił wprzód sporą liczbę czmychających Walonów, za czym nasza prawa flanką zamknęła się na powrót na podobieństwo wrót żelaznych, a sroga palba z arkebuzów i muszkietów w mig trupem położyła zarazem resztkę niedobitków z regimentu Soesta, jak i mnogość Niderlandczyków, co im na pięty następowali.

– Stawiaj piki po prawej!

Bez pośpiechu, ze swą sławetną zimną krwią nasi zbrojni z flanki zwrócili się na prawo, by stawić czoło heretykom, następnie ustawili końce pik na ziemi, zapierając je dodatkowo butami, a groty pochyłili naprzód, podtrzymując drzewca lewymi dłońmi, prawymi zaś dobyli rapierów. Sposobili się, by poszatkować nadciągającą konnicę.

– Święty Jakubie!... Hiszpanio i święty Jakubie!

Niderlandzcy zatrzymali się, jak gdyby od ściany się odbili. Siła uderzenia atoli tak wielką była, że w drzazgi poszły drewniane lance,

łamiąc się o cielska koni, trzaskając o piki nieprzyjaciół i grzęznąc w plątaninie drzewców, rapierów, sztyletów, cięć i ciosów.

– Stawiaj piki na wprost!

Schizmatycy napierali teraz także od przodu, na powrót z lasów się wynurzywszy – pierwsza mknęła jazda, a za nią pancerni. Nasi arkebuzerzy ze zwyczajną im flegmą ponowili swą robotę, mierząc i strzelając jak na komendę, nie wołali przy tym głośno o proch czy pociski, szyków też nie psuli. Śród nich ujrzałem także Diega Alatryste, jak dmucha na lont, celuje i spust naciska, wszystko w stosownym tempie. Palba położyła sporą liczbę Niderlandczyków, większa część ich sił aliści dotarła do nas bez przeszkód, skutkiem czego oddziały arkebuzerów, a ja z nimi społem, musiały schronić się za pikinierami. W tym pomieszaniu mego pana z oczu postradałem, dostrzegłem jeno Sebastiana Coponsa, któremu bandaż na łbie jeszcze bardziej aragońskiej hardości dodawał, teraz zasię bez wahania za rapier swój chwycił. Kilku Hiszpanów ogony podkuliło i ratunku szukać jęło śród męźniejszych towarzyszy, co snadź dowodem jest, że nie zawsze z łona matki Iberii lwy na świat wychodziły. Większość jednakowoż stawała dzielnie. Co chwila kula w kogoś trafiała, iże trzask się rozlegał. Pikinier jakiś krwią swoją mnie ochlapał i padł na mnie, wzywając przy tym po portugalsku: *Madre de Deus*⁵⁷. Wyszwoleciwszy się spod niego, wysunąłem sobie spomiędzy nóg jego lancę i zmiarkowałem, że wokół mnie istne morze ludzi się przewalało to w jedną, to w drugą stronę, roztaczając z brudnych, poszarpanych mundurów odór potu, spalonego prochu i krwi.

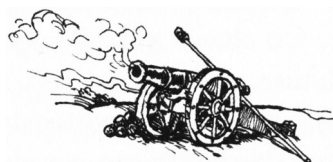
– Trzymać się!... Hiszpania!... Hiszpania!

Z tyłu, skryte za osłoną wojska, co sztandary chroniło, nieustannie warkotały tarabany. Coraz więcej kul świstało, coraz więcej ludzi padało bez ducha, a każdy wyłom w szeregu zapełniany był natychmiast przez

kolejnego żołnierza, a ja potykałem się co rusz o jakiegoś uzbrojonego nieboszczyka. Już zgoła niewiele widziałem z tego, co się naokoło działo, wspinałem się przeto na palce, by cokolwiek dostrzec ponad głowami walczących, pomiędzy ich kaftanami i pancerzami, pomiętymi kapeluszami, hełmami i morionami, wśród arkebuzów, muszkietów, pik, halabard i rapierów. Dusłem się już od gorąca i dymu i całkiem zmysły traciłem, tedy ostatnim przebłyskiem świadomości dobyłem mizerykordii.

– Oñate!... Oñate! – wrzasnąłem z całych sił.

Chwilę później chrupnęły drzewca, zarżały poranione wierzchowce, zaszczechało żelazo i wśród tego hałasu spadła na nas ciężka jazda niderlandzka. Od tego momentu już tylko Bóg był w stanie rozpoznać swoich.





VI. PO GARDLE.



ywa, spoglądam na obraz i wspomynam. Gdzieś w głębi płótna, za zasłoną dymów i szarych mgieł, coś zda się majaczy, atoli nawet Diego Velázquez, pomimo że mu opowiedział, ile potrafiłem, nie zdołał oddać długiej a morderczej drogi, jaką wszyscy przebyć musieliśmy, zanim ustawiliśmy się w ową majestatyczną scenę, ani też lanc, które nigdy wschodu słońca nad Bredą nie ujrzały, bo postradaliśmy je podczas marszu. Mnie samego i po latach nie ominął widok grotów tychże pik, unurzanych we krwi pod Noordlingen i Rocroi, a były to ostatnie przebłyski hiszpańskiej gwiazdy i okrutny zmierzch chwały wojsk naszych we Flandrii. Ze wszystkich owych batalii, także z tej pod młynem Ruijter, osobliwie pamiętam dźwięki: krzyki ludzi, stukot drzewców, szcęk stali o stal, chrzęst rozpruwanego odzienia i trzask łamanych kości.

Pewnego razu, znacznie później, Angélica de Alquézar zapytała mnie niedbale, czy znam odgłos przykrzejszy niż zakopywanie gracą ziemniaka. Odparłem bez wahania, że owszem, chrupot, z jakim rapier przebija czaszkę. A ona naówczas uśmiechnęła się i spojrzała na mnie uważnie i z zadumą tymi modrymi oczami swymi, ani chybi podarunkiem od samego biesa, zaczym dłoń wyciągnęła i palcami dotknęła moich powiek, którymi

po tylekroć odgrodzić się nie mogłem od koszmaru, ust, co tyleż razy krzyki strachu i odwagi z siebie wydawały, wreszcie dłoni, które żelazem raziły i krew przelewały. Potem zasię pocałowała mnie szerokimi i ciepłymi wargami, a uśmiech z nich nie znikł ani na moment i trwał, gdy się ode mnie odsunęła. Lecz do dziś, gdy z Angeliki życie już uszło, jako i z owej Hiszpanii i epoki, o których tu prawie, nie potrafię uśmiechu jej z pamięci wymazać. Uśmiechu, co towarzyszył wszelkim jej niecnym postępkom, każdej chwili, gdy na szwank żywot mój wystawiała albo kiedy blizny me okrywała pocałunkami. Blizny, z których jedną – jak w innym miejscu nadmieniałem – sama mi, do diaska, zadała.

I pamiętam też dumę. Śród uczuć, co się po głowie tłuką podczas walki, pierwszy idzie strach, za nim zapal i szaleństwo. Za nimi w duszę żołnierską sączą się zmęczenie, rezygnacja i zobojętnienie. Wszelako gdy taki przeżyje, i jeżeli z twardej gliny jest ulepiony, która męźnych jest budulcem, dochodzi wówczas jeszcze ukontentowanie z dobrze spełnionego obowiązku. A nie gadam tu waszmościom o obowiązku żołnierza wobec Boga albo króla ni o żądzy łachmyty, by na żołd zapracować, ani takież o powinności towarzysza broni wobec kompanów. Mówię tu o rzeczy zgoła innej, którą u boku kapitana Alatryste byłem poznałem: o obowiązku walki, gdy przyjdzie pora, niezależnie od tego, w imię jakiego narodu i sztandaru czynić to przyjdzie – te bowiem przecież u każdego pozostają kwestią przypadku. Mówię o chwytaniu za broń, zapieraniu się nogami w ziemię i targowaniu się o cenę własnej skóry za pomocą celnych sztychów miast oddawania jej za darmo niczym owca w rzeźni. Mówię o tym, by tę prawdę znać i z niej korzystać, gdyż nieczęsto życie mamy sposobność tracić z godnością i honorem.

Sprawy tak się miały, że szukałem mego pana. Pośród owego oblędu, wśród koni, co oszalałe swe własne patrochy deptały, wśród zacieklej szermierki i palby brnąłem ze sztyletem w dłoni, rozpychając się i uskakując, i wzywałem kapitana. Wszędy trwała nieustanna, wyborna jatka, aliści nikt nie siekł wroga w obronie króla, jeno po to, by jestestwa swego tanio nie zbyć. Pierwsze szeregi naszej drużyny zwały się z Niderlandczykami w jedną dziką masę, która dźgała się nawzajem zaciekle, przy czym czerwone bądź pomarańczowe wstążki jedynym były znakiem, kogo kłuć żelazem, a kogo wesprzeć braterskim ramieniem.

Była to moja pierwsza rzetelna bitwa, rozpaczliwa, przeciwko każdemu, kto nieprzyjacielem mi się jawił. Wcześniej bywałem już w ciężkich opałach, jużem był strzelał do człowieka w Madrycie, skrzyżowałem ostrza z Gualteriem Malatestą, zdobywałem szturmem rogatki Oudkerk i potykałem się to tu, to tam w całej Flandrii – przebóg, nie każdy młokos mógł się takową biografią pochwalić. Dopiero co przeciłem był nawet dobił własną mizerykordią schizmatyka, ciężko przez kapitana Alatryste ranionego, czego dowodem plamy krwi psubrata na mym kaftanie. Wszelako nigdy dotąd, przed ową szarżą niderlandzką, nie ujrzałem się w takich terminach jak w tamtej chwili, zewsząd otoczony takim szaleństwem, gdzie bardziej szczęście się liczy niżli odwaga czy talenty. Wszyscy nader sprawnie a zaciekle łupnia sobie dawali, wokoło kłębił się srogi gąszcz walczących ciał, w ścisku deptano po trupach, rannych, pokrwawionej trawie tudzież po zbędnych już pikach, arkebuzach, nawet rapierach, miejsca bowiem tyle było, by częstować z bliska lewakami i sztyletami, a wszystko to przy akompaniamencie suchych wystrzałów z pistoletów. Nie mam pojęcia, jak z życiem ujść zdołałem wśród takiej jatki, to wiem aliści, że po upływie kilku chwil, a może stulecia całego – snadź nawet czas przestał płynąć tak, jak to miał we zwyczaju – odnalazłem się,

cały poturbowany, skołowany, przepelniony zarazem bojażnią i odwagą, tuż obok kapitana Alatryste i kompanów jego.

Klnę się na życie króla naszego miłościwego, że podobni byli wilkom. Pierwsze szeregi sprawiały wrażenie wielkiego galimatiasu, drużyna pana mego wśród nich jawiła się niczym maleńki czworobok. Tworzący go mężowie, plecami do się zwrócen, siekli wokół rapierami i lewakami tak wybornie, jakby to nie wojsko, ale jakaś zębata bestia bój toczyła. Przy tym nie wznosili okrzyków „Hiszpania” albo „święty Jakub” dla dodania sobie animuszu, woleli bić się z zaciśniętymi zębami, oszczędzali oddech jeno na to, by skuteczniej rznąć heretyków; musicie, waszmościowie, dać wiarę, że pilnie się do roboty przykładali, naokoło bowiem już cała cizba bez ducha ni patrochów leżała. Sebastián Copons nadal straszył pokrwawionym zawojem na łbie, Garrote i Mendieta wywijali kikutami lanc, by Niderlandczyków dalej od siebie trzymać, Alatryste zaś uwijał się z lewakiem i rapierem we krwi unurzany aż po jelce. Całości grupy dopełniali bracia Olivaresowie i Galisyjczyk Rivas. José Llop leżał już, niestety, martwy na ziemi. Nie od razu zdołałem rozpoznać w nieboszczyku naszego wojaka z Majorki, albowiem wystrzał z arkebuza połowy twarzy go był pozbawił.

Patrząc na Diega Alatryste, przysięgłbym, że myślami jest w jakiejś innej sferze. Odrzucił był kapelusz i teraz brudne włosy opadały mu bezładnie na uszy i czoło. Nogi rozstawione miał szeroko, jakby w ziemię bretnalami wbite, a cała siła i złość jego skupiły się w oczach, jaśniejących niebezpiecznym żarem pośród czarnego od prochu oblicza. Manewrował bronią nader sprawnie, wyprowadzając śmiertelne pchnięcia, jakby kierowała nim jakaś inna siła wewnątrz jego jestestwa. Zatrzymywał klingi i groty lanc, ciął bez pardonu, a każdą chwilę przerwy pożytkował na to, by ręce opuścić i dać im odrobinę wytchnienia, nim znów do walki je

zaprzęgnię, niby sknera, co zapasy energii skąpo wydziela. Przysunąłem się doń bliżej, on wszakże ni jednym drgnieniem twarzy nie zdradził, że mnie rozpoznaje. Wyglądał na kogoś, kto znużony długą drogą, znalazł się hen, na progu piekieł i bije się desperacko, nie rzuciwszy nawet okiem za siebie.

Od ściskania rękojeści sztyletu aż mi dłoń zdrętwiała. Nareszcie, zgoła nad sobą nie panując, upuściłem broń, zaraz przeto schyliłem się, by ją podnieść. W tymże momencie kilku Niderlandczyków rzuciło się na nas hurmem, krzycząc jak potępieńcy, zahuczały muszkiety, a nad łbem moim starły się lance, tworząc istną gęstwinę. Czułem, jak wokół mnie padają ludzie, tedy ucapilem sztylet i nuże się prostować, zmiarkowałem bowiem, że snadź przyszła i dla mnie pora. W tejże chwili coś mnie w głowę łupnęło, dostałem kręćka, a przed oczami cała skier gromada zatańczyła. Omal zmysły do cna postradałem, aliści zacisnąłem rękojeść w garści, gotów wbić ostrze w cokolwiek, co by się nadarzyło – było mi wszystko jedno, byle tylko nie ostać się bez broni. Zaraz potem pomyślałem o macierzy mej i jąłem się modlić. „Ojczy nasz, *Gure Aita*”, mamrotałem pośpiesznie, powtarzając to samo po kastylijsku i baskijsku, otumaniony i niezdolny przypomnieć sobie dalsze słowa. Raptem ktoś wyszarpnął mnie za kaftan spośród walczących i pociągnął jak worek przez trawę, przez martwe i ranne ciała. Zadałem na oślep ze dwa ciosy sztyletem, tusząc, że popadł w nieprzyjacielskie łapy, lecz oto ów ktoś klepnął mnie dwukrotnie w kark, przetom się uspokoił. Ledwie oczy otwarłem, okazało się, że znajduję się w niewielkim kręgu, przez ubłocone nogi i buty utworzonym, leżę na trawie, a tymczasem gdzieś nad mą głową rozlega się łoskot szczękającej broni: kling, trach, krek, szust, klang – przeraźliwy koncert na żelazo, rozcinaną odzież i ciała, łupane z chrobotem kości i charkot dobywający się z przerynianych gardzieli, pełen wściekłości, bólu, przerażenia i śmierci. Dalej zasię, poza murem wojska, co nieugięcie

broniło naszych sztandarów, taraban dudnił dumnie i wytrwale, zagrzewając do boju starą, nieszczęsną Hiszpanię.

– Cofają się!... Równaj i na nich!... Cofają się!

Regiment wytrzymał, lubo pierwsze szeregi padły na posterunku, tworząc uformowaną masę martwych ciał, co front batalii stanowiła. Surmy na nowo zagrały, a i warkot tarabanu rażności nabrał, temu ostatniemu coraz więcej nowych bębnow wtórowało, idąc mu z odsieczą, na grobli zasię i wzdłuż traktu od młyna Ruijter wiodącego falowały chorągwie i istny łań pik błyskał, przybyłych z wyczekiwaną pomocą. Cały szwadron włoskich kurt, w jakie odziani byli konni arkebuzerzy, mimo nas przejechał, pozdrowiwszy nas przelotnie, i na schizmatyków ruszył, tamci tedy, solidnie przetrzepani wskutek naszej młócki, nuże rejterować w nieładzie i popłochu, ratunku w pobliskim zagajniku szukając. Takoz i nasi, co wojować jeszcze byli zdolni, jako to pancerni, pikinierzy i muszkietierowie, szarżować jęli na drugą stronę traktu, gdzie właśnie po godnej walce dogorywał waloński regiment Soesta.

– Na nich, na nich!... Naprzód, Hiszpanio!... Naprzód!

Nasza strona już ogłaszała wiktoryę, a ci sami, co przez cały poranek bili się w milczeniu uporczywym, teraz gromko wychwalali Najświętszą Panię i Jakuba Apostoła, a tu i ówdzie widać było, jak znużony wiarus broń opuszcza i całuje różaniec względnie medalik. Tarabany głosiły krwawą a bezlitosną masakrę, a w ich takt nasi najpierw dopadli, potem rozgromili wroga, złupili go i ograbili, srogą pobierając zapłatę za naszych zabitych i za ową mordęgę, jaką nam byli od świtu zgotowali. Szyki naszego regimentu wnet się połamały, żołnierze bowiem już za heretykami gonili, dopadając w pierwszej kolejności rannych i maruderów. Niejedną głowę rozłupano, niejedną kończynę oderżnięto, niejedną gardziel rozcięto i

raczej się nikt tu z nikim nie cackał – wieźcie bowiem, waszmościewie, że lubo piechota hiszpańska słyneła z okrucieństwa podczas ataku i obrony, to jeszcze sroźszą była, gdy brała się do odwetu. Włosi i Walonowie bynajmniej w tyle nie pozostawali, osobliwie ci ostatni wielki zapał czując do tego, by krew przez ich pobratymców pod sztandarem Soesta przelaną pomścić. Jak okiem sięgnąć, wszędy widać było mężów, co gęsiego biegną, zabijają ile sił, obdzierają licznych rannych i zabitych, tak poszatkowanych, że u niektórych największą nietkniętą częścią ciała okazywało się ucho.

Do dzieła owego zabrali się też wespół z całym wojskiem kapitan Alatryste i towarzysze jego, i to tak niezwłocznie, jak tylko możecie sobie, waszmościewie, wyobrazić. Ich śladem podążyłem i ja, nadal oszołomiony rzezią i z guzem wielkości jaja na łbie, ale jak wszyscy wokół darłem się z całych sił. Z pierwszego napotkanego trupa zerwałem osobliwą krótką szpadę, robotę snycerzy z Solingen, po czym swój sztylet schowałem, a nową zdobyczną stalą teutońską jałem siec każdego wroga, którego napotkał, dychającego jeszcze czy martwego, jakbym kiskę krwawą w talarki kroił. Wszystko to było zarazem masakrą, zabawą i szaleństwem, a gdzie wcześniej wrzała bitwa, teraz widziałeś rzeźnię angielskich byczków i jatkę flamandzkich członków. Byli i tacy, co się zgoła nie bronili, jak chociażby gromadka, którą dopadliśmy, jak grzęzła po pas w torfowisku. Urządziliśmy tam rzetelny połów wśród kalwinów, zalewając ich potokiem żelaza i siekąc na prawo i lewo, nie bacząc na ich prośby i uniesione błagalnie ręce, aż czarna woda poczerwieniała cała, a psubraty pływały w niej jak śnięte i poszatkowane tuńczyki.

Siła wrogów poległo, bo też mieliśmy gdzie ich zabijać, i niejedna gardziel nieprzyjacielska otworem stanęła. Pogoń ciągnęła się całą milę i trwała aż po zmrok, pod koniec zasię pospołu z żołnierzami dzieła

zniszczenia dokonywali także i giermkowie, krom nich jeszcze okoliczne chłopstwo, najchętniej służące tylko jednemu panu, któremu na imię chciwość – a nawet towarzystwo złożone z kilku markietanek, ladacznic i kramarzy, co z Oudkerk przybyło, łupów zapachem znęcone. Postępowali tedy w ślad za wojskiem, łupili, co jeszcze się dało, niczym stado kruków, które już jeno gołe ścierwa owych nieszczęśników za sobą ostawia. Ja w pościgu uczestniczyłem u boku awangardy, nijakiego znużenia całym dniem owym nie odczuwając, jak gdyby wściekłość i żądza zemsty dodały mi sił, by tak gonić aż do końca świata. I niech mi Bóg wybaczy, jeśli zdoła, alem całkiem od wrzasku ochrypl i od stóp do głów skąpany byłem we wrażej krwi.

Rdzawy zmierzch zapadał już nad ogniskami rozpalonymi po drugiej stronie lasu i nie było miejsca ni w kanale, ni na ścieżce, ni na grobli, ni na wiodącym jej szczytem trakcie, gdzie nie leżałyby coraz liczniejsze szczątki. Nareszcie przystanęliśmy wyczerpani wedle pięciu, sześciu może domostw, gdzie nawet chudobę już żelazem potraktowano – tam bowiem schroniła się grupka maruderów, tedy ostatnie promienie światła należało wykorzystać, by i z nimi skończyć. Wytchnienie dał nam dopiero czerwony poblask płonących dachów i krzepiący ciężar łupów w kieszeniach, przeto żołnierze jęli opadać na ziemię to tu, to tam, raptem utrudzeni, i dyszeć niby zziajane bestie. Dureń jeno utrzymywać może, że zwycięstwo wesołością napawa – gdy zmysły powracają, wszyscy milkną, unikają spojrzeń towarzyszy, jakby sromali się z powodu swych potarganych, brudnych włosów, zbrukanych i napiętych obliczy, poczerwieniałych oczu i krwi na odzieniu i broni zaschniętej. Teraz jedynym dźwiękiem, jaki nam towarzyszył, był trzask ognia i chrzęst płonących żagwi, którym z dala w ciemności wtórowały pojedyncze wystrzały i okrzyki, snadź gdzieś jeszcze masakra kresu nie dobiegła.

Przykucnąłem obolały i znużony pod jednym z domków, plecami wsparłszy się o ścianę. Oczy śluzami mi zaszły od wieczornego powietrza, oddychałem z trudem i umierałem z pragnienia. W blasku ognia dostrzegłem, jak Curro Garrote zawiązuje tobolek pełen pierścieni, łańcuszków i srebrnych guzów, które zdarł był z poległych. Mendieta leżał twarzą do ziemi i przysięgłbyś, że nie więcej ducha w nim zostało, niżli w porozrzucanych wszędy Niderlandczykach, gdyby nie jego donośne chrapanie. Gdzieniegdzie widziałem i innych naszych, jak spoczywali w pojedynkę bądź grupkami, zdało mi się nawet, że dostrzegam kapitana Catona z ręką na temblaku. Z wolna jeły dobiegać mnie ciche uwagi i pytania o to, co z tym czy owym kompanem. Ktoś zagadnął o Llopa, lecz odpowiedzią było milczenie. Co poniektóry rozpałał już ogień, by podpiec kawałki mięsa z ubitych zwierząt wycięte, wkrótce też wokół płomieni żołnierze gromadzić się poczęli. Niebawem rozmowa toczyła się już na głos, a gdy wreszcie któryś zdanie lub może facecję rzucił, zaraz zawtórowały mu gromkie śmiechy. Pamiętam, że osobliwe wrażenie na mnie to uczyniło, skłonny byłem już bowiem wierzyć, że po takiej robocie śmiech na wieki z powierzchni ziemi zniknie.

Obróciłem się ku kapitanowi Alatriście i zmiarkowałem, że mi się przypatruje. Siedział po turecku wsparty o ścianę kilka kroków ode mnie i objął ramionami kolana, nadal z arkebuzem w ręku. U boku jego spoczął Sebastián Copons, głowę miał o mur opartą, rapier ułożony między nogami, lico pokryte burą skorupą, a opaskę zsuniętą aż na potylicę, skutkiem czego odsłoniła mu się rana na skroni. Rysy ich twarzy mieniły się w pełgających płomieniach z pobliskich domostw, odcinając się wyraźnie na tle pogorzeliśka. Rozjarzone od blasku oczy Diega Alatriście patrzyły na mnie z podejrzliwą uwagą, jakby chciały wyczytać coś z mego wnętrza. Mnie zaśię przepełniały i wstyd, i duma; i znużenie, i nieustający łomot serca; trwoga,

smutek, gorycz i radość, żem z życiem uszedł – i zaklinam się przed waszmościami, że wszystkie te odczucia i doznania pospołu mogą człekiem ować po tak srożej bitwie. Kapitan spoglądał na mnie w milczeniu tak badawczo, iżem jałem czuć się nieswojo – spodziewałem się pochwał, uśmiechu, co by ducha we mnie zagrzał, czegoś, co zaświadczy o jego szacunku, żem tak mężnie stawał jak rycerz pełną gębą. Dlatego właśnie zbił mnie z pantaląku ten wzrok jego, z którego wyczytać jeno dawało się skupienie, częste i przy innych sposobnościach. Wyraz jego oblicza, a może zgoła brak wyrazu, nie dozwalał mi przeniknąć, co za nim się skrywa – umiejętności tej nabyłem dużo później, po latach. I ku memu wielkiemu zaskoczeniu, kiedy już sam na starego wygę wyrosłem, zmiarkowałem (a może mi się zdało), że ja również tak na świat spoglądam.

Nieswój, postanowiłem uczynić coś, co sytuację rozładuje. Wyprostowałem się tedy mimo boleści, wsunąłem mą niemiecką szpadę za pas tuż obok sztyletu i wstałem.

– Pójdę po coś do jedzenia i picia, dobrze, panie kapitanie?

Odblask płomieni wciąż tańcował mu na policzkach. Długo nic nie mówił, w końcu tylko skinął głową, aż zarysował się na tle ognia jego orli profil i sumiasty wąs, po czym popatrzył za mną, jak odwracam się i podążam w ślad za własnym cieniem.

Ściany izby całe czerwieniały od dobiegającego z za okna blasku pożaru. Wszystko wewnątrz było porzucane, zasłony walały się po podłodze, skrzynie leżały dnem do góry, meble w nieładzie. Stopy chrzęściły mi po tym poboju, gdym wałęsał się po domostwie w poszukiwaniu jakiej komory albo spiżarki, której jeszcze nie zdążyli odwiedzić nasi łapczywi towarzysze. Pamiętam dojmujący smutek, jakim napawało mnie owo spustoszone, mroczne gospodarstwo, opuszczone przez żywych, co

niedawno jeszcze ogrzewali jego ściany. Rozpacz i zniszczenie niegdysiejszego ogniska, gdzie ani chybi śmiech dziecka się niegdyś rozlegał i gdzie dorośli obsypywali się pieścizotami i słodkimi słówkami. A ciekawość, z jaką intruz buszuje sobie w najlepsze po miejscu zwykle dlań niedostępnym, jeszcze w mym mniemaniu rozpacz tę pogłębiała. Oczami imaginacji ujrzałem mój własny dom w Oñate, skutkiem wojennych działań splądrowany, matkę moją nieszczęsną i siostrzyczki uciekające w popłochu albo i w gorszym nawet stanie, gdy tymczasem po ich izbach myszkuje jakiś cudzoziemski młokos, który – jak ja w owej chwili – przypatruje się rozrzuconym, połamanym lub spalonym skromnym resztkom naszych wspomnień i naszego życia. I z iście żołnierską małodusznością uradowałem się, że we Flandrii, a nie w Hiszpanii. Zaklinam się bowiem waszmościom: w czas wojny zawsze jakąś pociechę znajdziesz w tym, że największe cierpienia stają się udziałem obcych i że można pozazdrościć tym, co nikogo na świecie nie mają, a jedyne, co na szalę kładą, to ich własna skóra.

Nie znalazłem niczego godnego uwagi. Przystanąłem na chwilę, by urynąć pod ścianą oddać, i jużem się do odejścia zabierał, zapinając pluderki, gdy raptem coś obudziło we mnie najwyższą czujność. Zamarłem na chwilę i nadstawiłem uszu, aż posłyszałem to coś na nowo. Był to długi, cichy jęk, wątpła skarga, dobiegająca z drugiego końca zawalonego rumowiskiem wąskiego korytarza. Można by pomyśleć, że to zwierzak jakiś się żali, gdyby nie obecne chwilami niemal ludzkie tony.



*Wyciągnąłem przeto cichcem sztylet... i lgnąc do ściany, jąłem zbliżać się,
by zmiarkować, co to zacz.*

Wyciągnąłem przeto cichcem sztylet – w takiej ciasnocie ze szpady niewielki miałbym pożytek – i lgnąc do ściany, jąłem zbliżać się, by zmiarkować, co to zacz. Pożar na dworze oświetlał połowę izby, rzucając cienie o czerwonych brzegach na ścianę z wiszącym na niej posiekanym przez rapiery gobelinem. Tuż pod nim na podłodze siedział człek jakiś, plecami wciśnięty w kąt między ścianą a rozchwierutaną szafą. Płomienie odbijały się w stalowym napierśniku, który żołnierza w jęczącym zdradzał,

i pozwalały dostrzec długie płowe włosy, całe zmierzwione i zbrukane błotem i krwią, zszarzałe oczy i zgrozę budzące oparzenie, co pół twarzy do żywego mięsa mu przeżarło. Ani drgnął, patrzył jeno tępo w jasność przez okno wpadającą, a z ust jego dobywał się ów lament, którym był usłyszał w korytarzu, zgaszony, nieustanny jęk, chwilami zmieszany z niezrozumiałymi słowami w obcym języku.

Zbliżyłem się doń z wolna, sztyletu z ręki nie wypuszczając i czujnie okiem bacząc na dłonie jego, czy czasem broni jakiejś tam nie dierży. Biedaczysko nie miał atoli sił, by dierżyć cokolwiek. Wyglądał niczym wędrowiec, co siadł nad brzegiem rzeki umarłych, bo przewoźnik Charon zapomniał go zabrać w ostatnią podróż. Ukucnąłem i przez krótką chwilę przypatrywałem mu się z zaciekawieniem, on wszakże jakby mnie zgoła nie zauważył. Nadal spoglądał bez ruchu w okno, dobywał z siebie nieskończony lament i urwane, dziwaczne słowa – nawet gdy tknąłem mu ramię czubkiem sztyletu. Oblicze jego przypominało straszliwą wersję Janusa: jedna strona całkiem nietknięta, druga zaś przemieniona w miazgę spalonego i poszarpanego ciała, w którym migotały drobniutkie kropelki krwi. Ręce też musiał mieć zwęglone. Jak pamiętałem, w spalonej oborze na tyłach domostwa leżało siła niderlandzkich trupów, miarkowałem tedy, że ten, ranę odniósłszy w walce, doczołgał się aż tu skroś żagwie, by schronienie znaleźć.

– *Vlamminck*⁵⁸ ? – spytałem.

Odpowiedzią był jeno kolejny przeciągły jęk. Po dalszej obserwacji zmiarkowałem, że to człek młody, niewiele ode mnie starszy. Wnosząc zasię z napierśnika i odzienia, należał do pancерnej jazdy, która z rana była na nas szarżowała przed młynem Ruijter. Kto wie, może nawet walczyliśmy nieopodal, kiedy Niderlandczycy i Anglicy usiłowali przełamać szyki nasze, a my z desperacją broniliśmy się do upadłego. Dumąłem teraz, że

dziwnie podczas wojny losy się plotą, a fortuna osobliwie jest zmienna. Skoro jednak koszmar bitwy miałem za sobą tudzież pościg za uciekinierami, wyzbyłem się też i wszelkiej wrogości i urazy. Widziałem owego dnia śmierć wielu Hiszpanów, ale wrogów jeszcze więcej. W owym momencie rachunki miałem wyrównane, ów młodzian był całkiem bezbronny, a jam już był swą żądzę krwi nasycił. Tedy wsunąłem z powrotem sztylet i wyszedłem na zewnątrz, do kapitana Alatryste i pozostałych.

– Tam ktoś jest – rzekłem. – Żołnierz.

Kapitan, który nawet nie drgnął od chwili, kiedym go zostawił, ledwie wzrok uniósł.

– Hiszpan czy Niderlandczyk?

– Chyba Niderlandczyk. Albo Anglik. I ciężkie ma rany.

Alatryste skinął niespiesznie głową, jak gdyby o tak późnej porze napotkanie żywego i całego heretyka graniczyło z cudem. Po chwili wzruszył ramionami na znak, że nie bardzo wie, po co mu o tym prawie.

– Takem sobie pomyślał – podsunąłem – że moglibyśmy mu pomóc.

Teraz odwrócił oblicze nader powoli od gorejących nieopodal belek i nareszcie na mnie spojrział.

– Takeś sobie pomyślał – mruknął.

– Tak.

I znów zamilkł, przyglądając mi się badawczo, by po chwili zwrócić się do Sebastiana Coponsa, który wciąż siedział bez słowa u jego boku z głową o ścianę opartą i pokrwawionym bandażem nadal zsuniętym na kark. Alatryste wymienił z nim krótkie spojrzenia i na powrót wzrok na mnie przesunął. Słysząc było tylko skwierczenie ognia.

– Takeś sobie pomyślał... – powtórzył beznamiętnie.

Powstał z niemałym wysiłkiem, jak gdyby kości do cna miał zdrętwiałe i siła go kosztowało przebudzić je na nowo. Widowym było, że ni ochoty, ni siły do działania nie ma.

Zaraz za nim podniósł się też i Copons.

– Gdzie jest?

– W domu.

Powiodłem ich przez izbę i korytarzyk aż do owego pokoiku z tyłu. Heretyk dalej leżał w kącie między ścianą a szafą i cichutką skargę zanosił. Alatryste zatrzymał się na progu i spojrzeniem sytuację ocenił, nim się doń zbliżył. Wreszcie pochylił się i jeszcze czas jakiś obserwował nieszczęśnika.

– Niderlandczyk – zakonkludował.

– Damy radę go uratować? – spytałem.

Kapitan Alatryste rzucał teraz nieruchomy cień na przeciwległą ścianę.

– Pewnie.

Poczułem, że Sebastián Copons mija mnie w wejściu, kierując się ku rannemu. Złamana deska podłogi skrzypnęła mu pod butem. W tym momencie Alatryste podszedł do mnie.

Ujrzałem, jak Copons sięga za siebie i dobywa lewaka.

– Idziemy – ozwał się do mnie kapitan.

Lubo popychał mnie dłonią, oparłem mu się i patrzyłem, jak Copons opiera ostrze lewaka na gardzieli Niderlandczyka i podrzyna mu ją od ucha do ucha. Uniosłem lico strwożony ku ciemnej plamie, jaką w tej chwili była twarz Alatrystego. Nie widziałem jego oczu, ale domyśliłem się, że utkwili je we mnie.

– Myślałem... – jąłem bełkotać.

I zaraz zamilkłem, bom poczuł, że tu wszelkie gadanie po próżnicy. Odruchowo, nie myśląc, co robię, odsunąłem się, by dłoń kapitana z

ramienia zrzucić – ta wszelako ścisnęła mnie nader krzepko. Tymczasem Copons już się podnosił, obtarł zakrwawioną stal o ubiór biedaka i wetknął broń na powrót do pochwy. Wreszcie przeszedł mimo nas i ruszył korytarzem, jak gdyby nigdy nic.

Otrząsnąłem się gwałtownie, uwalniając się w końcu z uścisku, i uczyniłem dwa kroki w kierunku martwego już młodzieńca. Niemal nic się nie zmieniło krom tego, że już nie jęczał, a po naszyjniku zbroi spływała mu ciemna, gęsta i połyskliwa wstęga, której czerwień mieszała się z ognistym blaskiem zza okna dobiegającym. Wydawał się jeszcze bardziej samotny niżli wprzódy, samotnością tak przejmującą, że ogarnęła mnie dogłębna żalność, tak straszna, jakbym to ja sam albo może kawałek mnie leżał tam na ziemi, plecami do ściany, i wbijał nieruchome, szeroko rozwarte oczy w ciemność nocy. I pomyślałem, że przecież ani chybi ktoś gdzieś czeka na powrót tego, który donikąd już nie pójdzie. Matka może albo ukochana, siostra albo ojciec modlą się zań, za jego zdrowie, za jego życie, za jego powrót. Pewnie jest gdzieś łóżko, w którym sypiał w dzieciństwie, i krajobraz, wśród którego dorastał. I że nikt w tamtych stronach nie wie jeszcze, że już go nie ma między żywymi.

Nie umiem powiedzieć, ile czasu tak spędziłem, w nieboszczyka się wpatrując. Wiem atoli, że nareszcie kroki posłyszał, i nie musiałem się odwracać, by wiedzieć, że kapitan Alatryste cały czas stał nieopodal. Dobiegła mnie znajoma, ostra woń potu, skóry i żelaza, jaką roztaczały jego mundur i uzbrojenie. A potem – jego głos.

– Człek wie, kiedy nadchodzi kres... Ten tu wiedział.

Nie odpowiedziałem. Wciąż patrzyłem na ukatrupionego żołnierza. Pod nogami jego widniała ogromna, ciemna kałuża z krwi. Aż niewiarygodne –

powiedziałem w duchu – ileż krwi nosimy w swym ciele, będzie co najmniej garniec. I jakże łatwo całą ją spuścić.

– Tyle mogliśmy dla niego uczynić – dodał Alatryste.

I na to nic nie rzekłem, długa zresztą cisza po jego słowach zapadła. Posłyszałem wreszcie, jak się poruszył. Jeszcze chwilę stał obok, jak gdyby wahał się, czy dalej winien przemawiać do mnie. Jak gdyby w powietrzu wisiała nieskończona liczba niewypowiedzianych słów i jeśli on wyjdzie stąd w milczeniu, to na wieczność już będą przemilczane. Aliści się nie ozwał, a jego kroki z wolna jęły oddalać się w głąb korytarza.

I dopiero wówczas ja też się obróciłem. Byłem przepełniony głuchą, cichą wściekłością, jakiej do owej nocy nigdy nie zaznałem. Wściekłość, w której i rozpacz się kryła, i gorycz, tak właściwe samemu kapitanowi Alatryste, kiedy zwykł milczeć pośepnie.

– Czyli chce mi wasza miłość powiedzieć, kapitanie, że to był zbożny czyn?... Że to przysługa?

Nigdy jeszcze dotychczas takim tonem do mego pana się nie zwracał. Kroki ustały, a głos kapitana zabrzmiał nadspodziewanie głucho. Siłą wyobraźni widziałem, jak wpatruje się jasnymi oczami w mroczną pustkę.

– Gdy pora nadejdzie – rzekł – proś Boga, by ktoś uczynił to samo dla ciebie.

Tak właśnie było owej nocy, gdy Sebastián Copons poderżnął gardziel rannemu Niderlandczykowi, a ja zrzuciłem z ramienia dłoń kapitana Alatryste. I tak właśnie przekroczyłem, zgoła nieświadom, ową smugę cienia, jaką każdy człek przytomny przekroczy wcześniej czy później. Tam, stojąc samotnie wedle trupa, jałem inaczej na świat spojrzeć. Pojąłem, że oto wszedłem w posiadanie straszliwej prawdy, którą dotychczas wyczytać mogłem jeno w zielonych oczach kapitana Alatryste: kto z dala zabija,

niczego nie wie o zabijaniu. Kto z dala zabija, nijakiej lekcji nie odbiera na temat życia i śmierci, nie ryzykuje, rąk krwią sobie nie bruka, oddechu nieprzyjaciela nie słyszy, strachu, odwagi ni obojętności w oczach jego odczytać nie umie. Kto z dala zabija, swego ramienia, serca ni sumienia na próbę nie wystawia, w jego głowie nie rodzą się upiory, co go później regularnie nocami nawiedzają do końca życia. Kto z dala zabija, łotrem jest, co innym zleca brudną, straszliwą robotę, którą sam winien wykonać. Kto z dali zabija, gorszym jest od innych ludzi, albowiem nie wie, o to złość, nienawiść, zemsta i przemożne cierpienie ciała i krwi w bliskim zetknięciu ze stalą – ale nie wie też, co to zmiłowanie i wyrzuty sumienia.

Oto dlaczego kto z dala zabija, nie wie, co traci.





VII. OBLEŻENIE.

*Od Íñiga Balboi do mości Francisca de Quevedo y Villegas * Do rąk jego w
Gospodzie Pod Turkiem * Przy ulicy Toledo, opodal Puerta Cerrada w Madrycie*

Drogi mości Francisco,



*iszę do Waszej Miłości wedle życzenia kapitana Alatryste, abys
waszmość zmiarkował – powiada – jakie postępy w tej sztuce poczyniłem.
Przeto zechciej waszmość błędy mi wybaczyć. Na wstępie pochwalę się,
że, o ile okoliczności pozwalają, kontynuuję moje lektury i gdy tylko czas
po temu sposobny, ćwiczę się w stawianiu ładnych liter. W chwilach
wytchnienia, których w życiu giermka, jako i żołnierza, tyleż samo albo i więcej, co
innych, uczę się od wielebnego Salanuevy deklinacji i czasowników łacińskich.
Ojciec Salanueva to nasz kapelan regimentarski, jak powiadają tu w wojsku, wiele
mu do świętości brakuje, ale że ma niewyrównane rachunki z panem moim, to i
odpłaca się przysługami. Wszelako traktuje mnie z oddaniem i czas, kiedy
pozostaje trzeźwy (a należy do tych, co piją i podczas mszy, i znacznie więcej
pomiedzy nimi) poświęca na pogłębianie mego wykształcenia, a czyni to
wspomagając się Pamiętnikami Cezara i świętymi księgami, choćby Starym i
Nowym Testamentem. A skoro już o księgach tu prawię, śpieszę wdzięczność
waszmości wyrazić za przysłanego mi tu Przemyślnego rycerza don Kichota z
Manczy, to jest drugą część Przemyślnego szlachcica, którą czytam z
ukontentowaniem i pożytkiem równym lekturze części pierwszej.*

Co się tyczy naszego pożywania tu we Flandrii, musi WM wiedzieć, że ostatnimi czasy uległo ono pewnym zmianom. Kresu dobiegła zima, a wraz z nią nasze kwaterowanie wzdłuż kanału Ooster. Stary Regiment z Cartageny stacjonuje teraz pod samymi murami Bredy i bierze udział w jej oblężeniu. Niełatwe to zadanie, bowiem Niderlandczycy całkiem wybornie się ufortyfikowali, każdy nasz podkop napotyka ich podkop, każda nasza mina przeciwminę, każdy nasz okop – ich okop, tedy bardziej niżli żołnierską zatrudniamy się robotą krecią. Co sprawia, że pod dostatkiem mamy niewygód, brudu, błota i wszy. Na domiar złego działanie nasze wystawione jest na ryzyko, albowiem łącznie możemy paść ofiarami wypadów, jakie tamci z warowni czynią, i ognia ze strony arkebuzerów. Mury twierdzy nie z cegieł są uczynione, a z ziemi, co utrudnia budowę nasypów do ataku sposobnych, bo przy tym artyleria nasza wali bez przerwy. Twierdza umocniona jest piętnastoma dobrze strzeżonymi bastionami i fosami, do tego dochodzi czternaście półksiężyców, a wszystko to razem tak zmyślnie urządzone, że mury, bastiony, półksiężyce, osłony i fosy bronią się wzajemnie nader udatnie, iż na każde nasze podejście tracimy mnóstwo wysiłku, a nierzadko i ludzkich istnień. Obronę miasta dowodzi Niderlandczyk Justyn Nassau, krewny innego Nassaua, Maurycego. A powiadają, że ma oddziały francuskie i walońskie przy bramie Ginneken, angielskie przy bramie Den Bosch, a flamandzkie i szkockie u bramy Antwerpskiej. Wszystkie zasię wielce w sztuce wojennej doświadczone, tedy zdobyć miasta szturmem nie ma sposobności. Stąd konieczność cierpliwego oblężenia, które z takim wysiłkiem i poświęceniem prowadzi nasz generał mość Ambrosio Spínola i jego piętnaście regimentów katolickich. Są wśród nich, jak zwykle, Hiszpanie, choć nie tak liczni, ale przecie zawsze pierwsi tam, gdzie niebezpieczeństwem pachnie i gdzie potrzeba żołnierza zaprawionego w boju i zdyscyplinowanego.

Zdumiałbyś się Wasza Miłość, oglądając roboty inżynierskie i koncept, z jakim się je wykonuje. Ani chybi cała Europa nadziwować się nie może, skoro każda wioska i fort wokół miasta połączone są okopami i bastionami, by obleganym wypadu niecne udaremnić i zapobiec nadejściu pomocy z zewnątrz. Bywają tygodnie, że w naszym obozie dużo częściej zatrudnienie znajdują łopaty i inżynierzy niżli armaty i rapiery.

Kraj to płaski, łąk pełen i drzew, w wino zgoła nie obfituje, woda tu smaku nie ma, za to przygnębienie przynosi, wszędy zniszczenie tylko i spustoszenie wskutek wojny, stąd i narzekamy na prowianty. Miarka pszenicy kosztuje osiem florenów, o ile fortuna zdarzy, że tyle najdziesz. Nawet siemię brukwi cenniejsze jest od driakwi. Włóścianie i handlarze z okolicznych wsi nie śmią niczego do obozu naszego dostarczać, chyba że po kryjomu. Niektórzy spośród żołnierzy hiszpańskich, co w mniejszym poważaniu honor mają niżli żołądek, posilają się mięsem padłych koni, co nader lichą stanowi strawę. My, giermkowie, w poszukiwaniu żywności zapuszczamy się niekiedy bardzo daleko, nawet na tereny nieprzyjacielskie, gdzie myszkuje heretycka kawaleria, która czasem bierze nas za niedobitków, a czasem to i żelazem nas częstuje. Ja sam nieraz zdrowie zawierzałem szybkości własnych nóg. Niedostatek jest przeogromny, jak już nadmieniałem, zarówno w naszych okopach, jak i w mieście. To zasię działa ku naszej korzyści i na pożytek prawdziwej wiary, albowiem Francuzom, Anglikom, Szkotom i Flamandom warowni broniącym, jako że plemiona to zwyczajne dużo wystawniejszego życia, bardziej głód i bieda doskwiera niżli naszej stronie, osobliwie Hiszpanom. Tu bowiem większość stanowią ludzie wiekowi, nawykli do mizerii w ojczyźnie i wojny na obczyźnie, gdzie trzeba się opędzić skibką czerstwego chleba i paroma łykami wody czy wina.

Gdybyś waszmość pytał o nasze zdrowie, to ja czuję się dobrze. Jutro kończę piętnaście lat, urosłem też o kilka cali. Kapitan Alatryste miewa się jak zwykle, skąpy na ciele i skąpy w słowach. Atoli niedostatki nie zdają się robić na nim wrażenia. Dlatego może, jak sam powiada (podkreślając wąsa, czyniąc ten swój grymas, co za uśmiech można by poczytać), że niemal od urodzenia przestawał z panią biedą i zżył się z nią, a że żołnierz do wszystkiego przywyknie, tedy i nie dziwota. Sam Wasza Miłość wiesz, że człek to nieskory do tego, by za pióro chwycić i epistoły smażyć. Ale polecił mi, bym Waszej Miłości dzięki przekazał za waszmościne listy. Nalega też, bym pozdrowił waszmość odeń z całą serdecznością i uważaniem. To samo zechciej waszmość przekazać pozostałym druhom jego spod Turka i Cyganisze.

I ostatnia rzecz. Wiem od kapitana, że WM ostatnimi czasy bywa w Pałacu. Jeśli to prawda, możesz waszmość spotkać tam dziewczynkę, młodkę może, którą wołają Angélica de Alquézar. Tuszę, że ani chybi już ją poznałeś. Była, a pewnie

jest nadal dworką Najjaśniejszej Pani. W takim przypadku zanoszę do waszmości łaskawą a osobliwą prośbę. Jeśli sposobność się nadarzy, zechciej waszmość przekazać jej, że Íñigo Balboa przebywa we Flandrii, gdzie służy naszemu królowi i najświętszej wierze katolickiej, i że już zdążył wziąć z honorem udział w walce, jak na Hiszpana i na żołnierza prawdziwego przystało.

Jeśli uczynisz to dla mnie, drogi mości Francisco, będę darzył waszmość pana jeszcze większym umiłowaniem i przyjaźnią.

Niech Bóg strzeże Waszą Miłość, jako i nas wszystkich.

Íñigo Balboa Aguirre (Pisane pod murami Bredy, pierwszego dnia kwietnia roku Pańskiego tysiąc sześćset dwudziestego piątego) Do okopu docierały odgłosy prac minerskich, jakie heretyk prowadził. Diego Alatryste przyłożył ucho do jednej z wrażonych w grunt belek, co chrust i kosze szanćcowe umacniały, i ponownie wsłuchał się w głucho szur-szur, dobiegające gdzieś z wnętrza ziemi. Już od tygodnia obrońcy Bredy nocą i dniem trudzili się, ażeby przeciąć drogę do okopu i przejścia podziemnego, które nasi kierowali w stronę półksiężycy zwanego Cmentarnym. I tak, piędź za piędzią, my posuwaliśmy się z miną, a tamci z kontrminą, my gotowaliśmy się, by wysadzić niemało beczulek prochu pod niderlandzkimi umocnieniami, a oni przymierzali się, by to samo uczynić pod stopami minerów Jego Katolickiej Mości. Rzecz w tym leżała, kto sprawniej i szybciej swego dopnie. Kto pierwszy wykop ukończy i lont podpali.

– Przeklęte bydlę – powiedział Garrote.

Wsparty na koszu, z głową przekrzywioną i wzrokiem wbitym w dal, stał za osłoną desek, co za strzelnicę mu służyły, i gotował się do wystrzału z muszkietu, którego lont już się ćmił. Skrobał się przy tym z niechęcią po nosie. Rzezonym przeklętym bydlęciem był muł, co od trzech dni leżał martwy na słońcu kilka łokci zaledwie od okopu, na ziemi niczyjej. Czmychnął był z hiszpańskiego obozu, poszwendał się od jednych do drugich, aż nareszcie jakiś muszkieter zza murów, trach, sprawił, że

chudoba kopytka wyciągnęła. I teraz psuła się, przyciągając istną chmurę much.

– Mierzysz, mierzysz, a heretyka nie masz – napomknął Mendieta.

– Już niedługo.

Mendieta siedział w głębi wykopu, u stóp Curra Garrote, i iskał się z wszy z iście baskijską skwapliwością – te utrapienia, jeśli już nie mogły buszować sobie w najlepsze we włosach naszych i łachach, niezwykle powoli wyłaziły na przechadzkę. Biskajczyk, zajęty sobą, uwagę swą uczynił bez szczególnego zainteresowania. Brodę miał gęstą, a strój postrzępiony i powalany ziemią, jak zresztą wszyscy pozostali, w tym także kapitan Alatryste.

– A widział ty go czy jak?

Garrote pokręcił głową. Kapelusz zdjął był wcześniej, by nie wystawiać się na cel tym z przeciwka. Przetłuszczone kędziory zebrane miał na karku w brudną kitkę.

– Teraz nie, ale czasami łeb wystawia... Za następnym razem już skurwysyn oberwie.

Alatryste rzucił okiem ponad przedpiersiem, za deskami i chrustem się kryjąc. Upatrzony przez Garrote Niderlandczyk należał być może do saperów, co jakie dwadzieścia łokci od nas uwijali się u wniścica do tunelu. A że nie stał tam nieruchomo, to i zdradzał się ze swą obecnością, co chwila ukazując głowę – niewiele, ale wystarczająco, by Garrote, uznany za niezrównanego strzelca, celował weń bez pośpiechu, by na koniec posłać mu kulkę. Nasz malagijczyk, wyznający zasadę ząb za ząb, chciał odpłacić za bohaterską śmierć muła.

Z półtora tuzina Hiszpanów siedziało w okopie, jednym z najdłuższych, który wił się zygzakiem zgoła blisko pozycji niderlandzkich. Drużyna Diega Alatryste spędzała w nim dwa z każdych trzech tygodni, reszta zasię

chorągwi kapitana Catona rozproszona była po pobliskich rowach i fosach. Wszystkie znajdowały się pomiędzy półksiężycem Cmentarnym a rzeką Mark, w odległości dwóch wystrzałów z arkebuza od głównego muru i cytadeli Bredy.

– Tuś mi, psubratku – mruknął Garrote.

Mendieta, który dopiero co wesz wyiskał i przypatrywał się jej z poufałą atencją, nim ją między palcami zgniótł, uniósł nagle zaciekawiony wzrok.



Jego palec wskazujący pieścił spust, jakby to był sutek dziewczki za pół dukata.

- Heretyka masz?
- Mam.
- Do diabłów posyłaj, no.
- Właśnie się przymierzam.

Garrote, językiem wargi zwilżywszy, dmuchnął na lont i nader ostrożnie uniósł muszkiet, przymykając lewe oko. Jego palec wskazujący pieścił spust, jakby to był sutek dziewczki za pół dukata. Alatryste też nieco się wychylił i przez chwilę dostrzegł odkrytą głowę, co nieostrożnie wyjrzała z niderlandzkiego okopu.

– I jeszcze jeden, co w grzechu śmiertelnym umiera – dobiegł nas powolny szept Garrote.

Za czym wystrzał się rozległ i zza chmury czarnego prochu Alatryste ujrzał, jak głowa tamtego raptownie przepadła.

Zaraz też okrzyki wściekłości do nas dobiegły, a i ze trzy, cztery może pociski trafiły w przedpole okopu. Garrote, który natychmiast opadł na dno rowu, śmiał się w kułak, dymiący jeszcze muszkiet między nogami trzymając. Z oddali słychać było kolejne strzały i obelgi we flamandzkiej mowie.

– A niech się pierdola – rzekł Mendieta, natrafiając na kolejną wesz.

Sebastián Copons uniósł jedną powiekę i zamknął ją ponownie. Strzał Garrote zbudził go z drzemki, jaką ucinał sobie pod samym przedpiersiem, z głową wspartą na powalonym rękawie. Takż i bracia Olivaresowie wystawili z zaciekawieniem swe najeżone po turecku łby zza zakrętu okopu. Alatryste przykucnął i siadł plecami do nasypu, sięgnął ręką do kieszeni i wyjął kawałek czarnego, czerstwego chleba z fasunku, który trzymał tam od poprzedniego dnia. Wsunął go do ust, zwilżył śliną i jął z wolna żuć. Przy woni rozkładającego się muła i stęchłym powietrzu w

okopie nie była to wyśmienita strawa, ale też wyboru nijakiego kapitan nie miał, przeto nawet ta szydercza skibka jawiła się niczym uczta Baltazara. Na nowe prowianty nie było co liczyć przed nadejściem nocy, gdy ciemność osłony udzieli. Za dnia było nazbyt niebezpiecznie.

Mendieta puszczał kolejną wesz po wierzchu swej dłoni. W końcu znużyła go ta zabawa, tedy rozgniół ją mocnym kłaśnięciem. Garrote stemplem czyścił lufę jeszcze ciepłego arkebuza, nucąc przy tym jakąś piosnkę włoską.

– Ech, nie ma to jak w Neapolu – rzekł po chwili, odsłaniając śród poczerniałej, bisurmańskiej twarzy biały uśmiech.

Wszystkim wiadome było, że Curro Garrote dwa lata przewojował był w regimencie sycylijskim i cztery w neapolitańskim, a do zmiany przydziału zmusiły go nie do końca jasne sprawy – wspomniano o niewiastach, sztylcie, nocnej kradzieży z podkopem, o jakimś nieboszczyku, o przymusowych wczasach w turmie wikariatu i kolejnych dobrowolnych pod osłoną kościoła Capella, gdzie dokonało się to, o czym pisał poeta:

*Kto się wyrwał, gdym go gonił,
Kto mi płaszcz ostawił w dłoni,
Temu nie zagrozi sąd,
Skoro łącno pierzchnął stąd
I się u papieża schronił.*

Owóz pomiędzy tymi wypadkami Garrote zdążył jeszcze na galerach królewskich zwiedzić wybrzeże berberyjskie i wyspy Wschodu, niezgorzej spustoszyć ziemie niewiernych i ograbić tureckie karamuzale i fusty. Jak zapewniał, w ciągu owych lat zdołał był tak się w łupy obłowić, że wystarczyłoby na spokojną starość. I tak też by było, gdyby w paradę nie

weszła mu nadmierna czereda niewiast, a on sam gdyby nie czuł zbytniego pociągu do kart. Skoro bowiem tylko nasz malagijczyk talię jaką gdzie zoczył albo stoliczek grzeczny, iże nisko grać nie zwykł, potrafił słońce przegrać, nim się do wschodu przysposobiło.

– Włochy – powtórzył z cicha, spoglądając w przestrzeń z szelmowskim uśmieszkiem.

Wymówił tę nazwę jak ktoś, kto imię damy wspomina, co akurat kapitana Alatryste ani trochę nie zdziwiło. Lubo nie tak ochoczo się tym przechwalał, ale sam przecie miał za sobą bogate wspomnienia włoskie, które, jeśli to możliwe, teraz we flamandzkim okopie zdawać się musiały jeszcze miłsze sercu. Jak wszyscy weterani dawnych kampanii w Italii, darzył ów kraj osobliwym uczuciem – a może nie tyle kraj, ile raczej młodość własną pod ciepłym i gościnnym śródziemnomorskim niebem. Gdy ze swego regimentu zwolniony został w wieku dwudziestu siedmiu lat po buncie morysków w Walencji, zamustrował się na galery neapolitańskie i wojował z Turkami, Berberami i Wenecjanami. Pływając na galerach markiza de Santa Cruz⁵⁹, widział, jak płonie bisurmańska flotylla pod Goletą, pod rozkazami kapitana Contrerasa⁶⁰ opłynął wyspy Adriatyku, brał też udział w niesławnej a tragicznej bitwie na mieliźnie przy Qerqenna, skąd dzięki pomocy kompana imieniem Diego Duque de Estrada⁶¹ wyciągnął solidnie rannego junaka Álvaro de la Marca, przyszłego hrabiego de Guadalmedina. W owych latach młodości na przemian doświadczał srogich wypadków losu i rozkoszy italskich, czemu niejedno cierpienie albo niebezpieczeństwo towarzyszyło, nic wszelako nie zdołało przyćmić kapitanowi słodkich wspomnień winnic na łagodnych zboczach Wezuwiusza, przyjaciół, muzyki, wina w Gospodzie nad Strumykiem i precudnych białogłów. W roku naszego stulecia trzynastym jego galera wpadła między Scyllą a Charybdą prosto we wraże łapy – a było to u ujścia

Bosforu – naszpikowana po czubek masztu tureckimi strzałami, a połowę załogi psubraty usiekły. On sam, ranny w nogę, swobodę odzyskał, gdy statek wiozący go w jasyr został sam napadnięty. Dwa lata potem, roku piętnastego, ledwie Alatryste osiągnął wiek Chrystusowy, znalazł się wśród tysiąca sześcuset żołnierzy włoskich i hiszpańskich, którzy na pięciu okrętach przez cztery miesiące pustoszyli wybrzeże Lewantu, by nareszcie w Neapolu wylądować z imponującymi łupami. I tam ponownie szczęście przestało się doń uśmiechać. Jedna smagłej płci niewiasta, pół Włoszka, pół Hiszpanka, czarnowłosa i o wielkich oczach – z tych, co to rzekomo trwożą się na widok myszy, za to chętnie przyjmują towarzystwo całej kompanii arkebuzerów – jąła go prosić zrazu o śliwki genueńskie, potem o złoty naszyjnik, a na wety o jedwabne szatki. Ostatecznie wyssała zeń na to wszystko ostatnie grosze. A później awantura przebiegała jak w komediach Lopego: odwiedziny nie w porę, inny mężczyzna w samej koszuli i w takim miejscu, gdzie nie powinien. Osobnik w koszuli z miejsca podważył zaufanie kapitana do urodziwej szelmy, która nuże protestować, że to przecie jej szwagier (lubo po prawdzie wyglądał raczej na suchego szwagra). Zresztą Diego Alatryste zbyt dawno już stracił był mleko pod nosem, żeby takim bajdurzeniom wiarę dawać. Przeto wymierzywszy podwice siarczasty policzek sztyletem i wetknąwszy nieproszonemu gościowi piędź żelaza między pierś a grzbiet – rzekomy szwagier musiał bez gaci do walki stanąć, co znacznie wigoru mu ujęło w chwili prawdy – Diego Alatryste postanowił czym prędzej sprawdzić, gdzie pieprz rośnie, nim w łapy sprawiedliwości wpadnie. To w jego przypadku oznaczało natychmiastowe wejście na pokład statku do Hiszpanii płynącego, co udało mu się dzięki pomocy starego znajomka, wspomnianego już Alonsa de Contreras. W jednym wieku byli, a znali się od czasu, gdy jako

trzynastoletnie pachołęta do Flandrii ruszyli pod sztandarami księcia Alberta⁶².

– Catón idzie – ozwał się Garrote.

Kapitan Carmelo Catón nadchodził rowem schylony, kapelusz w dłoni trzymał, by się na cel nie wystawiać, i przemarszu wraźnych arkebuzerów wypatrywał, stacjonujących w półksiężycu naprzeciw nas. A i tak, mimo tej przezorności, na jego przybycie zaświstało parę pocisków muszkietowych, ziiang, ziiang, i w przedpiersie uderzyło – snadź niełatwo ukryć przed okiem schizmatyka męża jego postury, jako że kapitan był krzepkim leończykiem i na sześć stóp wyrastał.

– Niech im Bozia plagą pobłogosławi – burknął Catón, padając pomiędzy Coponsem a Alatristem.

Wachlował sobie spocone oblicze kapeluszem w prawej dłoni trzymanym, drugą oparł na rękojeści rapiera, niedomagala mu bowiem od czasu bitwy przy młynie Ruijter, gdzie stracił po kawałku serdecznego i małego palca. Po chwili, podobnie jak wprzód Diego Alatryste, przyłożył ucho do jednej z wbitych w ziemię desek i zmarszczył czoło.

– Uwijają się te bezbożne krety – powiedział, po czym opadł na plecy, drapiąc się w wąsy, po których spływały mu z nosa krople potu.

– Dwie złe nowiny przynoszę – dodał.

Tu rozejrzał się po brudnym i nędznym okopie, po wymizerowanych żołnierzach, i skrzywił nos, gdy odór gnijącego muła poczuł.

– Lubo rzecz trzeba, że dla Hiszpana – zażartował – tylko dwie złe nowiny to już dobra nowina.

Co rzekłszy, na powrót zamilkł. Wreszcie z nieprzyjemnym grymasem potarł sobie nos.

– Wczoraj w nocy zabili Ulloę.

Ktoś Boga wezwał, inni milczeli. Ulloa był kapralem, dowódcą drużyny, starym wiarusem. Zaczynał kompan tak długo, dopóty swojej doli nie wywalczył. Catón skąpymi słowami wyjaśnił, że Ulloa wyszedł był po zmroku na rekonesans w kierunku okopów niderlandzkich. Towarzyszył mu pewien Włoch, sierżant, i ten jeno wrócił.

– Komu spadek zapisał? – zaciekawiał się Garrote.

– Mnie – odparł Catón. – I udział w intencjach za duszę.

Przez jakiś czas milczeli, i tak to pożegnano kaprała Ulloę. Copons dalej drzemał, Mendieta wszy wyłapywał. Garrote, który skończył już właśnie muszkiet pucować, robił porządek z paznokciami: obgryzał i wypluwał czubki nie mniej czarne niżli jego własna dusza.

– Jak się posuwa wasz podkop? – zapytał Alatryste.

Catón minę zniechęconą uczynił.

– Prawie się nie posuwa. Saperzy natrafili na ziemię nader miękką, na domiar złego przesiąka woda z rzeki. Siła roboty mają przy stemplowaniu, a to czas zabiera... Obawiam się, że heretycy skończą pierwsi i poślą nas do wszystkich diabłów.

Z drugiego, niewidocznego końca okopu dobiegły odgłosy ostrej strzelaniny – i zaraz umilkły. Na powrót spokój zapanował. Alatryste wpatrywał się w swego kapitana, czekając, kiedy ten wreszcie przekaże im drugą złą nowinę. Catón nie zwykł ich nawiedzać tylko po to, żeby nogi rozprostować.

– Na waszmościów – ozwał się wreszcie oficer – wypadło pójść do kaponier.

– Chryste, w dupę – zaklął Garrote.

Kaponiery, drążone przez saperów, były to wąskie tunele, biegnące pomiędzy fosami, a przykryte derkami, drewnem i koszami. Używano ich,

by nieprzyjaciołom w ich pracach przeszkodzić tudzież by podejść do ich okopów i osłon, gdzie można było petardy odpalić i przeciwnika zacządzić dymem z siarki i mokrej słomy. Ot, łotrowski sposób prowadzenia wojny pod ziemią, po ciemku, w korytarzach tak ciasnych, że czasem tylko dwóch ludzi mogło się minąć, a i to z trudem, gdzie człek dusił się od skwaru, pyłu i siarkowych wyziewów, a mimo to walczyć musiał na sztylety i pistolety, choć oko wykol. Kaponiery naprzeciw półksiężycu Cmentarnego wiły się wokół głównego tunelu hiszpańskiego i nader blisko jednego z tuneli niderlandzkich, a służyły naszym do nękania wroga, i nierzadko ściana ziemnej konstrukcji padała dzięki kilofom albo petardom, saperzy z obydwu stron stawali oko w oko, dalej więc sztyletów dobywać i z pistoletów z bliska walić, a czasem to i krótkie łopaty w ruch poszły, które dla tych zatrudnień ostrzono kamieniami szlifierskimi, by ostrości klingi sztyletu nabrały.

– Już czas – powiedział Diego Alatryste.

Przycupnął u wnijscia do głównego tunelu z całą grupą, kapitan Catón zasię obserwował ich, klęcząc nieopodal z resztą drużyny i jeszcze z tuzinem ludzi tej samej chorągwi, bacząc, czy na pomoc rzucić się nie trzeba. Mojemu panu towarzyszyli Mendieta, Copons, Garrote, Galisyjczyk Rivas i obaj bracia Olivaresowie. Manuel Rivas, jasnowłosy i niebieskooki pocziwina, mężem był śmiałym i zaufania godnym i gadał paskudną hiszpańszczyzną z silnym akcentem z Finisterre⁶³. Olivaresowie z kolei wyglądali na bliźniaków, lubo nimi nie byli. Rysy mieli uderzająco podobne, lica jakby cygańskie, a gęste, czarne czupryny i brody okalały dumne, semickie nochale, po których snadź na milę można było wnosić, że ktoś z pradziadków ani chybi boczku nie jadał – ten akurat szczegół ich kompanów tyle obchodził, co zeszłoroczna pogoda, jako że w regimentach nigdy kwestii czystości krwi nie podnoszono: kto dobrze wojował, musiał

chlubić się krwią czystą i szlachetną. Bracia wszędy pospołu chodzili, spali grzbiet w grzbiet, dzielili się nawet ostatnim kęsem chleba i jeden drugiego osłaniał podczas bitwy.

– Kto pierwszy idzie? – zapytał Alatryste.

Garrote trzymał się z tyłu, najwyraźniej niezwykle zajęty sprawdzaniem, czy sztylet należycie był naostrzył. Rivas z bladym uśmiechem już, już miał do przodu się wysunąć, atoli Copons, jak zwykle w słowach i gestach oględny, podniósł kilka słomek i rozdał towarzyszom. Najkrótsza dostała się Mendiecie. Spoglądał na nią jeszcze przez chwilę, po czym lewak poprawił, kapelusz i rapier na ziemi położył, wziął od Diega Alatryste nabity pistolet i ruszył w głąb kaponiery, niosąc w drugiej dłoni wybornie naostrzoną łopatę. Za nim ruszyli Alatryste i Copons, również pozbywszy się wprzód rapierów i kapeluszy i napierśniki na sobie poprawiwszy, a ich śladem poszła reszta, żegnana milczącym spojrzeniem Catona i pozostałych żołnierzy.

Początek głównego przekopu rozświetlony był smolną pochodnią. Jej mętny blask wydobył z mroku spocone nagie torsy niemieckich saperów, którzy poniechali na moment swych robót, by na kilofach i szpadlach się wesprzeć i na mijających ich żołnierzy spojrzeć. Teutoni równie zacie kopali, co walczyli, osobliwie, gdy byli dobrze opłaceni i trzeźwi. Nawet ich niewiasty, co obładowane niczym muły donosiły im prowianty z obozu, też nie próżnowały przy koszach i narzędziach. Ich kaprał, rudobrody osiłek z ramionami jak połcie szynki andaluzyjskiej, poprowadził oddział przez gmatwaninę tuneli umocnionych deskami, derkami, chrustem i koszami, a im bliżej Niderlandczyków, tym niżej i ciaśniej się robiło. Nareszcie saper przystanął u wniścia do kaponiery, co więcej jak trzy stopy wysokości nie mierzyła. W świetle zawieszzonego tu kaganka widać było lont, który gubił się gdzieś w ciemnościach, złowrogi jak jaka czarna żmija.

– Łokiecz eine, jeden – rzekł Niemiec, rękami pokazując, jaka grubość ziemi dzieli czoło kaponiery od tunelu niderlandzkiego.

Alatriste skinął głową i wszyscy odsunęli się od wylotu i do ściany przyłgnęli, by osłonić sobie usta i nosy gałganami.

Wówczas Niemiec posłał im uśmiech.

– *Zum Teuffell.*⁶⁴

Tyle rzekł. Za czym ujął kaganek i przyłożył ogień do lontu.

Kości. Tunel biegł pod cmentarzem, przeto zewsząd spadały na nich kości pomieszane z ziemią. Długie i krótkie, i nagie czaszki, piszczele, kręgi. Całe szkielety przyobleczone w porwane, brudne całuny, w postrzępione szaty, które czas z wolna pożerał. Wszystko to jeszcze z pyłem zmieszane i gruzem, z przegniłymi kawałkami trumien i nagrobków, a także z odurzającym fetorem, który wypełnił kaponierę po tym, jak Diego Alatriste po wybuchu jął z pozostałymi pełznąć w stronę otworu, mijając po drodze przerażone szczury. W sklepieniu powstała niewielka dziura aż do samej powierzchni, przez którą sączyło się teraz co nieco światła tudzież powietrza. Gdy jednak przecisnęli się już przez tę mętną smugę, dodatkowo zasnutą dymem od niedawnej eksplozji, powitała ich kolejna ciemność, tym razem pełna jęków i krzyków w cudzoziemskim języku. Alatriste czuł, jak pod napierśnikiem ciało zalewa mu pot, usta za to coraz bardziej ma suche i piachu pełne pomimo gałgana, jakim twarz osłaniał. Posuwał się naprzód na łokciach, gdy raptem spod nóg człeka, co go poprzedzał, coś okrągłego potoczyło mu się pod nos. Była to ludzka czaszka – pozostała część roztrzaskanego przez wybuch szkieletu plątała mu się pod rękami i nogami, srodze kalecząc ostrymi końcami skórę na udach.

O niczym nie myślał. Podązał piędź za piędzą, z zaciśniętymi szczękami i powiekami, by ziemi do ust i oczu nie dopuścić, z trudem oddech łapiąc

spod okrywającego oblicze materiału. Niczego nie czuł. Dla jego nieustannie napiętych mięśni ważne było jedno: sprawić, by za życia odbył tę wędrówkę tam i z powrotem przez królestwo umarłych i ujrzał na nowo światło dnia. Świadomość jego sprowadzała się jeno do tego, że mechanicznie powtarzał te same czynności z zawodową skrupulatnością żołnierza. Pełził naprzód, ponieważ pogodził się z tym, co nieuniknione, i ponieważ jeden kompan szedł przed nim, a drugi za nim tuż postępował. To właśnie miejsce Los wyznaczył mu na ziemi – a raczej pod nią, by bardziej w zgodzie być z prawdą – i żadna myśl ani uczucie żadne nie mogły tego zmienić. Niedorzecznością się zdawało, by czas i własną uwagę mitrzyć na cokolwiek, co nie wiąże się z dobytciem pistoletu i sztyletu, gwoli jeno makabrycznego rytuału od wieków przez ludzkość odprawianego: zabijać, byleby przeżyć. Wobec tak prostych spraw nic innego się zgoła nie liczyło. Jego król i ojczyzna jego – gdziekolwiek leżała rzeczywista ojczyzna kapitana Alatryste – byli zbyt daleko od owego podziemnego korytarza, od owej czerni, na końcu której coraz wyraźniej słyszał skargi niderlandzkich saperów, przez wybuch zaskoczonych. Mendieta pewnikiem już do nich dotarł, Alatryste mógł już bowiem rozróżnić suche odgłosy, jakie wydawały ranione ciała i łamane kości. Snadź Biskajczyk nader wybornie łopata się zatrudniał.

Ledwie minęli zwały gruzu, kości i chmury pyłu, kaponiera rozszerzyła się do rozmiarów sporego korytarza, czyli niderlandzkiego tunelu, który teraz w istne mroczne pandemonium się przeistoczył. Jeszcze w kącie jednym tlił się knot lampy łojowej: wątle czerwonawe światełko, co ledwie dozwalało dostrzec zarysy jęczących wokoło cieni. Alatryste wturlał się do środka, podniósł się na kolana, wsunął pistolet za pas i jał wolną dłonią przed sobą macać. Łopata Mendiety nie próżnowała, nareszcie głos jakiegoś heretyka uderzył w lamenty. Ktoś wypadł z wylotu kaponiery

prosto na kapitana, aże ten poczuł, jak cała kompania gromadzi mu się z wolna na grzbiecie. Nagły wystrzał z pistoletu rozjaśnił na sekundę pomieszczenie i ciała po ziemi jeszcze pełzające albo zgoła nieruchome, a ponad nimi załśniła czerwona od krwi łopata Mendiety.

Pył i dym znikwały wewnątrz kaponiery skutkiem przeciągu powietrza, jaki płynął od strony niderlandzkiego tunelu, Alatryste przeto ruszył ostrożnie w tamtym kierunku. Raptem zderzył się twarzą z kimś żywym i ledwie zdążył, na dźwięk rzuconego przekleństwa po flamandzku, uchylić się przed strzałem, który osmalił policzek. Zaraz atoli na przód ruszył, dopadł przeciwnika i dwukrotnie na krzyż lewakiem sieknął, zrazu przecinając powietrze, ale gdy powtórzył cios z głębszym wypadem, wreszcie ostatnim sztychem wrażego ciała dosięgnął. Wrzask się rozległ, a zaraz potem odgłos umykającego na czworakach, tedy Alatryste podążył w ślad za krzykami przerażenia, zadając ciosy poprzez mrok. Dopadł go wreszcie po omacku, za stopę ucapił i jął wbijać sztylet wprzód w ową stopę, a potem coraz wyżej raz po raz, aż tamten całkiem przestał wrzeszczeć i na amen znieruchomiał.

– *Ik geef mij over*⁶⁵.

Te słowa padły jak grom z jasnego nieba, wiadome wszak było powszechnie, że w kaponierach jeńców nikt nie bierze – Hiszpanie też, gdyby karta się odwróciła, łaski się nie spodziewali. Toteż i głos ów uwiązał właścicielowi w gardle i w śmiertelny charkot się przemienił, gdy któryś z napastników, naprowadzony na przeciwnika, doskoczył do niego i załatwił sprawę jednym pchnięciem. Alatryste dosłyszał, że hałasy jeszcze się wzmożyły, zamarł przeto i słuch wyostrzył. Dwa kolejne wystrzały dozwoliły mu dostrzec Coponsa, jak spleciony z jakimś Niderlandczykiem po ziemi się turlał. Potem dobiegły go nawoływania braci Olivaresów.

Copons i Niderlandczyk przestali hałasować i przez chwilę zastanawiał się, który z nich z życiem z potyczki uszedł.

– Sebastián! – szepnął.

Copons rozwiał jego wątpliwości cichym mruknięciem. Teraz niemal kompletna cisza zapanowała, którą zakłócały jeno czyjś bliski oddech i szuranie ciał ludzkich po podłożu. I znów Alatryste podpełzł na kolanach, jedną ręką przed sobą macając, a drugą, zaciśniętą na lewaku, trzymając z tyłu w czujnej gotowości. W ostatnich rozbłyskach kaganka zamajaczył wylot tunelu wiodącego do wraźych okopów, teraz pełnego gruzu i potrzaskanych belek. Leżał tam w poprzek jakiś nieruchomy kształt, przeto kapitan, dźgnąwszy go po dwakroć na wszelki wypadek, przelazł po nim i zagłębił się w czeluści. Tu przystanął i nasłuchiwał chwilę. Z drugiej strony dobiegała cisza – i jakiś zapach.

– Siarka! – krzyknął.

Fala docierała powoli z głębi tunelu, popychana ani chybi przez miechy, jakimi Niderlandzcy posłużyli się na tamtym końcu, by dym ze słomy, dziegciu i siarki do podziemia wtłoczyć. Snadź niewiele dbali o rodaków swoich, którym wciąż jeszcze po tej stronie życie zachować się udało – a może podejrzewali, że już wszyscy leżą bez ducha. Przeciąg dodatkowo impetu trującym wyziewom dodawał i za jeden pacierz chmura mogła tu dotrzeć. Nagła trwoga kazała kapitanowi wycofać się na czworakach przez rumowisko i leżące ciała. U wniścia do kaponiery zderzył się z kompanami, którzy cisnęli się już do otworu i po chwili, co wiecznością się zdała, na powrót czołgał się wąskim przejściem tak chyżo, jak tylko był zdolny, podciągając się na łokciach i kolanach skroś szkielety i resztki cmentarza. Za sobą słyszał sapania i przekleństwa, w których rozpoznawał Curra Garrote. Malagijczyk popędzał go, ilekroć w buty jego tryknął. Przeszli pod dziurą w stropie kaponiery, łapczywie chwytając ustami świeże

powietrze, i dalej zagłębiali się w ciasnotę i mrok, zęby zaciskając i wstrzymując oddech. W końcu Alatryste dostrzegł ponad ramionami i głową poprzedzającego go towarzysza bladą poświatę kresu korytarza. Nareszcie i on wydostał się do dużego tunelu, już przez niemieckich saperów opuszczonego, a następnie do hiszpańskich okopów, zerwał szmatę z twarzy i jął oddychać głęboko, ocierając przy tym pot i brud z policzków.

Wokół niego gromadziły się podobne mu, jakoby wskrzeszone trupy, zbrukane i wycieńczone, znużone i oślepione jasnością. Kiedy i jego oczy przywykły do oświetlenia, ujrzał kapitana Catona, który czekał wśród saperów teutońskich i reszty oddziału.

– Wszyscy są? – zapytał Catón.

Brakowało Rivasa i jednego z Olivaresów. Młodszy Pablo, którego czupryna i broda nie czarne, a siwe były teraz od pyłu i brudu, rzucił się powrotem do kaponiery, by brata ratować, ale go Garrote z Mendieta powstrzymali. Niderlandczycy, rozeźleni i zbici z pantalątku tym, co zaszło, urządzili ciężką palbę z arkebuzów, a pociski ich furczały i waliły gęsto w kosze okopu.

– Sakramencki łomot dostały psiejuchy, no – rzekł Mendieta.

W jego głosie słyhać było nie triumf, jeno przeogromne zmęczenie. Wciąż trzymał w dłoni łopatę, teraz brudną od ziemi z krwią zmieszanej. Na obliczu Coponsa, co leżał obok Alatrystego i z trudem wielkim ziajał, pot zlał się z brudem w połyskującą, błotnistą maskę.

– France jedne! – wołał rozpaczą przejęty młodszy Olivares. – France heretyckie, żebyście w piekle zgniły!

Poniechał złorzeczeń, gdy z tunelu wyłonił się Rivas, ciągnąc za sobą drugiego Olivaresa – na wpół uduszonego, ale żywego. Niebieskie oczy Galisyjczyka nabiegły czerwienią od krwi.

– Ach, pies trącił.

Jasne włosy aż dymiły mu siarką. Raptownym ruchem zdarł z twarzy gałgan i wykrztusił z gardła grudki ziemi.

– Bogu dzięki – ozwał się, gdy tylko porcję świeżego powietrza do płuc wciągnął.

Jeden z Niemców przyniósł bukłak z wodą i wszyscy jęli chciwie żłopać, jeden za drugim.

– A choćby i ośle szczynty – mamrotał Garrote, oblewając sobie strużką podbródek i tors.

Alatriste, leżąc na ziemi i ocierając lewak z ziemi i krwi, poczuł na sobie wzrok Catona.

– I co w tamtym tunelu? – spytał nareszcie oficer.

– Czysty jak ten sztylet.

Tu zamilkł i wsunął klingę za pas, po czym wyjął spłonkę z pistoletu, którego nawet użyć nie zdołał.

– Bogu dzięki – powtarzał raz za razem Rivas, żegnając się pobożnie. Z oczu ciekły mu ziemiste łzy.

Alatriste nic nie mówił. Pomyślał tylko, że czasem Bóg czuje się zaspokojony. W takich chwilach, gdy nasyci się cierpieniem i krwią, w inną stronę spogląda i odpoczywa.





VIII. OPONA.



ak to minęły nam dni kwietniowe, na przemian dżdżyste i słoneczne, a na polach, w okopach i w dołach pełnych trupów zazieleniła się trawa. Waliła nasza artyleria w mury Bredy, saperzy obydwu stron prześcigali się w minach i kontrminach, a kto żywy, strzelał z arkebuza w kierunku przeciwnika. Monotonie oblężenia urozmaicały wypadki to z naszej strony, to z heretyckiej. Mniej więcej podówczas właśnie jęły dochodzić nas wieści o niedostatku, jaki cierpią oblegani, lubo i tak mniejszy był niżli bieda, co nas oblegających stała się udziałem. Różnica polegała na tym, że oni wzrosli w kraju żyznym, pełnym rzek i pól, w miastach szczodrze przez Fortunę obdarzonych, gdy tymczasem my od wieków syciliśmy naszą suchą hiszpańską ziemię potem i krwią, byle choć odrobinę chleba z niej wydobyć. Skutkiem takiego spraw obrotu, iż tamci byli bardziej skłonni do wygod niżli do mizeryi – czy to z urodzenia, czy z nawyku – niektórzy Anglicy i Francuzi zaczęli z Bredy czmychać i na naszą stronę przechodzić, opowiadając, jako to za murami już pięć tysięcy z głodu zmarło wśród gminu, mieszczan i zbrojnych. Od czasu do czasu na wprost murów zawisali szpiedzy niderlandzcy, co przedrzeć się usiłowali z coraz bardziej rozpaczliwymi listami, jakie Justyn i Maurycy Nassau do siebie posyłałi. Drugi z nich niewiele mil stamtąd

obozował; ani na chwilę nie poniechał prób przyjscia krewniakowi w sukurs i atakował obręcz, jaka opasywała twierdzę już prawie rok.

W owych dniach dobiegła nas nowina, że rzeczony Maurycy Nassau wznosi groblę obok Zevenbergen, jakie dwie godziny marszu od Bredy, by w naszą stronę skierować wody rzeki Mark, za sprawą pływów morskich zatopić nasze kwatery i okopy tudzież barkami dostarczyć miastu posiłki i prowiant.

Wielkie to było dzieło, nader ambitne i sprytnie pomyślane, rozlicznych saperów i marynarzy w tym celu zatrudniono, by trawę i chrust zbierali oraz kamienie, drzewo i deski zwozili. Zdołali już byli zatopić trzy wielce obciążone holowniki, a teraz z obydwu brzegów pośpiesznie nagarniali ziemię drewnianymi spychaczami, umacniając zarazem służę bojami i palisadą. Wielką czujność to wszystko w naszym generale Spínoli wzbudziło i czas cały daremnie mitrężył na to, by zapobiec chwili, gdy dnia pewnego nieoczekiwanie zgoła obudzimy się z wodą szyi sięgającą. Słyszało się porady krotochwilne, żeby żołnierzy z regimentu niemieckiego tam posłać, to zamiary Nassaua na panewce ani chybi spała, jako że Germanie to nacja nader skrupulatna:

Mogę dać rozkaz Germanom I rzec im: „Groblę tę trzeba Zburzyć, ni chwili nie tracąc, Bo nas zatopią na amen”, I jestem pewien, że łącno Uwiną się z tym, albowiem Ci wodą się nie opijają.

W tych dniach również kapitan Alatryste rozkaz otrzymał, by stawić się w namiocie marszałka polnego, mości Pedra de la Daga. Udał się tam pod wieczór, gdy słońce chyliło się już ku płaskiemu widnokręgowi i rdzawym blaskiem oblewało groble z rysującymi się na nich w oddali sylwetkami wiatraków i zagajnikami okalającymi bagniska na północnym zachodzie. Przed rozmową Alatryste wyporządził mundur, ile się dało: napierśnik z

bawolej skóry okrywał łąty na koszuli, broń lśniła jeszcze bardziej niżli zazwyczaj, a lederwerki błyszcząły od świeżo nałożonego łożu. Kapitan wszedł do środka z głową odkrytą, jedną dłonią dzierżąc kapelusz, drugą trzymając na rękojeści rapiera, stanął bez słowa wyprężony i czekał, aż mość Pedro de la Daga, co z kapitanem Catonem i innymi oficerami właśnie gawędził, raczy poświęcić mu swą uwagę.

– Otóż i on – ozwał się wreszcie marszałek polny.

Alatriste nie okazał ni niepokoju, ni zdziwienia na takie dictum, wszelako zdołał spostrzec dyskretny a uspokajający uśmiech, jaki Catón posyłał mu sponad pleców dowódcy regimentu. W namiocie znajdowało się jeszcze czterech oficerów, wszystkich zasię Diego Alatriste znał z widzenia: mość Hernán Torralba, kapitan innej chorągwi, regimentarz Idiáquez i dwóch młodych, nazywanych „rycerzami” albo gośćmi marszałkowymi, przydzielonych do sztabu regimentu. Byli to arystokraci czy też szlachcice przedniej krwi, co służyli za darmo z czystej żądzy chwały, a może raczej – jak to nierzadko bywało – gwoli zdobycia reputacji przed powrotem do Hiszpanii, gdzie czekały na nich beneficja z tytułu znajomości, rodzinnych powiązań albo innego rodzaju wpływów. Wszyscy sączyli z kryształowych kielichów wino, nalewane z butelek, co stały na stole śród ksiąg i map rozlicznych. Alatriste ostatni raz widział był kryształ podczas pługrowania Oudkerk. Gdzie pasterze i wino się zejda – pomyślał – tam zguba dla owiec.

– Winszujecie sobie trochę, panie żołnierzu?

Bardasznurek wykrzywił twarz w czymś, co zapewne miało być uśmiechem, i wolną dłonią wskazał butelki i kieliszki.

– Słodkie wino Pedro Ximénez – dodał. – Niedawno z Malagi przybyło.

Alatriste przełknął ślinę, pilnując, by nikt nie zauważył. W południe wespół z kompanami pożywiali się w okopie chlebem maczanym w oleju z

brukwi, popijając to odrobiną brudnej wody. I dlatego – westchnął do siebie – każdy powinien pozostać na swoim miejscu. Z przełożonymi lepiej się nie spoufalać, tak samo jak oni niechętnie czynią to z podkomendnymi.

– Za waszmościny pozwoleniem – odparł po krótkim namyśle – poczęstuję się przy innej sposobności.

Mówiąc, wyprężył się jeszcze bardziej, chcąc słowom swoim przydać nieco respektu. Ale mimo to marszałek polny uniósł brwi, za czym plecami się doń odwrócił, jakby mapy pochłonęły go całkowicie, a gość był tu zgoła zbędny. „Rycerze” z zaciekawieniem lustrowali Diega Alatryste od stóp do głów. Stojący nieco z tyłu z kapitanem Torralbą Carmelo Catón, jeszcze wyraźniejszy uśmiech na twarz przywołał, ale ten zgasł zaraz, gdy tylko głos zabrał regimentarz Idiáquez. Ramiro Idiáquez, weteran o siwych wąsach i białych, króciutko przyciętych włosach, miał sporą szramę, co zdawała się nos dzielić mu na dwoje – pamiątkę po oblężeniu i zdobyciu Calais⁶⁶ pod sam koniec ubiegłego stulecia. Były to jeszcze czasy naszego poczciwego Filipa Drugiego.

– Spotkanie się szykuje – rzekł szorstkim tonem, którego i do wydawania rozkazów, i przy wszelkiej innej okazji używał. – Jutro z rana. Pięciu na pięciu, wedle bramy Den Bosch.

W owych czasach starcia takie do rzadkości nie należały. Bywało, że przeciwnicy, znużeni monotonią wojennych działań, w osobiste utarczki się wdawali, i to na takich właśnie fanfaronadach i zuchwalstwach honor krajów i sztandarów budowano. Przecie nawet wielki cesarz Karol ku uciesze całej Europy wyzwiał na pojedynek swego zaprzysięgłego wroga, króla Franciszka I, atoli Francuz, tego podumawszy, propozycję odrzucił. Historia tak czy inaczej wystawiła żabojadowi rachunek pod Pawią, gdzie oddziały jego w puch rozbito, kwiat rycerstwa wycięto, a on sam ujrzał się

bez konia, za to z rapierem Juana de Urbieto⁶⁷, mego krajana z Hernani, przy własnym królewskim podgardlu.

Zapadło krótkie milczenie. Alatryste nie odzywał się, czekając, aż ktoś cokolwiek dopowie. I istotnie ozwał się wreszcie jeden z owych szlachetnych gości.

– Wczoraj dwóch wielce zadufanych w sobie Niderlandczyków z Bredy zaniósł do nas taką propozycję... Jak się zdaje, jeden z naszych arkebuzerów zastrzelił ich znajomka w okopach twierdzy. Proszą o jedną godzinę w otwartym polu, pięciu na pięciu, każdy z dwoma pistoletami i rapierem. Ma się rozumieć, podjęliśmy tę rękawicę.

– Ma się rozumieć – zawtórował mu drugi „rycerz”.

– Żołnierze włoskiego regimentu pułkownika Látaro gotowi są wziąć udział, aleśmy uznali, że po naszej stronie jeno Hiszpanie wystąpią.

– Co oczywiste – dodał drugi.

Alatryste popatrzył na nich przeciągle. Pierwszy, który przemówił, dobiegał trzydziestu wiosen, odziany był w szaty niewątpliwie przedniej jakości, a pendent jego rapiera z tolekańskiej stali wykonany był z przedniego marokinu wysadzanego złotem. Dla jakiejś przyczyny, na przekór wojennej zawierusze, nader rupliwie dbał o to, by wąsy mieć należycie podkreśnione. Był człkiem przykrym w obejściu i wyniosłym. Drugi zasię, niższy i większej tuszy, zdecydowanie młodszy, nosił się z włoską, w aksamitnym krótkim kaftanie z satynowymi wszyciami i pysznej koszuli brukselskiej roboty. Obydwaj swe czerwone wstęgi zdobne mieli w złote chwosty, a buty z wyśmienitej skóry wykonane – jakże inne od tych, które wzuł na się Alatryste, wyłożywszy podeszwy szmatami, żeby palce nie wyłaziły. Kapitan oczami imaginacji ujrzał ich teraz, jak w wielkiej zażyłości z marszałkiem polnym (który dzięki nim umacniał swe koneksje w Brukseli i Madrycie) z dzióbków sobie piją i wtórują sobie niczym wilki

z jednej watahy. Poza tym ze słyszenia znał imię jeno tego pierwszego: zwał się ów człek Carlos del Arco, pochodził z Burgos i był synem markiza czy innej zarazy. Widział go parokrotnie na polu walki i wiedział, że mąż ów uchodzi za śmiałka.

– Mość Luis de Bobadilla i ja to już dwóch – ciągnął ów. – Brakuje nam jeszcze trzech wojaków z ikrą, dla równości sił.

– W istocie brakuje jednego – poprawił regimentarz Idiáquez. – Pomyślałem, że mógłby do kompanii tych waszmościów dołączyć Pedro Martín, dziarski wiarus z chorągwi kapitana Gomeza Colomy. Czwartym zasię może będzie Eguiluz, żołnierz mości Hernana Torralby.

– Zacna gromadka, by Nassau się solidnie udławił – dodał „rycerz”.

Alatriste przeżuwał to wszystko w milczeniu. Znał Martina i Eguiluza, obydwaj byli starymi, dobrymi wiarusami, co to nie zawiodą, gdy staną naprzeciw Niderlandczyka czy jakiego tam innego diabła los nadarzy. Każdy z nich stanowił wyborne towarzystwo w tego rodzaju zabawie.

– A waszmość będziesz piąty – ozwał się Carlos del Arco.

Kapitan nawet nie drgnął, wciąż jedną dłonią kapelusz dzierżąc, drugą na rękojeści rapiera opierając, atoli czoło zmarszczył. Nie przypadł mu do gustu ton, z jakim ów rycerzyk informował go o planach względem jego osoby, osobliwie, że zwracał się doń nie oficer, a ledwie gość marszałka polnego. Nie spodobały się też Diegowi Alatriste złote chwosty na czerwonej wstędze, pyszałkowate obejście kogoś, kto zawsze czuje w sakiewce słodki ciężar królewskich podobizn w złocie i wsparcie możnego ojca z dalekiego Burgos. A jeszcze mniej podobało mu się, że jego najbliższy przełożony, to jest kapitan Catón, stał tam, jakby język połknął. Catón był zdolnym wojskowym i potrafił do subtelnej dyplomacji się uciec, gdy trzeba, dzięki czemu taką karierę robił. Aliści Diegowi Alatriste y Tenorio nie w smak było, żeby jakiś buńczuczny fircyk rozkazy mu

wydawał, choćby nie wiadomo jak zuchwały się jawił w czynach bądź słowach i choćby Bóg wie ile wina wyłopał z kryształowych kieliszków pana marszałka polnego. To sprawiło, że zgoda, jaką już, już miał wyrazić, zamarała mu w ustach. Wahanie jego wszelako opacznie wytłumaczył sobie mość del Arco.

– Oczywiście – ozwał się – jeżeli rzecz wydaje się waszmości nazbyt ryzykowna...

Tu głos zawiesił i oczami po zebranych potoczył, podczas gdy kompan jego uśmiechnął się lekko. Nie bacząc na ostrzegawcze spojrzenia, jakie kapitan Catón z tyłu mu posyłał, Alatryste puścił rękojeść rapiera i dłoń ku wąsom uniósł, by z wielkim namaszczeniem przygładzić je sobie. Usiłował w ten sposób złość wielką zatuszować, która od żołądka ku piersi już się podnosiła, a krew jęła delikatnie pulsować mu w skroniach. Wbił chłodny wzrok w jednego z „rycerzy”, następnie w drugiego, i długo się weń wpatrywał. Tak długo, iż marszałek polny, dotąd cały czas plecami doń zwrócony, jak gdyby nic go tu nie dotyczyło, obejrzał się na Alatrystego. Ten atoli już patrzył na Carmela Catona.

– Jak mniemam, to pański rozkaz, mój kapitanie.

Catón powoli podniósł rękę i jął kark sobie pocierać, za czym na regimentarza Idiaqueza zerknął, który gromy z oczu ciskał na obydwu intruzów. Niespodzianie ozwał się sam mość Pedro de la Daga.

– W sprawach honorowych rozkazów się nie wydaje – w jego głosie słychać było butę i niechęć. – Każdy sam niech własną reputację i sromotę kalkuluje.

Zbladł Alatryste na te słowa, a jego prawa dłoń powędrowała z wolna z powrotem ku rękojeści. W zalęknionym spojrzeniu Catona znać było niemy apel: choćby na jeden cal broń wysuniesz, będziesz wisiał. Jemu wszakże więcej niż tylko cal jeden po głowie chodził. Jedyne, co w owej chwili na

zimno kalkulował, to czy zdąży nadzieć marszałka polnego i jeszcze ku jego dwóm gościom się zwrócić. Może zdołałby jeszcze sprzątnąć jednego z nich, najlepiej niejakiego Carlosa del Arco, nim Idiáquez i Catón zaszlachtują go jak wieprza.

Regimentarz odchrząknął z widowym zakłopotaniem. Tylko on w całym regimencie mógł, dzięki szarzy i stanowisku, przeciwstawić się Bardasznurkowi. A i Diega Alatryste znał od czasu, gdy dwadzieścia kilka lat wstecz pod Amiens obydwaj – jeden młodzian, drugi chłopak niemal z mlekiem pod nosem – ruszyli na półksiężyc Montrecourt wespół z kompanią kapitana mości Diega de Villalobos, by w ciągu czterech godzin otoczyć wrażą artylerię i zadźgać co do jednego ośmiuset Francuzów, co okopów bronili, sami tracąc ledwie siedemdziesięciu towarzyszy. I był to niezgorszy bilans, do diaska, jedenastu na głowę i jeszcze trzydziestu w naddatku, o ile arytmetyka nie płała teraz figli.

– Z całym respektem dla waszej miłości – rzekł Idiáquez – muszę zauważyć, że Diego Alatryste to żołnierz doświadczony. Wszystkim wiadomym jest, że reputację ma nieposzlakowaną. Jestem pewien, że...

Marszałek polny przerwał mu szorstko.

– Nieposzlakowanej reputacji nie zyskuje się dożywotnio.

– Diego Alatryste to dobry wojak – nieśmiało wtrącił z tyłu kapitan Catón, jakby zawstydzony swym dotychczasowym milczeniem.

Mość Pedro de la Daga uciszył go gwałtownym gestem.

– Każdy dobry wojak, a w moim regimencie mam takowych na pęczki, dałby sobie rękę uciąć, byle stanąć jutro pod bramą Den Bosch.

Diego Alatryste spojrział marszałkowi polnemu prosto w oczy. I po chwili rozległ się jego równy, zimny głos, cichy a przenikliwy jak ostrze stali toledańskiej, do której rwały mu się teraz palce.

– Ja moich obydwu rąk używam do tego, by spełnić wszystko, czego oczekuje ode mnie mój król, on bowiem mi płaci... jeśli płaci – tu przerwał na dłuższą chwilę. – Co zaś dotyczy mego honoru i reputacji, zechciej wasza miłość nie kłopotać się o nie. Sam o nie dbam i nie potrzebuje by wystawiano je na próbę ni pouczano mnie w tej kwestii.

Marszałek polny wpatrywał się weń tak bacznie, jakby do końca żywota pragnął go zapamiętać. Widać było, że przeżuwa wszystko, co także usłyszał, głoska po głosce, usiłując dopatrzeć się słowa, tonu lub chociażby drgnienia głosu, które pozwoliłyby mu nakazać natychmiastowe powieszenie tego człowieka na najbliższej gałęzi. Wątpliwości nikt nie miał do tego stopnia, że sam Alatryste, niby to przez niedbałość, przesunął drugą dłoń ku lewemu biodru i sztyletowi, korzystając z osłony, jaką dawał mu kapelusz. Przy pierwszej sposobności – myślał ze spokojną rezygnacją – wraz z lewaka w gardziel, za rapier chwyć, a dalej będzie, jak Bóg albo diabeł zechce.

– Niech ten żołnierz wraca do okopów – ozwał się nareszcie Bardasznurek.

Ani chybi wspomnienie niedawnego buntu poskromiło nieco naturalną skłonność marszałka do sznurowych plecionek. Catón i Idiáquez, których oczu nie umknął gest Diega Alatryste, jakby odetchnęli z niemałą ulgą. Starając się nie okazać, że i jemu ulżyło, Alatryste skłonił się lekko, z uszanowaniem, zrobił w tył zwrot i wyszedł z namiotu na dwór. Tu przystanął wedle niemieckich halabardników, którzy mogli go przecie teraz wieść posłusznie pod stryczek. Przez chwilę sycił oczy blaskiem słońca, co za groblami ku zachodowi się chyliło, pewien, że nazajutrz znów blask jego ujrzy. Za czym kapelusz włożył i ruszył ku umocnieniom, prowadzącym w stronę półksiężyca Cmentarnego.

Owej nocy kapitan Alatryste czuwał aż po brzask, leżąc pod peleryną i wpatrując się w gwiazdy, gdy towarzysze wokół chrapali w najlepsze. Snu z powiek nie przepędziły mu ani nieprzychylność ze strony marszałka polnego, ani strach przed dyshonorem, ani trochę nie dbał o to, jaka plotka gruchnie po obozie, ponieważ tak Idiáquez, jak i Catón znali go wystarczająco dobrze, by rzecz całą zreferować, jak się należało. Poza tym, jak sam był objaśnił mości Pedrowi de la Daga, miał swoje sposoby, by respekt dla siebie wzbudzić zarówno u równych sobie, jak i u takich, z którymi nigdy równać by się nie mógł. Zasnąć nie dozwalała mu sprawa inna: wielce pragnął, by nazajutrz u bramy Den Bosch przeżył co najmniej jeden z marszałkowych gości. Najlepiej, żeby był nim ów Carlos del Arco. Później bowiem – powiedział w duchu, oczu od firmamentu nie odrywając – czas mija, życie ma swoje zakręty i nigdy nie wiesz, z jakim to starym znajomkiem zetkniesz się w ciasnej, cichej i ciemnej uliczce, gdzie nikt nie wyjrzy przez okno, gdy szczęk żelaza posłyszysz.

Następnego dnia nasi nuże obserwować scenę z okopów, a wróg i z okopów, i z murów twierdzy. Oto bowiem z obozu wojsk naszego Najjaśniejszego Pana ruszyło pięciu mężów na spotkanie z piątką, co opuszczała właśnie bramę Den Bosch. Jak powiadano, było wśród nich trzech Niderlandczyków, Szkot jeden i jeden Francuz. Piątym w naszej drużynie był wybrany przez kapitana Catona młodszy chorąży Minaya, trzydzieści kilka wiosen liczący chłop z Sorii, krzepki, niezawodny wojak, w nogach mocny, a w ręku jeszcze mocniejszy. Każdy szedł jeno w dwa pistolety i rapier zbrojny, bez nijakich sztyletów. Jak wieść niosła, to tamci warunek taki postawili, snadź dobrze wiedzieli, że w bliskim spotkaniu Hiszpanie są z bronią krótką osobliwie groźni.

Jam był dnia poprzedniego powrócił z trzydniowego myszkowania za spyżą – z całą bandą giermków zapuściliśmy się aż nad Mozę – i teraz w tłumie stałem pospołu z druhem mym Jaimem Correasem na kosztach okopów bez obawy, że nas muszkiet wraży dosięgnie. Jak okiem sięgnąć, wszędy tłoczyli się żołnierze, co też do oglądania się wzięli, a ponoć nawet sam markiz de los Balbases, czyli nasz generał Spínola, też obok mości Pedra de la Daga, innych dowódców i marszałków z pozostałych regimentów pojedynkowi zechciał się przypatrywać. Diego Alatryste zaś w milczeniu stał wedle Coponsa, Garrote i reszty drużyny, starając się ani chwili ze spotkania nie uronić. Młodszy chorąży Minaya, ani chybi zaznajomiony ze sprawą przez naszego kapitana Catona, jak wyborny kompan się zachował: przyszedł był z rana samego do Alatrystego, żeby jeden z jego pistoletów pożyczyć, tłumacząc się, że ze swoimi ma jakieś kłopoty, i szedł teraz z bronią mego pana przeciwko tamtym. Tak to uwidoczniła się wspaniała natura Minai, a możliwe plotki nie opuściły w ten sposób szeregów naszej chorągwi. I skoro już tu jestem, dodam jeszcze, że całe lata później, już po Rocroi, gdy zmienne losu koleje dały mi szarżę oficera gwardii hiszpańskiej naszego króla Filipa, miałem sposobność wyświadczyć przysługę pewnemu młodemu rekrutowi nazwiskiem Minaya. A uczyniłem to bez chwili wahania, chciałem bowiem cześć oddać ojcu jego, który wyszedł w otwarte pole do walki pod Bredą z pistoletem kapitana Alatryste za pasem.

Owóz i stali tam naprzeciwko siebie, pięciu na pięciu, z góry spozierało na nich ciepłe, kwietniowe, poranne słońce, a z obydwu stron tysiące par oczu. Znajdowali się na niewielkim błoni, opadającym łagodnie ku bramie Den Bosch, jakie sto kroków od nas, na ziemi niczyjej. Nijakich wstępów nie było, szastania kapelusami czy innych galanterii, już podchodząc, jęli z pistoletów do siebie strzelać, za czym rapierów dobyli, podczas gdy z

obydwu stron, gdzie dotąd martwa cisza panowała, nagle rozległy się stugębne okrzyki, co animuszu swoim miały dodać. Wiem, że poczciwi ludzie zawsze głosili, by pokój między ludźmi panował, by spory słowem rozstrzygać, a gwałtu się wystrzegać. Atoli wiem również lepiej niżli niejeden z waszmościów, co w ciele i sercu ludzkim wojna uczynić potrafi. I pomimo wszystko, pomimo rozumu, rozsądku i jasności umysłu, jaką wiek i natura człeka obdarzają – przecie nie potrafię bez dreszczu admiracji mówić o waleczności. A tamtym odwagi odmówić nie sposób, Bóg mi świadkiem. Po pierwszej palbie padł mość Luis de Bobadilla, drugi z „rycerzy”, pozostali zaś starli się na rapiery z ogromną siłą i zaciętością. Jednemu Niderlandczykowi kula pistoletu kark przewierciła, a Szkotowi Pedro Martín brzuch rapierem rozplątał, ale broń mu w ciele wrażym ugrzęzła, nagle ostał się z dwoma nienabitymi pistoletami i rychło został w gardło i pierś żelazem poczęstowany, skutkiem czego padł martwy na tego, którego dopiero co był na tamten świat wysłał. Mość Carlos del Arco zaś tak biegle na Francuza natarł, że niewiele brakowało, aby mu twarz posiekał, musiał się atoli z walki wycofać po tym, jak szpetnie został w udo ugodzony. Minaya dobił Francuza pistoletem kapitana Alatryste, a własnym poważnie zranił innego Niderlandczyka, sam przy tym ani draśnięcia nie otrzymał. A Eguiluz, w lewą rękę ranny od kuli, prawą żelazo ścisnął i dwa czyste pchnięcia ostatniemu przeciwnikowi zadał, jedno w ramię, drugie pod żebra, na co schizmatyk, widząc, że sam ostał i do tego niezdrów, postanowił niczym Antygon⁶⁸ nie tyle czmychnąć, ile udać się w pobliże przytulnego miejsca, jakie miał za plecami. Trzech naszych, co w pełni sił byli, pozbawiło leżących przeciwników broni i pomarańczowych wstęg, jakie buntownicy w Zjednoczonych Prowincjach nosili, a jeszcze zdołałoby ciała Bobadilli i Martina ku nam przytargać, gdyby Niderlandczycy, złym obrotem spraw rozwścieczeni, nie zaczęli na własną

pociechę ogniem płuć, gdzie popadnie. Tedy nasi, spokoju nie tracąc, wycofywali się pomału, tak niefortunnie wszelako, że Eguiluza w krzyż kula z muszkietu dopadła. I lubo z pomocą towarzyszy do okopu dotarł, na trzeci dzień zmarł od paskudnej rany. Pozostałe siedem ciał leżało w otwartym polu cały dzionek, aż z nastaniem zmroku rozejm nastąpił i każda ze stron swoich poległych odzyskała.

Nikt w regimencie sławie kapitana Alatryste jako męża honoru kłamu nie zadawał. Za dowód niechaj posłuży to, że gdy tydzień później postanowiono atak na groblę w Zevenbergen, społem ze swą drużyną znalazł się w gronie czterdziestu i czterech ludzi do tego celu wybranych. Wyszli z obozu o zmierzchu, korzystając z mgły gęstej, co ruchy ich skrywała. Wycieczką dowodzili kapitanowie Catón i Torralba, a wszyscy koszule założone mieli na wierzch gwoli tego, by kaftany i napierśniki jak oponą zasłonić i nawzajem się w mroku rozpoznać. Oddziały hiszpańskie często się do takiej nocnej sztuczki uciekały, a zwano ją właśnie „oponą”. Użytek w niej czyniono z porywczej natury naszej i sprawności w bezpośrednich starciach, a polegała ona na tym, że zapuszczaliśmy się w teren heretycki, spadaliśmy niespodzianie na wroga, zabijaliśmy, ilu się dało, a dopiero w ostatniej chwili, nie chcąc sprzyjających nam ciemności się pozbawiać, podpalaliśmy ich baraki i namioty i pierzchaliśmy ile sił w nogach. Jako że zawsze do takich eskursji dobierano ludzi, udział w oponie poczytywany był wśród Hiszpanów za punkt honoru, nierzadko nawet do utarczek dochodziło pomiędzy naszymi, bo kto się wśród wybrańców nie znalazł, łącznie mógł się uznać za od innych gorszego. Regulamin sporządzono ścisły i ściśle go też przestrzegano, by życiem ludzkim w nocnym zamieszaniu nie szafować. Do najczęściej we Flandrii stosowanych należała na ten przykład słynna reguła spod Mons: zabić pięciuset

niemieckich najemników, po stronie pomarańczowych buntowników walczących, a obozowisko ich na popiół spalić. Była też inna: żeby tylko półsta żołnierza do nocnej wycieczki wybrać, atoli w momencie wyjścia zewsząd samorzutnie inni się schodzili z wolą dołączenia do oddziału na własne ryzyko. A kiedy cała kompania ruszyła, miast zwyczajowo milczeć, każdy nuże rejwach nieopisany czynić i dysputy wieść po ciemku, i wszystko raczej napaść hordy mauretańskiej przypominało niżli wymarsz Hiszpanów, imaginujecie sobie, waszmościowie, trzy setki maszerujące drogą, z czego każdy chciał wyprzedzić pozostałych, wróg budzi się i widzi hałastrę wrzaskliwych opętańców w koszulach, co napadają na nich w środku nocy, rzną bez opamiętania i jednocześnie kłócą się nawzajem, kto wyborniej i szybciej rzezi dokonuje.

Plan naszego generała Spínoli co do Zevenbergen zakładał, że w dwie godziny trzeba dojść po cichu i nader dyskretnie pod samą tamę, zaskoczyć strażę, zniszczyć całą budowlę, śluzę porąbać na drzazgi i wszystko podpalić. Postanowione też było, że wraz z wojskiem pójdzie pół tuzina giermków, by pomóc w dźwiganiu sprzętu, jaki przy burzeniu i podpalaniu przydatnym być może. Tak tedy nocy owej wyruszyłem wraz z hiszpańskimi wiarusami prawym brzegiem rzeki Mark, tam bowiem najgęstsza mgła się gromadziła. W pełnym oparów powietrzu słyhać było jeno zduszony odgłos kroków – obuliśmy się w łapcie, czyli buty szmatami owinięte, a każdemu, kto by się odezwał, lont zapalił albo pistolet czy arkebuz naładował, śmierć groziła – koszule zasię sprawiały, żeśmy podobni byli orszakowi upiorów w całunach. Jakiś czas wcześniej zmuszony byłem odprzedać mą zacną szpadę z Solingen, jako że giermkom nie wolno było długiej broni nosić, maszerowałem przeto ze sztyletem mocno za pas zatkniętym, co nie znaczy, do diaska, że lekko mi się szło: dźwigałem na plecach wielki ładunek prochu i siarki w petardy

powiązanych, sznury smoły do podpałki i dwie grzecznie naostrzone siekiery, by liny i belki służy czym było porąbać.

Trząśłem się z zimna mimo kaftana z grubego sukna, jaki miałem pod koszulą, co nocą jeno mogła za białą uchodzić, a dziur miała więcej niżli flet. Za sprawą mgły wszystko wokół jawiło mi się jak nie z tego świata, włosy mi mokły, a po licu kropelki spływały, jak gdybym skroś mżawkę podązał, grunt był śliski, tedy nader czujnie kroki musiałem stawiać, albowiem jedno nieuważne stąpięcie groziło rychłym zsunięciem się w lodowate wody Mark, a objuczony byłem dodatkowo sześćdziesięcioma funtami bagażu. A że z mgłą jeszcze noc się stowarzyszyła, mniej widziałem niżli zobaczyłaby sola z rusztu: ze dwie, trzy niewyraźne białe plamy przede mną i tyleż z tyłu. Najbliższa mnie, której śladami starałem się maszerować, należała do kapitana Alatryste. Jego drużyna otwierała pochód, bardziej wysforowali się jeno kapitan Catón i dwóch przewodników walońskich z regimentu Soesta – a raczej z jego resztek – którzy dostali zadanie nie tylko doprowadzić nas do celu, wybornie bowiem znali teren, ale i zwieść niderlandzkich strażników, podejść jak najbliżej i gardła im poderznąć, żeby alarmu wszcząć nie zdążyli. Za ich poradą wybrano szlak wiodący zrazu wśród moczarów i torfowisk i dalej przez teren nieprzyjacielski, nierzadko groblami i traktem tak wąskim, że tylko jedna osoba mieściła się naraz.

Po wbitym w dno pomoście przeszliśmy na lewy brzeg, gdzie grobla oddzielała rzekę od mokradła. Biała plama kapitana Alatryste szła jak zwykle w kompletnym milczeniu. Obserwowałem go byłem o zachodzie słońca, gdy się do drogi gotował: pod koszulą napierśnik z bawolej skóry, na wierzchu pas z rapierem, lewakiem i pistoletem, który zwrócił mu był młodszy chorąży Minaya. Panewkę broni kapitan zabezpieczył smarem przed wilgocią. Do pasa przytroczył też sobie puszkę z prochem i woreczek

z dziesięcioma pociskami oraz na wszelki wypadek zapasowy krzemień, hubkę i krzesiwo. Nim prochu do pojemnika nasypał, sprawdził, czy kolor ma właściwy – ni nazbyt czarny, ni zbyt jasny – czy ma drobne, twarde ziarenka, na koniec wreszcie na język wziął, by smak saletry zmiarkować. Za czym poprosił Coponsa o kawałek szmergla i przez jakiś czas skrupulatnie jeździł nim po obydwu ostrzach sztyletu. Awangarda, którą jego drużyna tworzyła, szła bez arkebuzów i muszkietów, miała bowiem pierwsza uderzyć jeno białą bronią i kompanów ubezpieczać. W tym celu ręce musieli mieć wolne od wszelkich zbędnych przedmiotów. Kwatermistrz naszej chorągwi oznajmił, że potrzeba giermków młodych a zaradnych, przeto mój druh Jaime Correas i ja natychmiast się zgłosiliśmy, przypominając mu, że jużesmy zacnie sobie byli poczynali przy ataku na bramę Oudkerk. Ujrzawszy mnie w koszuli na wierzchu, z mizerykordią za pasem, do wyruszenia gotowego, kapitan Alatryste ni słowa nie wyrzekł, jak mu się to widzi. Skinął tylko głową i wskazał mi biesagi. Potem zaś, w mętym świetle pochodni, wszyscyśmy uklękli na ziemi, przez szeregi przebiegło mrukliwe *Ojczy nasz*, przeżegnaliśmy się i skierowaliśmy kroki na północny zachód.

Pochód zatrzymał się raptownie i wszyscy przycupnęli, podając sobie szeptem z ust do ust hasło, które teraz dopiero narodziło się w głowie kapitana Catona: „Antwerpia”. Wszystkie szczegóły zostały omówione jeszcze przed wyruszeniem, przeto nie czekając już na dalsze eksplikacje, sznur białych koszul minął mnie i rozproszył się na lewo i prawo. Słyszałem chlupot ciał, które rozpełzły się po obydwu stronach grobli, po pas w wodzie. Ostatni z żołnierzy dotknął moich ramion i przejął biesagi z ładunkiem. Oblicze jego było jedną czarną plamą, dobiegł mnie jeno jego przyśpieszony oddech, gdy zaciskał na sobie rzemienie i ruszał w dalszą

drogę. Kiedym na powrót w przód popatrzył, koszula kapitana Alatryste już rozplynęła się w mglistej ciemności. Ostatnie cienie przemykały wedle mnie i wtapiały w noc, a towarzyszył im tylko cichutki dźwięk wysuwanych z kling rapierów i delikatny stukot ładowanych i odpalanych pistoletów i arkebuzów. Podążyłem jeszcze kilka kroków w ślad za tamtymi, aliści znacznie mnie wyprzedzili, tedy padłem na samym skraju wzniesienia, wciskając twarz w mokrą ziemię, rozdeptaną na miękkie błoto. Ktoś z tyłu podczołgał się do mnie i też zamarł. Był to Jaime Correas – obydwaj teraz czekaliśmy, gadając po cichu, zaniepokojone spojrzenia naprzód rzucając, w mrok, co pochłonał właśnie czterdziestu czterech Hiszpanów, którzy zamiarowali niezły bal heretykom wyprawić.

Minęło parę różańców. Razem z druhem mym, przemarznięci do szpiku kości, wtulaliśmy się w siebie nawzajem, by choć trochę ciepła ocalić. Dobiegał nas jeno plusk nurtu rzeki, która po jednej stronie grobli płynęła.

– Długo tam mitręzą – szepnął Jaime.

Nic nie odrzekłem. Oczami imaginacji widziałem kapitana Alatryste, jak zbliża się do pilnujących służby niderlandzkich strażników, sunąc po pierś w wodzie, jedną ręką trzyma wysoko pistolet, by prochu nie zamoczyć, a w drugiej zaciska rapier albo lewak. Potem na myśl przyszła mi Caridad Cyganicha, a po niej na koniec Angélica de Alquézar. I powiedziałem w duchu, że niewiastom do głowy nie przyjdzie, jakie to wspaniałe i straszliwe rzeczy w męskim sercu się kryją.

Rozległ się wystrzał z arkebuza: samotny, odległy, pojedynczy stuk w czeluściach nocy i mgły. Na mój nos, padł nieco ponad trzysta kroków przed nami, tedy wystraszeni przypadliśmy do ziemi jeszcze bardziej. Potem cisza zapadła na jakiś czas, aż nareszcie przerwała ją istna kanonada z pistoletów i muszkietów, którym towarzyszył huk wybuchów. Do cna

rozgorączkowni, daremnie próbowaliśmy przebić wzrokiem ciemności. Teraz strzały słychać było to z jednej strony, to z drugiej, przybierające na sile i wstrząsające posadami świata, jakoby burza nieziemska rozpętała się gdzieś po drugiej stronie mrocznej zasłony. W pewnej chwili jeden suchy a silny wybuch nastąpił, zaraz po nim zasię jeszcze dwa.



... widziałem kapitana Alatryste, jak zbliża się do pilnujących służby niderlandzkich strażników, sunąc po pierś w wodzie, jedną ręką trzyma wysoko pistolet, by prochu nie zamoczyć, a w drugiej zaciska rapier albo lewak.

Teraz dopiero pomimo mgły zdołaliśmy co nieco dostrzec: zrazu błądy rozbłysk, czerwieniejący z każdą sekundą, migoczący tysiącami iskierek w

kropelkach oparu, odbity w czarnych falach rzeki u stóp grobli, na której leżeliśmy. Tama w Zevenbergen stanęła w płomieniach.

Nigdy nie zdołał się wywieźć, ile to wszystko trwało, wiem wszelako, że z oddali noc owa musiała się jawić piekłu podobną. Podnieśliśmy się lekko w zadziwieniu, gdy wtem dobiegł nas odgłos szybkich kroków, co się naszą groblą zbliżały. Wkrótce też zamajaczył nam sznur białych plam – to ludzie w koszulach biegli skroś ciemności hen, od strony hiszpańskiego oddziału. Dalej huczało od wybuchów i arkebuzowej palby, nasi tymczasem brnęli co sił przez bagno i mijali nas, sapiąc z wysiłkiem i klnąc w żywe kamienie. Ktoś jęczał, snadź ranny, kompani pomagali mu w marszu. Wraże muszkiety przybliżały się z każdą chwilą, przeto białe koszule, dotąd w gromadzie biegnące, rozproszyły się na różne strony.

– Dalej! – ozwał się Jaime, na równe nogi się zrywając.

Ja także powstałem, zdjęty nagłym atakiem trwogi. Za żadne skarby nie zostałem tu sam. Właśnie zbliżyli się maruderzy, a ja w każdej białej plamie usiłowałem rozpoznać postać kapitana Alatryste. Jakiś cień wdrapał się niepewnie na szczyt grobli, biegł z wyraźnym trudem, oddech szarpały mu jęki bólu przy każdym kroku. Nim się ze mną zrównał, padł, sturlał się po zboczu i po chwili usłyszałem plusk wpadającego do wody ciała. Niewiele myśląc, skoczyłem za nim, jąłem brodziec po kolana i gmerałem rękami, aż nieruchome ciało na dnie zmacałem. Wyczułem zbroję pod koszulą i zarośnięte brodą oblicze, zimne jak śmierć we własnej osobie: to nie był kapitan.

Strzelanina była tuż–tuż, w dodatku słychać ją było z przodu, z lewa i z prawa. Wspiąłem się ponownie na szczyt i takiego dostałem kręćka, że zgoła przestałem rozróżniać, gdzie są nasi, a gdzie tamci. Z oddali nie dobiegał już blask płomieni, nikt nie biegł mimo, nie byłem w stanie orzec,

na którą stronę upadł był ów śmiertelnie ranny żołnierz, toteż i pewności nie miałem, w którym kierunku czmychać. Panika sprawiła, że do cna głowę stracił. Myśl – rzekłem do się w duchu. Myśl spokojnie, Íñigo Balboa, bo inaczej brzasku nie dotrwasz. Ukląknęłam w błocie, chcąc odczekać, aż rozsądek unicestwi zamęt, jaki w tym momencie krew mi w skroniach bijąca wprowadziła. Żołnierz stoczył się do wody stojącej – przypomniałem sobie. Teraz dopiero zmiarkowałem, że szmer cichy rzeki Mark dobiega mnie od prawej strony. Jej nurt płynie w kierunku Zevenbergen – rozumowałem dalej. Przybyliśmy tu jej prawym brzegiem, by pod koniec przeprowić się na lewy pomostem. Zatem patrzę w złym kierunku. Obróciłem się na pięcie i ruszyłem biegiem poprzez mrok, jakby to nie Niderlandczycy mnie gonili, a sam Belzebub.

Nieczęsto zdarzyło mi się w życiu tak rączo pędzić. Spróbujcie, waszmościowie, cwałować cali mokrzy i błotem powalani, na domiar złego po ciemku. Kuliłem głowę w ramionach i parłem naprzód na oślep, lękając się, że lada chwila ześliznę się po zboczu i wyląduję w zimnych odmętach rzeki Mark. Za sprawą wilgotnego powietrza dusiłem się, a z każdym oddechem lodowate powietrze zmieniało się w piersiach w żarzącą kulę ostrych igieł, co mi płuca na wskroś przeszywały. Wtem, kiedym już sam w głowę zachodził, czy za daleko nie zabrnąłem, zobaczyłem pomost. Uczepiłem się drewnianych bali i jąłem przeprowiać się na drugi brzeg, lubo nogi ślizgały mi się na wszystkie strony. Ledwie łąd osiągnąłem, raptowny wystrzał przerwał nocną ciszę i może pięćdziesiąt od mej głowy zafurkotał pocisk arkebuza.

– Antwerpia! – krzyknąłem i ku ziemi przypadłem.

– Ja pierdolę – odparł ktoś z mroku.

Dwie czujnie skulone sylwetki zajaśniały przede mną.

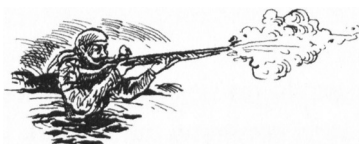
– Właśnie się drugi raz narodził, chłopie – dodał drugi głos.

Wstałem i zbliżyłem się do nich. Ich obliczy dostrzec nie zdołałem, ale koszule widoczne były wybornie, podobnie jak złowieszcze cienie arkebuzów, które dopiero co we mnie mierzyły.

– To nie widzicie, waszmościowie, że koszulę mam na sobie? – wydyszałem, jeszcze oszołomiony biegiem i trwogą.

– Jaką koszulę? – spytał jeden.

Zaskoczony dotknąłem piersi i dlatego jeno nie zakląłem, że z racji wieku nie nawykłem do tego. Tyle czasu spędziłem, leżąc na brzuchu, że koszulę mą pokrywała teraz gruba warstwa błota.





IX. PAN MARSZAŁEK I CHORAĞIEW.



owych dniach pożegnał się z żywotem Maurycy Nassau, ku wielkiej rozpaczy Prowincji i wielkiemu ukontentowaniu wyznawców prawdziwej religii – lubo najpierw zdołał nam jeszcze na pożegnanie miasto Goch wyrwać, zapasy prowiantów w Ginneken podpalić i podjąć próbę szybkiego odbicia Antwerpii – i tam właśnie kula przez kolbę arkebuza prosto w wątpia go ugodziła. Ale przynajmniej psubrat i orędownik ohydnej sekty kalwinistów został przez piekło pochłonięty, nie doczekawszy tego, czego tak bardzo wyglądał: aż Hiszpanie przerwą oblężenie Bredy. Tedy, chcąc Niderlandczykom kondolencje należyte złożyć, nasza artyleria cały dzionek nader wybornie tłukła sześćdziesięciofuntowymi kulami w mury miasta, a ledwie świt nadszedł, wysadziliśmy im cały bastion z trzydziestką żołnierzy w środku, za sprawą czego szpetne mieli przebudzenie, przekonali się bowiem łącno, że kto rano wstaje, temu niekoniecznie zawsze Pan Bóg daje.

Breda w owym okresie wojny nie była już dla Hiszpanii łakomym kąskiem z wojennej potrzeby, rzecz sprowadzała się raczej do kwestii honoru. Cały świat wszak zamarł, wyczekując triumfu albo porażki katolickiego monarchy. Nawet sułtan turecki (niech mu Chrystus grzecznie skórę zło!) sprawdzić chciał, czy nasz miłościwie panujący Filip wyjdzie z

całej awantury wzmocniony czy osłabiony, a i z całej Europy w tę stronę kierowały się oczy królów i książąt, osobliwie francuskich i angielskich, którzy zawsze skorzy byli uszczknąć coś przy okazji naszych klęsk i rozpaczać, gdy my świętowaliśmy wiktoryę. Z podobnych pobudek Wenecjanie i nawet papież rzymski z południa równie bacznie wypadki śledzili. Bo przecie Jego Świątobliwość, lubo zastępcą jest Boga Najwyższego na ziemi i całego tego majdanu, i lubo to my Hiszpanie całą brudną w Europie wykonywaliśmy robotę, flaki sobie wypruwając w obronie Trójcy Świętej i Najświętszej Panienki – ile mógł, tyle w paradę nam włożył, a to z zawiści o nasze wpływy w Italii. Nie masz bowiem lepszej metody, jak podziw i strach przez parę stuleci wzbudzać, ażeby wszędy naokoło pojawili się niecni wrogowie, w tiarze czy też bez niej, co pod przykrywką pięknych słówek, uśmieszków i wykwintnej dyplomacji będą ci usiłowali z tyłu przyłożyć. Aczkolwiek przyznać trzeba, że co do głowy Kościoła, to żółć jego była do pewnego stopnia zrozumiała. Ostatecznie niemal równo wiek cały przed Bredą poprzednik jego Klemens VII musiał nogi za pas brać i jeszcze sutannę podkasać gwoli bardziej chybkiego galopu, ażeby się w zamku Sant'Angelo schronić, kiedy to Hiszpanie i najemnicy naszego cesarza Karola V – co żołąd mieli zaległy od czasu, kiedy jeszcze Cyd w stopniu kaprała chodził – zdobyli jego twierdzę i Rzym złupili, nie szczędząc ni pałaców kardynalskich, ni niewiast, ni klasztorów. Z czego łącno i słusznie wnosić możemy, że nawet papież dysponują dobrą pamięcią i wiedzą co nieco na temat honoru, lubo nie za wiele.

– List do ciebie przyszedł, Íñigo.

Zdumiony, wzrok podniosłem na kapitana Alatryste. Stał przed szaląsem z gałęzi, płacht i ziemi wzniesionym, gdzie zabawiał się akurat z kilkoma druhami, kapelusz miał na głowie, a wymiętoszony płaszcz okrywał mu

ramiona, unosząc się lekko z tyłu, wypchnięty przez rapier w pochwie pod spodem. Oblicze jego jeszcze szczuplejsze się zdawało niżli naprawdę, a to za sprawą szerokiego ronda, gęstych wąsów i orlego nosa, a lubo ogorzałe było skutkiem przebywania długo na powietrzu, przecie bladość jaką dało się na nim dostrzec. Zresztą jako żywo kapitan był chudszy. Zdrowie jęło mu szwankować przez to, że kilka dni pił zepsutą wodę – do tego chleb dostawał spleśniały, a mięso, jeśli było, aż chodziło od robaków – iże napadów gorąca doświadczał i nabawił się ostrej trzeciaczki. Nie należał wszelako do zwolenników puszczenia krwi ni środków na przeczyszczenie, bo – powiadał – snadniej zabiją niżli pomogą. Przybywał tedy właśnie z miejsca postoju kramarzy, gdzie znajomek pewien, co balwierstwem i farmacją też się zatrudniał, zaordynował mu był jakiś wywar z ziółek gwoli zrzucenia gorączki.

– List do mnie?

– Najwyraźniej.

Porzuciłem Jaimego Correasa i resztę kompanii i wypadłem na zewnątrz, otrząsając ziemię z gaci. Znajdowaliśmy się daleko od murów, nieopodal konstrukcji, co osłaniały zagrodę z wozami i zwierzętami pociągowymi, a także zgoła blisko baraków, które służyły za gospodę, jeśli było wino, i za żołnierski lupanar z gościnnymi ramionami Niemek, Włoszek, Flamandek i Hiszpanek. Giermkowie często się tu włóczyli, dokazując i łotrząc, zgodnie z naszym stanem i młodym wiekiem, byle choć trochę życia hulaszczego zaznać. Rzadko się zdarzało, byśmy z tego plądrowania wrócili bez paru jajek, kilku jabłek, świec łożowych lub czego bądź, co na wymianę albo handel zdatnym było. Takim to przemysłem wspomagałem kapitana Alatryste i jego kamratów, a jeśli łaskawy los zechciał, własnym potrzebom też folgowałem, odwiedzając z Jaimem Correasem przybytek sławetnej Mendozy. Wniścicia do niej nikt mi już przecie nie wzbraniał od czasu

pamiętnej dysputy, jaką Diego Alatryste i walencjanin Candau przeprowadzili ongiś u stóp wysokiego wału. Kapitan, wtajemniczony w moje poczynania, dyskretnie starał mi się je wyperswadować, powiadał bowiem, że niewiasty, co za wojskiem ciągną, często stają się przyczyną pryszczycy, morów i ran ciętych. Owóż nie dbałem nigdy o to, jakie on sam stosunki miewał z takimi dziewczkami w swoim czasie, zapewniam was jednak, waszmościowie, że go nigdy we Flandrii nie ujrzałem wchodzącego do domu czy namiotu z wizerunkiem łabędzia nad wnijsciem wiszącym. Owszem, dowiedziałem się za to, że parokrotnie, za pozwoleniem kapitana Catona, wyprawiał się do Oudkerk, obecnie pod burgundzką flagą żyjącego, by zaznać gościny owej Flamandki, o której przy innej sposobności nadmieniałem. Chodziły słuchy, że ostatnim razem Alatryste wdał się w ostrą sprzeczkę z jej mężem, którego w końcu za zadek zaciągnął aż do kanału, musiał przy tym nawet za rapier chwycić, gdy jacyś Burgundczycy jęli pchać nosy w sprawę zgoła nie swoje. I od tamtej pory już do Oudkerk nie chadzał.

Co zaś do mnie, uczucia względem kapitana miałem wyraźnie podzielone, lubom nie zdawał sobie z tego sprawy. Z jednej strony byłem mu bezwzględnie posłuszny, darzyłem absolutnym oddaniem, aż nadto waszmościom już znanym. Z drugiej zaś, jak każde dorastające pachole, już odczuwałem, że cień jego zbyt ciężkim na mnie kładzie się brzemieniem. Flandria sprawiła, że ze zwykłego chłopca na posyłki wyrósł na młokosa, co z żołnierzami pospołu przestaje i ma sposobność walczyć w obronie własnego życia, honoru i króla. Na dodatek coraz więcej przychodziło mi do łba pytań bez odpowiedzi, pytań, wobec których milczenie pana mego już nie wystarczało. Skutkiem tego wszystkiego jałem rozważać, czyby się nie zaciągnąć do wojska na stałe, bo chociaż jeszcze wieku stosownego nie osiągnął – nieczęsto zdarzali się żołnierze młodszy

niżli siedemnaście, osiemnaście wiosen liczący, a jeśli już, to kłamstwem drogę sobie torowali – to jednak może przy odrobinie szczęścia los by się do mnie uśmiechnął. Przecież i sam kapitan Alatryste zaciągnął się był, mając ledwie lat piętnaście, podczas oblężenia Hulst⁶⁹. Zdarzyło się to w trakcie sławetnego manewru, kiedy gwoli zmylenia nieprzyjaciela co do rzeczywistego zamiaru, jakim był atak na twierdzę Gwiazdy, posłano giermków, paziów i posługaczy zbrojnych w lance, chorągwie i tarabany, by pobliską groblą sunęli i w ten sposób odsiecz heretycką udawali. Szturm przebiegł wówczas krwawo, tym bardziej że wielu uzbrojonych i walką podnieconych młokosów pośpieszyło w sukurs swym panom, wielką wykazując się bitnością. Diego Alatryste, podówczas giermek i dobosz chorągwi kapitana Pereza de Espila, biegł do walki chyżej niż ktokolwiek. A tak wybornie niektórzy się spisali, w tym także Alatryste, że księżę kardynał Albert, gubernator Flandrii i głównodowodzący szturmem, odwdzieczył im się, pasując ich na żołnierzy.

– Przyszedł rano razem z pocztą z Hiszpanii.

Chwyciłem list, który kapitan mi wręczał. Koperta z zacnego papieru była uczyniona, pieczęć miała nietkniętą, na wierzchu widniało moje imię:

*Pan Diego Alatryste, do rąk Íñiga Balboi * W chorągwi kapitana mości
Carmela Catona, regiment z Cartageny * Poczta wojskowa we Flandrii*

Zadygotały mi dłonie, gdym kopertę obrócił, zalakowaną inicjałami „A. de A.”. Bez słowa, czując na sobie baczne spojrzenie kapitana, odszedłem z wolna ku miejscu bardziej odosobnionemu, gdzie niewiasty żołnierzy germańskich prały bieliznę w wąskiej odnodze strumienia. Niemcy, podobnie jak i część Hiszpanów, brali za żony byłe ładacznice, które folgowały ich ciągotom i dbały o inne potrzeby, piorąc żołnierską odzież

oraz handlując okowitą, chrustem, tabaką i fajkami – wspominałem już, że pod Bredą widywałem Niemki, co ramię w ramię z mężami pracowały w okopach. Owóz blisko tej polowej pralni leżało ścięte drzewo, do rąbania chrustu przygotowane, a pod nim ogromny głaz. Siadłem tam sobie przeto, niedowierzających oczu z inicjałów nie spuszczać. Wiedziałem, że kapitan bez ustanku się we mnie wpatruje, czekałem tedy, aż serce mi się nieco uspokoi. Dopiero wówczas, bacząc, by ruchy me niecierpliwości nie zdradziły, złamałem pieczęć i kopertę rozłożyłem.

Mości panie Íñigo, Doszły mnie nowiny o waszmościnych perypetiach i raduję się, słysząc, że we Flandrii służysz. Wielce waszmości tego zazdrozczę, możesz mi wierzyć. Żywię nadzieję, że nie karmisz urazy zbytnej do mnie za nieprzyjemności, które udziałem waszmości się stały po naszym ostatnim spotkaniu. Pewnego dnia usłyszałam wszak z twych ust, że dałbyś się za mnie zabić. Przeto uznaj to za wyzwanie śmierci rzucone, które krom chwil trudnych daje waszmości także chwile radosne, jako to służba miłościwie panującemu nam królowi albo – może – nadejście niniejszego listu ode mnie.

Wyznam, że nie mogę przegnać wspomnienia o waszmości za każdym razem, gdy przechadzam się wedle Stalowej Fontanny. Jak rozumiem, zgubiłeś ów piękny amulet, który byłam ci podarowałam. Rzecz niewybaczalna jak na tak wytwornego kawalera. Mam nadzieję, że pewnego dnia ujrzę, jak wkraczasz waszmość w progi tego Dworu z rapierem i ostrogami. Do tego czasu przyjmij ode mnie pozdrowienia i towarzyszący im uśmiech.

Angélica de Alquézar

PS: Cieszę się, żeś waszmość nadal żyw.

Mam plany co do waszmościnej osoby.

Skończyłem czytać list – a uczyniłem to trzykrotnie, popadając ze zdumienia przez szczęście w melancholię – i dłuższą chwilę jeszcze wpatrywałem się w papier, rozłożony na łatach, co rolę nakolanników w

mych portkach pełniły. Oto ja byłem we Flandrii na wojnie, a ona myślała o mnie. O ile chęci i siły żywotne mi dozwolą, będzie sposobność opowiedzieć waszmościom, jakie to wśród przygód kapitana Alatryste i moich własnych plany snuła wobec mnie Angélica de Alquézar owego roku dwudziestego piątego, kiedy sama liczyła dwanaście lub trzynaście wiosen, ja zaś dobiegałem piętnastu. Gdybym mógł owe plany przewidzieć, przyprawiłyby mnie zarazem o dreszcze trwogi i najwyższego szczęścia. Powiem teraz co najwyżej, że ta cudna i niegodziwa główka zdobna w jasne loki i błękitne oczy, dla mrocznej przyczyny, wytłumaczalnej jeno przez tajemnicę, jaką niektóre niezwykle niewiasty przechowują w głębinach duszy od wczesnego dzieciństwa – zamiarowała na szwank mój żywot i zbawienie wieczne wystawić jeszcze wielokrotnie. I zawsze czyniła to w sposób zimny, umyślny i niejednoznaczny, kochając mnie–jak tuszę – i krzywdę mi robiąc przez całe swoje życie. I było tak do chwili, gdy odebrała mi ją – a może ocaliła od niej, na Boga, bo wyjścia i z tej sprzeczności nie dane mi widzieć – jej przedwczesna i tragiczna śmierć.

– Może chcesz mi coś powiedzieć – ozwał się kapitan Alatryste.

Mówił łagodnie, głosem bezbarwnym. Podniosłem nań oczy. Siedział wedle mnie, na głązie pod zwalonym drzewem, i od dłuższego czasu czekał, aż skończę lekturę. Kapelusz w dłoni trzymał i z nieobecnym wyrazem oblicza spoglądał daleko, w kierunku murów Bredy.

– Niewiele jest do gadania – odparłem.

Skinął głową nieśpiesznie, jakby przytakując mym słowom, i przyglądał dwoma palcami wąs. Milczał. Zarys profilu upodabniał go do ciemnego orła, co w spokoju spoczywa na szczycie turni. Przyglądałem się dwóm bliznom na jego obliczu – skroś brwi i na czole – i jeszcze jednej na wierzchu lewej dłoni, pamiątce po spotkaniu z Gualteriem Malatestą wedle

bramy Duchów. Pod odzieniem miał ich więcej, w sumie dawało to osiem. Za czym zerknąłem na wypolerowaną rękojeść rapiera, połatane i powiązane lontami buty, szmaty wystające z dziur w podeszwach, na pocerowany i postrzępiony płaszcz z szarego płótna. I pomyślałem, że może i mój pan kiedyś był zakochany. A może na swój sposób nadal kocha – i Caridad Cyganicę, i tę płowowłosą, milczącą Flamandkę z Oudkerk.

Usłyszałem cichutkie westchnienie, ledwie szmer powietrza z płuc wypuszczonego, i ujrzałem, że zbiera się, by powstać. I wówczas podałem mu list. Wziął go bez słowa i patrzył na mnie czas jakiś, nim się w lekturę zagłębił – tyle że to ja teraz wpatrywałem się w odległe mury Bredy, z obliczem równie obojętnym jak jego twarz jeszcze kilka chwil wcześniej. Kątem oka dostrzegłem, że lewa dłoń kapitana, ta z blizną, na powrót ku wąsom sięga. Wreszcie jął czytać w milczeniu. Niebawem usłyszałem chrzęst składanego papieru i list znów znalazł się w mych dłoniach.

– Są rzeczy... – rzekł po chwili i zamilkł.

Sądziłem, że to wszystko. Nie zdziwiłem się, wszak był człekiem bardziej do milczenia niżli do gadania skłonny.

– Rzeczy – dokończył wreszcie – które one wiedzą od momentu narodzin... Lubo same nie wiedzą tego, że wiedzą.

I znów przerwał. Poczułem, że wzdrygnął się z niezadowoleniem, snadź zastanawiał się, jak myśl dokończyć.

– Rzeczy, których mężczyźni muszą uczyć się całe życie.

Po tych słowach nie odezwał się więcej. Nie usłyszałem ni „miej się na baczności”, ni „strzeż się siostrzenicy naszego wroga”, ni innych uwag stosownych w takiej chwili, których – wiedział to ani chybi doskonale – nie posłuchałbym wcale, bo tak mi nakazywała młodzieńcza buńczuczność. Siedział jeszcze jakiś czas, spoglądając na miasto na horyzoncie, za czym kapelusz na łeb nasadził i powstał, poprawiając przy tym płaszcz na

ramionach. Patrzyłem, jak odchodzi w stronę okopów, i sam siebie zapytywałem, ile niewiast, ile pchnięć, ile dróg i ile śmierci cudzych i własnych poznać musi mężczyzna, by móc takie słowa wypowiedzieć.

W połowie maja Henryk Nassau⁷⁰, następca Maurycego, ostatni raz postanowił szczęścia spróbować i z odsieczą Bredzie przyszedł, atoli i tym razem trafiła kosa na kamień. I chciał przewrotny los, że akurat w wigilię planowanego przez Niderlandczyków ataku nasz marszałek polny i kilku oficerów sztabowych odbywali rekonesans po groblach od północnego zachodu, a eskortę stanowiła dyżurująca owego tygodnia drużyna Diega Alatryste. Maszerował tedy mość Pedro de la Daga z właściwym sobie przepychem, on i pół tuzina jeszcze konnych, a wraz z nim sztandar regimentu, do tego sześciu Niemców z halabardami i tuzin żołnierzy, wśród nich mój pan, Copons i pozostali druhowie, wszyscy pieszo, z arkebuzami i muszkietami na ramionach, otwierający i zamykający orszak. Ja szedłem społem z tymi ostatnimi, objuczony biesagami pełnymi prowiantów, prochu i pocisków, wpatrywałem się w wąz ludzi i koni odbity w wodzie kanałów, coraz czerwieńszej od chylącego się ku zachodowi słońca. Wieczór zapadał cichy, niebo było pogodne, a powietrze przyjemne – i nic nie zapowiadało wydarzeń, jakie właśnie miały się rozegrać.

W okolicy dały się zauważyć ruchy wrażeń oddziałów, przeto generał nasz Spínola polecił mości Pedrowi de la Daga, by rzucił okiem na pozycje włoskie wedle rzeki Mark, na wąskim trakcie ku groblom Zevenbergen i Strudenbergen, i sprawdził, czy wsparcia im trzeba w postaci jednej chorągwi hiszpańskiej. Bardasznurek zamierował nocować w kwaterze Terheijden z regimentarzem pułku Campo Látaro, mości Carlem Romą, i dopiero nazajutrz stosowne kroki przedsięwziąć. Tak dotarliśmy do grobli i fortu Terheijden tuż przez zapadnięciem zmroku i wszystko odbyło się

zgodnie z planem, nasz marszałek i oficerowie rozlokowali się w przygotowanych po temu namiotach, my zaś zajęliśmy małą redutę z pali w ziemię wbitych i koszy, pod gołym niebem. Tam też zalegliśmy, szczelnie w płaszczce owinięci, posileni chudym kęsem, jakim poczęstowali nas Włosi, nasi weseli i dobrzy kompani, zaraz po naszym przybyciu. Kapitan Alatryste udał się do namiotu marszałka z pytaniem, czy ten nie ma dla niego jakichś poleceń, na co mość Pedro de la Daga, jak zawsze wyniosły i opryskliwy, odparł, że Alatryste na nic nie będzie mu przydatny, więc niech swym czasem rozporządza wedle woli. Po powrocie, jako że znajdowaliśmy się w miejscu nieznanym, a wśród Włochów tyłuż było ludzi honoru, co zaufania niegodnych, kapitan uznał, że niezależnie od naszych gospodarzy własną wartę wystawimy. Mendieta miał stanąć pierwszy, jeden z braci Olivaresów po nim, a trzecią wachtę Alatryste przeznaczył dla siebie. Usiadł tedy Mendieta wedle ognia z arkebuzem gotowym i lontem rozżarzoną, a reszta spać się położyła, jak i gdzie kto mógł.

Świt właśnie wstawał, kiedy dziwne odgłosy i okrzyki do broni wzywające mnie zbudziły. Oczy me powitał szary, brudny poranek, wkoło biegali Alatryste i jego kompani, wszyscy po zęby uzbrojeni, z lontami rozpalonymi, ładowali pistolety i pośpiesznie wsuwali kule do armat. Nieopodal rozlegała się nieopisana palba tudzież wrzawa, co zamęt w wieży Babel przypominała. Jakiśmy się później wywiedzieli, Henryk Nassau wąską groblą posłał przeciwko naszym angielskich muszkietarów, wojsko wyborne, do tego jeszcze dwustu pancernych, wszystkich ciężko uzbrojonych, a prowadził ich angielski pułkownik Ver. Do tego wsparcie jeszcze mieli w postaci Francuzów i Niemców, w całkowitej sile sześciuset żołnierza, za nimi tymczasem postępowała niderlandzka ariergarda z ciężką artylerią, wozami bojowymi i jazdą. Niemal równo z brzaskiem nader

zuchwale Anglicy spadli na pierwszą redutę włoską, obsadzoną ledwie jednym chorążym i kilkoma żołnierzami, niektórych z nich za pomocą granatów trupem kładąc, resztę zasię żelazem. Za czym rzucili na to miejsce swoich arkebuzerów, równie szczęśliwie i śmiało zdobyli półksiężyc, dostępu do bramy fortu broniący, i już się po umocnieniach wspinali. Owoż Włosi, co w okopach mieli swe pozycje, gdy tylko zoczyli, że nieprzyjaciel tuż–tuż, a oni zgoła odsłonięci, do cna głowy potracili i ze stanowisk pierzchli. Anglicy z wielką wprawą i sercem wojowali, przyznać trzeba, że odwagi im nie zabrakło, aż do tego doszło, że włoska kompania kapitana Camilla Fenice, co fortu bronić przybyła, gdy zmiarkowała, jak się sprawy mają, sromotnie plecy wrogowi pokazała – snadź po to, by prawdziwymi okazały się słowa, jakie Tirso de Molina o niektórych żołnierzach napisał:

*Z ust mi „pies trącał” nie schodzi, Hołd kładąc bluźnierczej muzie Noce chcę spędzać w zamtuzie Lub w karty znaczone godzić; Śród bitewnego tumultu, Jeśli los podły go zdarzy, Wówczas to regiment wraży Ujrzy podeszwy mych butów.*⁷¹

Rzecz w tym atoli, że Anglicy nie pod postacią poezji, ale wielce niebezpiecznej prozy dotarli także do namiotów, gdzie nasz marszałek polny i jego oficerowie nocowali. Ci ostatni tedy wypadli na dwór w samych koszulach, dobywając tego, co akurat popadło, i nuże sztychy zadawać i z pistoletów strzelać, gdy tymczasem Włosi pierzchali, a heretycy nacierali. Z odległości jakich stu kroków, gdzie my się znajdowaliśmy, widać było wybornie popłoch wśród Italczyków i angielską cme, a cała scena na domiar wszystkiego upstrzona była błyskami wystrzałów, tym lepiej widocznych, że jeszcze szarość wokoło świat spowijała. W pierwszym odruchu Diego Alatryste chciał ze swą drużyną ku namiotom oficerskim ruszyć, aliści ledwie stopę na przedpiersiu postawił,

zmiarkował, że daremny to trud, albowiem uciekinierzy tłoczą się na grobli, a tutaj akurat nikt nie czmycha, bo dalej już przejścia nie ma: staliśmy na niewielkim wzniesieniu, a za plecami mieliśmy już jeno wodę. I tylko mość Pedro de la Daga, jego oficerowie i eskorta germańska wycofywali się ku reducie, cały czas walcząc twarzą do wroga, co drogę odwrotu im odcinał ku reszcie wojska, a idący wraz z nimi chorąży Miguel Chacón starał się bronić sztandaru. Widząc, że owa drobna grupka naszą stara się redutę osiągnąć, Alatryste uszykował swych żołnierzy za koszami i nakazał ogień ciągły prowadzić, by dowódców osłaniać, a i sam przy tym raz za razem z arkebuza grzmocił. Ja kuciałem tuż pod przedpiersiem i na każde życzenie służyłem prochem i kulami. Zawierucha była coraz bliżej, już chorąży Chacón wspinał się po niewielkim zboczu, gdy naraz pocisk z arkebuza w plecy go trafił, na ziemię powalając. Widzieliśmy jego brodate oblicze siwego wiarusa i ogromny wysiłek, z jakim powstać na nowo usiłował, niemrawymi ruchami palców szukając drzewca chorągwi, które mu z rąk wypadło. I jeszcze pochwycić je zdołał, wsparł się na nim odrobinę, ale drugi strzał przewrócił go ostatecznie na twarz. Insignia nasze leżały teraz na nasypie wedle nieboszczyka naszego chorążego, co tak mężnie gotów był powinność swą pełnić, gdy oto Rivas wyskoczył zza kosza, by je pochwycić. Mówiłem już waszmościom, że Rivas z Finisterre pochodził, czyli z miejsca, gdzie diabeł mówi dobranoc, atoli ostatnim był człkiem, którego posądzić można o to, że z okopu wyjdzie po sztandar, który ani go grzeje, ani ziębi. Snadź z Galisyjczykami nigdy nic nie wiadomo i należy być na wszelkie niespodzianki przygotowanym. Owoż poszedł naprzód pocziwina Rivas, jak nadmieniałem, zbiegł będzie z sześć, siedem łokci w dół, aż i on padł, mnóstwem pocisków przeszyty, i poturlał się prosto do stóp mości Pedra de la Daga i jego oficerów, co zewsząd przez napastników otoczeni, z coraz większym trudem odpierali ich bezlitosne ataki. Sześciu

Niemców eskortę stanowiących, iżże nacja ta zawsze profesję swą wykonuje bez deliberowania i komplikowania sobie życia (o ile tylko żołąd w porę przychodzi), dało się zarzącić jak Pan Bóg przykazał, lubo drogo skórę swą sprzedali w obronie naszego marszałka polnego. Ten zasię zdołał już zbroję włożyć, dzięki czemu twardo na nogach się trzymał, chociaż dwa albo i trzy pchnięcia już go dosięgły. Anglików tymczasem przybywało, gromko rychły triumf świętujących, snadź widok leżącej na ziemi chorągwi jeszcze odwagi im dodawał, boć kto wraży sztandar przejmie, dla tego chwała wielka przeznaczona, a srom na głowę tego, co go utraci. A w tym sztandarze, w biało–niebieskie kwadraty z czerwoną szarfą, spoczywał – jak powiadano podówczas – honor Hiszpanii i miłościwie nam panującego króla.

– *No quarter*⁷²... *No quarter!* – wykrzykiwały te kurewskie nasiona.

Jęliśmy strzelać i kilku udało się ustrzelić, atoli niewiele więcej w owym momencie można było dla mości Pedra de la Daga i jego przybocznych zdziałać. Jeden z nich, którego rozpoznać nie byliśmy w stanie z tej racji, że oblicze miał całe rozplątane od ciosów, usiłował Anglików odsunąć gwoli umożliwienia marszałkowi polnemu ucieczki. Godzi się jednak wspomnieć, że Bardasznurek do końca wiernym sobie pozostał: jednym szarpnięciem uwolnił się z rąk oficera, co za łokieć go ciągał, kazał mu wspinać się na zbocze, sam zasię rapier w ciele jakiegoś heretyka utopił, drugiemu w twarz prosto z pistoletu wypalił, a potem, nie chyląc się i nie kuląc, buńczuczny jak zwykle nawet na drodze do piekieł, dał się zaszlachtować przez całą chmarę Anglików, którzy rozpoznali jego rangę i teraz szczątki jego nuże sobie wyrywać.

– *No quarter!*... *No quarter!*

Już jeno dwóch oficerów przy żywocie pozostało, ci biegiem na szczyt się puścili, korzystając, że nieprzyjaciel przy naszym dowódcy się

pożywiał. Jeden padł po kilku krokach, piką na wylot przewiercony. Drugi, ten z pociętym obliczem, utykając, dotarł do sztandaru, schylił się, by go podnieść, powstał i jeszcze trzy, może cztery kroki zdołał postąpić, nim go podziurawiła kanonada z pistoletów i muszkietów. I na powrót insygnia na ziemię runęły, ale nikt z góry nie poszedł po nie, wszyscy snadź zatrudniali się soczystą palbą z arkebuzów w stronę Anglików, którzy już jęli wspinać się ku naszej reducie, gotowi dodać do listy swych trofeów po marszałku polnym jeszcze chorągiew regimentarską. I ja sam, nieustannie rozdając kolejne porcje prochu i kul z coraz bardziej kurczących się zapasów, przecie w przerwach strzeliłem parę razy pomiędzy kosztami z arkebuza, który Rivas był zostawił. Ładowałem go nieporadnie, wszak był za wielki na moje dłonie, a tak wierzgał przy odrzucie, że mi ramię przetrącał. Ale mimo to udało mi się co najmniej pięciokrotnie zeń wypalić.

Wciskałem w lufę porcję ołowiu, sypałem ostrożnie prochu na panewkę, za czym układałem lont w kurku, bacząc, by panewkę osłonić, gdy na jego rozżarzoną końcówkę dmucham, jak czynili tylekroć kapitan i jego kompani. Oczy me jeno pole bitwy widziały, a uszy słyszały jeno huk wystrzałów, podczas gdy czarny i ostry dym wdzierał mi się pod powieki, do nosa i gęby. List od Angeliki de Alquézar spoczywał zapomniany na piersi pod mym kaftanem.

– Jeśli wyjdę żyw – cedził Garrote, ładując pośpiesznie swój arkebuz – to za chińskiego boga do Flandrii nie wrócę.

Bój na grobli i pod murami fortu nie ustawał. Widząc, jak pierzchają ludzie kapitana Fenice, który zginął u bramy, dzielnie pełniąc swój obowiązek, regimentarz Carlo Roma, człek, co słusznie portki wdziewał, sam tarczę i rapier chwycił i stanąwszy naprzeciw uciekinierów, szeregi uporządkować próbował. Snadź był świadom, że jeżeli napastników powstrzyma, zdoła ich zepchnąć z wolna do tyłu, iż po wąskiej grobli

napierali, tedy i w bezpośrednim starciu walczyć będą mogli tylko ci, co najbardziej z przodu się znajdują. Tak to z wolna bitwa odżywała i z tamtej strony, a Włosi, z nową nadzieją i wigorem wokół swego regimentarza skupieni, walczyli zgoła wybornie – nacja ta wszakże, jeśli tylko chce i powód widzi, potrafi bić się przepięknie – Anglików zrzucając z murów i cały dorobek pierwszego szturm schizmatycznego niwecząc.

W naszym rejonie sprawy przestawiały się mniej różowo: setka wielce zawziętych Anglików już bliska była zdobycia nasypu, porzuconego sztandaru i koszy naszych umocnień, a przeszkadzała im w tym jeno siarczysta palba naszych arkebuzów, co z odległości dwudziestu kroków pluły w nich na potęgę.

– Kończy się proch! – zaalarmowałem wszystkich.

I tak było. Ostało zapasu najwyżej na dwa, trzy wystrzały dla każdego. Curro Garrote, klnąc jak skazaniec na galerach, skulił się za przedpiersiem, trzymając się za ramię od kuli muszkietu ranione. Pablo Olivares przeto przejął od malagijczyka broń i oddał ostatnie dwa strzały, po czym i z własnego kropnął jeszcze to, co mu zostało. Juan Cuesta, wojak z miasta Gijón, leżał martwy od dłuższego czasu, rychło dołączył doń Antonio Sánchez, stary wiarus z Tordesillas. Murcjanin Fulgencio Puchę osunął się zaraz po nim, dłońmi twarz zasłaniając i krwawiąc między palcami jak rzeźne zwierzę. Pozostali też ostatnie kule wystrzelili.

– Po wszystkim – ozwał się Pablo Olivares.

Patrzyliśmy wszyscy po sobie z wahaniem, słysząc coraz bliższe pokrzykiwania Anglików wspinających się po stoku. Ich wrzask wielką trwogą mnie napełniał i nieskończoną żalnością. Czasu ostało nam mniej niż na jedno *Wierzę w Boga*, a przed nami do wyboru jeno albo tamci, albo woda. Co poniektórzy jęli rapierów dobywać.

– Sztandar – powiedział Alatryste.

Kilku spojrzęło nań, jak gdyby nie pojęli, co gada. Inni aliści, wśród nich Copons, powstali i wokół kapitana się skupili.

– Słusznie prawi – odrzekł Mendieta. – Lepiej ze sztandarem, no.

Zrozumiałem. Lepiej przy chorągwi, walcząc w jej obronie, niżli tu, za osłoną koszy, jak zaszczute zające. Na miejsce strachu pojawiło się teraz dogłębne, wiekowe znużenie i ochota, by wreszcie skończyć z tym wszystkim. Chciałem zamknąć oczy i zasnąć na całą wieczność. Sięgając za plecy po mą mizerykordię, zmiarkowałem, że ręce pokrywa mi gęsia skórka. Dłoń ze sztyletem trzęsła mi się niby w gorączce, tedy zacisnąłem broń z całych sił. Alatryste dostrzegł to i przez ułamek sekundy w oczach jego zalśniło coś, co zarazem i skruchą być mogło, i uśmiechem. Po czym swój toledański rapier z pochwy wyjął, zdjął kapelusz i pas z dwunastoma apostołami i jął się na przedpiersie wspinać.

– Hiszpania!... Naprzód, Hiszpania! – krzyknęło kilku, idąc w jego ślady.

– W dupie Hiszpania! – wymamrotał Garrote i kulejąc, powstał, zaciskając rapier w zdrowej ręce. – Naprzód moje jaja!... Do dzieła!

Nie wiem, jak to się stało, aleśmy przeżyli. Wspominając redutę Terheijden w wielkim głowę mam nieładzie, podobnym do tego, z jakim ruszyliśmy w ową beznadziejną walkę. Wiem, żeśmy wynurzyli się u szczytu przedpiersia, że niektórzy przeżegnali się naprędce, a potem niczym sfora dzikich psów puściliśmy się w dół zbocza, jak szaleńcy rycząc i wywijając bronią, a wszystko to w chwili, gdy pierwsi Angliści już mieli sztandaru dopaść. Stanęli wszelako jak wryci, przelęknięci naszym niespodzianym wypadem, snadź mieli nas już za kupę trupów – i trwali tak jeszcze, z rękami wyciągniętymi ku drzewcu, kiedy spadliśmy na nich, rżnąc na oślep.



...widzę siebie, niespełna piętnastoletniego młokosa, jak wrzeszczę, biegnąc po zakrwawionym zboczu reduty Terheijden i ściskając bezsensowny kawałek płótna w biało-niebieską kratę...

Przewróciłem się na chorągiew, dłonie wokół niej zacisnąłem, zdecydowany nie puścić tej płachty za cenę życia, i poturlałem się z nią w dół stoku po ciałach martwego oficera, chorążego Chacona, poczciwego Rivasa tudzież Anglików, których teraz Alatryste społem ze swymi kompanami, miarowo postępując w dół, strzygli z takim impetem i okrucieństwem – wiedzcie, że desperat nie spodziewa się żadnego ratunku i

w tym siła jego – że wystraszeni Anglicy poczęli słabnąć, rany odnosić, padać i deptać jedni po drugich. Nareszcie któryś tyły podał, inni w jego ślady poszli. Kapitan Alatryste, Copons, bracia Olivaresowie, Garrote i reszta cali unurzani byli we wrażej krwi i ślepi od morderczej nienawiści.

Naraz, zgoła niespodzianie, Anglicy rzucili się do ucieczki, słowo daję, pierzchali tuzinami całymi, wycofywali się, a nasi nuże plecy im kaleczyć. Tak dotarli do nieboszczyka, mości Pedra de la Daga, poszli dalej, ostawiając za sobą istną masakrę, jedną krwawą masę pozarzynanych Anglików, a ja zataczałem się w ślad za nimi, potykałem o leżących, dłonie na sztandarze zaciskałem i wyłem z całych sił, wszystek gniew swój, rozpacz i dumę z przodków mych wykrzykując. Bóg mi świadkiem, że zaznałem w życiu potem wielu bitew, również tak zaciętych jak ta, o której teraz waszmościom prawię. Do dziś atoli płaczę jak pacholę, jakim byłem wszak w owym czasie, kiedy widzę siebie, niespełna piętnastoletniego młokosa, jak wrzeszczę, biegnąc po zakrwawionym zboczach reduty Terheijden i ściskając bezsensowny kawałek płótna w biało–niebieską kratę, owego dnia, kiedy kapitan Alatryste wybrał dzień swojej śmierci, a ja ruszyłem za nim skroś angielską nawałnicę, a wraz z nami jego druhowie, bo wszyscy musieliśmy kiedyś umrzeć, a wstyd nam było pozwolić mu, ażeby poszedł umierać samemu.





EPILOG.



eszta jest obrazem i Historią. Była nią już dziewięć lat później, owego poranka, kiedym przeszedł przez ulicę i wszedłem do madryckiej pracowni Diega Velázquez, pomocnika kamerdynera naszego króla. Dzień był zimowy, szary, jeszcze bardziej przykry niżli tamte dni we Flandrii, lód kałuż chrząścił mi pod butami do jazdy, a pomimo płaszcza i głęboko nasuniętego kapelusza aż mi się skóra na twarzy kurczyła od chłodu. Z ulgą przeto zanurzyłem się w mroku ciepłego korytarza, a zaraz potem w obszernej pracowni, gdzie ogień trzaskał wesoło na kominku, a ogromne okna wpuszczały światło na płótna, co wisały na ścianach, czekały rozpięte na sztalugach albo leżały zwinięte na drewnianym podeście pośrodku podłogi. W pomieszczeniu unosiła się woń farb, mieszanek, werniksów i terpentyny, a również jakże zacny zapach dobiegający z saganka, gdzie wedle kominka na niewielkim piecyku dochodził rosół zaprawiony korzeniami i winem.

– Niechże się pan poczęstuje, panie Balboa – rzekł Diego Velázquez.

Za sprawą podróży do Italii, długiego już pobytu na Dworze i względów, jakimi darzył go nasz król Filip Czwarty, malarz zatracił sporo ze swego sewilskiego akcentu w porównaniu z dniem, kiedym go był pierwszy raz ujrzał jakie jedenaście albo dwanaście lat wstecz na gwarnych od plotek

schodach pod Świętym Filipem. Teraz skrupulatnie chędożył pędzle czystą szmatką i odkładał równo na stół. Odziany był w pobryzgany farbą czarny kaftan, włosy miał zmierzwione, a wąsy i bródkę zgoła nieutrefione. Ukochany malarz Króla Jegomości nigdy się nie stroił do południa, kiedy to przerwę sobie czynił i żołądkowi ciepłą strawę serwował, a do tego czasu od pierwszych porannych promieni słońca wytrwale pracą się zatrudniał. I nawet spośród najbliższych nikt naprzykrzać mu się nie śmiał przed ową porą na odpoczynek. Następnie mistrz pracował jeszcze czas jakiś po południu, za czym spożywał coś lekkiego. Później, jeśli obowiązki pałacowe go nie wzywały albo jaka inna wyższa konieczność, przechadzał się pod Świętym Filipem, po placu Mayor albo po Błoniu, nierzadko w kompanii mości Francisca de Quevedo, Alonsa Cano⁷³ i innych przyjaciół, uczniów czy znajomych.

Położyłem płaszcz, rękawiczki i kapelusz na taborecie i zbliżyłem się ku sagankowi, nabrałem chochlą potrawy do emaliowanego dzbana i jąłem dłonie rozgrzewać, popijając przy tym małymi łykami.

– Jak idzie w pałacu? – zagadnąłem.

– Powoli.

Zaśmialiśmy się obydwaj ze starego żartu. W owym czasie Velázquez borykał się z trudnym zadaniem udekorowania obrazami sali tronowej w nowym pałacu Buen Retiro. Ta i inne podobne łaski spływały nań bezpośrednio od samego króla, co wielce naszego mistrza kontentowało. Aliści z drugiej strony, jak chwilami się skarżył, wskutek tego brakowało mu miejsca i spokoju do pracy wedle własnego upodobania. Przeto właśnie rzekł się był funkcji nadwornego odźwiernego na rzecz Juana Bautisty del Mazo⁷⁴, a sam zadowolił się godnością pomocnika królewskiego kamerdynera, bez nijakich obowiązków specjalnych.

– Co słyhać u kapitana Alatryste? – zapytał malarz.

– Dobrze. Pozdrowienia waszmości posyła... Poszedł pospołu z mości Franciskiem de Quevedo i kapitanem Contrerasem na ulicę Francos, w odwiedziny do Lopego.

– A jakże się miewa Feniks geniuszy?

– Szpetnie. Ucieczka córki Antonity z Cristobalem Tenorio była dlań mocnym ciosem... Nie podniósł się, biedaczysko.

– Muszę znaleźć wolną chwilę, by wizytę mu złożyć... Bardzo się posunął?

– Wszyscy lękają się, czy tę zimę przetrwa.

– Szkoda.

Upiłem jeszcze parę łyków. Rosół parzył mi usta, ale życie przywracał.

– Mówią, że będzie wojna z Richelieu – ozwał się Velázquez.

– Tak słyszałem pod Świętym Filipem.

Poszedłem odstawić dzban na blat, po drodze wszelako przystanąłem przed gotowym już obrazem na sztalugach, czekającym jeno na werniks. Angélica de Alquézar wyglądała tam precudnie, odziana w białą satynę, wykończoną frędzelkami z maleńkimi perełkami, oraz w mantylkę z brukselskiej koronki. Wiem, że robota brukselska to była, gdyż sam jej tę mantylę podarowałem. Jej błękitne oczy spoglądały w ironicznym skupieniu i zdawały się każdy mój ruch po izbie śledzić, jak zresztą czyniły to przez całe moje życie. Widok ten sprawił, żem się do siebie uśmiechnął – zaledwie kilka godzin wcześniej, o brzasku, rozstałem się z nią byłem i wyszedłem na ulicę szczelnie owinięty płaszczem i z dłonią na rękojeści rapiera na wypadek, gdyby oczekiwali mnie na zewnątrz najemnicy przez jej wuja nasłani – i wciąż na palcach, ustach i skórze nosiłem rozkoszne ślady jej zapachu. Nosiłem też na ciele zabliznioną pamiątkę po jej sztylcie, a w głowie jej słowa miłości i nienawiści – jedno i drugie śmiertelnie szczere.

– Zdobyłem dla waszmości – rzekłem do Velázqueza – szkic rapiera markiza de los Balbases... Dawny towarzysz broni widywał go często i pamięta tę broń wyśmienicie.

Odwróciłem się plecami do portretu Angeliki, wyciągnąłem zza pazuchy złożoną kartkę i podałem malarzowi.

– Rękojeść miał z brązu i kutego złota. Tu zobaczysz waszmość, jak wyglądała garda.

Velázquez odstawił już szmatę i pędzle i z ukontentowaniem wpatrywał się w przyniesiony szkic.

– A co do piór kapelusza – dodałem – to z całą pewnością były białe.

– Doskonale – odrzekł.

Położył papier na stole i jął na płótno patrzeć. Obraz miał zawisnąć w sali tronowej. Był tak ogromny, że mistrz umieścił go w specjalnej ramie umocowanej na ścianie, a obok stała mała drabinka, służąca do pracy w górnych partiach.

– W końcu posłuchałem waszmości – dodał zadumany. – Lance zamiast chorągwi.

Ja sam opisałem mu szczegóły w trakcie prowadzonych ostatnimi miesiącami długich rozmów, a to skutkiem tego, że mość Francisco de Quevedo namówił go, by skorzystał z moich opowieści o pamiętnym wydarzeniu. W celu odmalowania go Diego Velázquez poniechał wizji zawziętej walki, krzyżowanych głowni i innych szczegółów typowych dla obrazów batalistycznych, skłaniając się ku scenie spokojnej i wzniosłej. Nieraz powiadał mi, że chce osiągnąć efekt zarazem wielkoduszności i buty, a przy tym namalować rzecz po swojemu: pokazać wszystko nie tak, jak było, ale jak on widział, przedstawiać zgodnie z prawdą, ale w sposób niedopowiedziany, ażeby oglądający mógł dopełnić sobie całą resztę, a więc kontekst i ducha sceny.

– I jak to waszmość widzisz? – zapytał mnie łagodnie.

Aż nadto miałem świadomość, że zapatrywania artystyczne dwudziestopięcioletniego żołnierza znaczą dlań tyle, co nic. Prosił o co innego, i pojąłem to natychmiast, gdy spoglądał na mnie niemal z obawą, jakby ukradkiem, kiedy moje oczy omiatały płótno.

– Tak było i nie tak było – rzekłem.

Pożałowałem tych słów zaraz, jak tylko z mych ust padły, bom się zląkł, że przykrość mu sprawią. On aliści uśmiechnął się z lekka.

– Dobrze – odparł. – Wiem już, że w okolicach Bredy nie ma tak wysokiego wzgórza i że perspektywa w tle jest troszeczkę nienaturalna – przeszedł kilka kroków i znów się przyjrzał, dłonie na naczyniach oparłszy. – Ale scena robi wrażenie i w tym rzecz.

– Nie to miałem na myśli – zaznaczyłem.

– Wiem, coś miał waćpan na myśli.

Podszedł do dłoni, którą Niderlandczyk Justyn Nassau wręcza klucz naszemu generałowi Spínoli – klucz wciąż był jeno szkicem i plamą koloru – i potarł ją lekko kciukiem. Oczu od płótna nie odrywając, dał krok do tyłu. Wpatrywał się w miejsce pomiędzy dwiema głowami, pod lufą arkebuza, którą trzyma poziomo żołnierz bez brody ni wąsów – tam, na pół ukryty za oficerami, majaczył orli profil kapitana Alatryste.

– Przecież ostatecznie – rzekł nareszcie – zawsze będą to tak właśnie pamiętać... To znaczy później, kiedy waszmość i ja już dawno będziemy w grobie.

Przyglądałem się obliczom marszałków i kapitanów na pierwszym planie, częściowo jeszcze oczekujących ostatniego retuszu. Nie dbałem już o to, że krom Justyna Nassaua, księcia Neuburga⁷⁵, mości Carlosa Colomy⁷⁶ oraz markizów de Espinar⁷⁷ i de Leganés⁷⁸, że nie wspomnę o samym Spínoli, żadna z przedstawionych na obrazie głów nie odpowiada

rzeczywistym postaciom. Że Velázquez sportretował swego przyjaciela, malarza Alonsa Cano, jako jednego z niderlandzkich arkebuzerów po lewej stronie i że przydał rysów łądząco podobnych do swoich własnych oficerowi w wysokich butach, który po prawej stronie wpatruje się w widza. Albo że nieszczęsny mość Ambrosio Spínola – co umarł był z żalu i wstydu cztery lata wcześniej we Włoszech – istotnie identycznie rycerską postawę prezentuje na płótnie, co owego poranka pod Bredą, ale że generała niderlandzkiego mistrz odmalował w pozie dużo bardziej pokornej i poddańczej niżli ta, jaką pamiętam u niego, gdy poddawał miasto w kwaterze Balançona...⁷⁹. Ja wszelako miałem na myśli to, że w owej spokojnej scenie, w tym „nie trzeba, mości Justynie, nie korz się, wasza miłość” i w powściągliwej postawie oficerów po obydwu stronach zabrakło czegoś, co ja widziałem aż nadto wybornie śród wzniesionych lanc: zuchwałą dumę zwycięzców oraz pogardę i nienawiść zwyciężonych, wściekłość, z jaką siekliśmy się byli nawzajem, i jeszcze wiele lat trwać to miało, iże grobów, widocznych w głębi obrazu śród dymów i pożarów, nie miało nastarczyć. Co zaś tyczy się pierwszego planu i tego, kogo tam widać, a kogo nie, powiem tyle, że my, wierna i sponiewierana piechota, stary regiment, co brudną robotę w podkopach i kaponierach był wykonał, co na wypady nocne chodził, co żelazem i ogniem tamę w Zevenbergen zburzył, dzielnie stawał wedle młynna Ruijter i na reducie Terheijden, ta piechota, co cała w łatach i z poniszczoną bronią maszerowała, płacąc pryszczami, chorobami i nędzą – owóz my ledwie mięsem armatnim byliśmy, stałym tłem, na którym ta druga Hiszpania, ta koronkowa i nader wykwinna, przyjmowała klucze do Bredy – tak jakeśmy się obawiali, nawet nie dozwolono nam splądrować miasta – i pozowała dla potomności, by wielką ułudę pokazać światu: ów wielkoduszny gest, och, ależ proszę,

nie korz się, mości Justynie. Mówię to jak żołnierz żołnierzom, a we Flandrii słońce jeszcze nie zaszło.

– To będzie wielkie dzieło – powiedziałem.

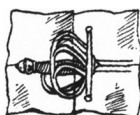
I zrobiłem to szczerze. To miało być dzieło wielkie, a świat może zapamięta taką piękniejszą Hiszpanię właśnie poprzez obraz Velázquezego, na którym tchnienie wieczności wyczuć nietrudno, bijące z palety największego malarza, jaki kiedykolwiek po ziemi stąpał. Dodam aliści, że prawdziwe wspomnienia moje wiążą się z drugim planem, ku któremu, chcąc nie chcąc, wędrowało cały czas me spojrzenie, poza centralną grupę postaci, która obchodziła mnie nie więcej niżli przeszłoroczne śniegi: tam, gdzie widnieje stara chorągiew w biało–niebieską kratę, oparta na ramieniu chorążego o nastroszonej czuprynie i gęstych węsach, który mógł być nieszczęsnym Chaconem, co padł na reducie Terheijden, kiedy usiłował uratować ten kawałek płótna. Tam, gdzie arkebuzerzy – Rivas, Llop i tylu innych, co nigdy nie wrócili do Hiszpanii ani do żadnego innego kraju – stoją odwrócenii do głównej sceny, tam, gdzie wznosi się równy las bezimiennych lanc, z których aliści każdej potrafiłbym przyporządkować imiona poległych i żywych ciągle towarzyszy, oni to bowiem przewędrowali z nimi Europę, za cenę potu i krwi zawsze stając w gotowości, bo prawdę napisano przecie:

A gdy przyszło ruszyć w pole, Nie stchórzyli ani w Anglii, Ni we Francji, ni we Flandrii: Mężnie swą znosili dolę.

*I świat cały w oczy kole, Gdy nasz dumny widzi chód: To żołnierski, prosty ród
Walczy, by hiszpańskie słońce Rozświetlało Ziemi końce, Od Zachodu aż po
Wschód.*

To im właśnie, Hiszpanom, różniącym się językami i krainami ojczystymi, ale zawsze społem dzielącym ambicję, dumę i niedolę, a nie tamtym fircykom przedstawionym na pierwszym planie, wręczał Niderlandczyk swój przeklęty klucz. Tej armii bez nazwiska ni oblicza, którą malarz zarysował jeno u stóp wzgórza, co nigdy nie istniało. Bo przecie o godzinie dziesiątej rano dnia piątego czerwca roku dwudziestego piątego, za panowania w Hiszpanii króla Filipa Czwartego, ja sam byłem świadkiem poddania Bredy, u boku kapitana Alatryste, Sebastiana Coponsa, Curra Garrote i reszty jego zdziesiątkowanej drużyny.

Dziewięć lat później w Madrycie, stojąc przed obrazem namalowanym przez Diega Velázquezę, zdało mi się, że znów słyszę dudnienie tarabanów i widzę, jak na tle dymiących murów i okopów i odległej Bredy z wolna maszerują stare niezłomne oddziały, piki i sztandary tego, co było ostatnią i najlepszą piechotą na świecie: to szli znieawidzeni, okrutni i butni Hiszpanie, karni jeno w bitewnym ogniu, co każdą niedolę znieść potrafili, ale jednego nie cierpieli – gdy kto na nich głos podnosił.



NOTA WYDAWCY NA TEMAT OBECNOŚCI KAPITANA ALATRISTE NA OBRAZIE PODDANIE BREDY DIEGA VELAZQUEZA



d dłuższego czasu przedmiotem dyskusji jest domniemana obecność kapitana Diega Alatryste y Tenorio na obrazie Poddanie Bredy. Pomimo świadectwa Íñiga Balboi, w którego przytomności płótno powstawało i który dwukrotnie potwierdza (na str. 9 *Kapitana Alatryste* i na str. 206 *Słońca nad Bredą*), jakoby kapitan został uwieczniony przez Velázquez, dokładne badania głów po prawej stronie kompozycji pozwoliły zidentyfikować jako autentyczny wizerunek generała Spínoli, a jako prawdopodobne postacie Carlosa Colomy, markizów de Leganes i de Espinar oraz księcia Neuburga – na co wskazują analizy profesorów Justiego, Allendego Salazara, Sancheza Cantona i Temboury'ego Alvareza – natomiast absolutnie nie ma sposobu, by w którejkolwiek z pozostałych anonimowych głów dopatrzeć się cech fizycznych, jakie Íñigo Balboa przypisuje kapitanowi.

Chorąży, opierający na ramieniu sztandar, nie może być uznany za Diega Alatryste, muszkieter bez zarostu na ostatnim planie również nie. Także wykluczyć należy bladego rycerza z odkrytą głową, który stoi blisko sztandaru i tuż obok konia, jak również zażywnego, krzepkiego oficera (też z gołą głową), widocznego pod lufą arkebuza – w tym ostatnim żołnierzu

profesor Sergio Zamorano z uniwersytetu w Sewilli upatruje kapitana Carmela Catona. Niektórzy badacze skłonni są dopuszczać ewentualność, że kapitan Alatryste został sportretowany pod postacią oficera, którego widzimy za koniem, na prawym skraju płótna, jak spogląda na widzów. Osobę tę inni eksperci, jak na przykład Temboursy, identyfikują jako autoportret samego Velazqueza, co z kolei pasuje do koncepcji symetrycznej kompozycji, jeśli zgodzić się z tezą, że pod postacią holenderskiego arkebuzera na lewym skraju obrazu przedstawiony jest przyjaciel malarza, Alonso Cano.

Profesor Zamorano sugeruje jednak w swej pracy *Breda – rzeczywistość i legenda*, że Diego Alatryste pasuje do pewnych cech fizycznych oficera z prawej strony obrazu, chociaż zwraca uwagę, że rysy robią wrażenie łagodniejszych niż te, o jakich wspomina Íñigo Balboa, gdy opisuje kapitana Alatryste. Trzeba wszakże zauważyć, jak pisze tłumacz i badacz z Barcelony Miguel Antón w eseju *Kapitan Alatryste i poddanie Bredy*, że wiek owego rycerza, a więc nie więcej niż trzydzieści lat, w żaden sposób nie zgadza się z rzeczywistym wiekiem Alatryste w roku 1625, a jeszcze mniej z wiekiem 51–52 wiosen, jakie liczył sobie zapewne kapitan w latach 1634–35, kiedy to powstawał obraz Velázquez. Strój oficera też nie odpowiada umundurowaniu, jakie Alatryste mógł nosić we Flandrii – przypomnijmy, że był podówczas zwykłym żołnierzem i miał nominalną szarżę kaprała. Rozważano jeszcze możliwość, że Alatryste figuruje nie po prawej stronie obrazu, ale wśród Hiszpanów namalowanych w dole zbocza, pośrodku płótna, za wyciągniętym ramieniem generała Spínoli. Jednakże szczegółowe badanie twarzy i umundurowania, dokonane przez eksperta „Figaro Magazine” Etienne'a de Montéty, też zdaje się ją wykluczać.

A mimo to stwierdzenie Íñiga Balboi, zamieszczone na 9 stronie pierwszego tomu tej serii, nie pozostawia wątpliwości: ... *mój ojciec padł*

od kuli arkebuza na murach bastionu Jülich (to dlatego Diego Velázquez nie uwiecznił go potem na obrazie wyobrażającym poddanie Bredy, kontentując się tylko swym przyjacielem i imiennikiem, którego owszem, namalował, widnieje tam zaraz za jednym koniem)...⁸⁰ Te zdumiewające słowa przez długi czas uznawane były przez większość specjalistów za bezpodstawne twierdzenie samego Íñiga Balboi, będące tylko hołdem na cześć jego ukochanego kapitana, ale pozbawione jakiegokolwiek prawdopodobieństwa. Sam Arturo Pérez-Reverte podczas pracy nad *Przygodami kapitana Alatríste* posługiwał się wspomnieniami Íñiga Balboi, który walczył jako żołnierz we Flandrii i Włoszech, był chorążym pod Rocroi, porucznikiem kurierów królewskich i kapitanem Straży Hiszpańskiej króla Filipa Czwartego, nim w 1660 roku wycofał się ze służby z powodów osobistych, mając lat pięćdziesiąt, i wziął ślub z panią Inés Álvarez de Toledo, markizą wdową de Alguazas. Wspomnienia te pozostały w rękopisie, a światło dzienne ujrzały dopiero w roku 1951 na aukcji książek i manuskryptów, przeprowadzonej przez dom Claymore w Londynie. Pisarz przyznaje, że przez wiele lat stwierdzenia Íñiga Balboi na temat obecności Diega Alatríste na obrazie Velázqueza uważał za fałszywe.

Zagadka została rozwikłana jedynie przez przypadek, który pozwolił dostrzec fakt, jaki wielu badaczy przeoczyło, w tym także sam autor niniejszej serii powieściowej, niemal w całości opartej na oryginalnym rękopisie⁸¹. W sierpniu 1998 roku, kiedy w sprawach wydawniczych odwiedziłem Pereza-Reverte w jego domu, leżącym niedaleko Escorialu, autor – wciąż nie mogąc wyjść ze zdumienia – obwieścił mi o odkryciu, jakiego dokonał podczas dokumentacji epilogu trzeciego tomu serii. Otóż poprzedniego dnia, przeglądając książkę Josego Camona Aznara *Velázquez – jedną z najlepszych, jakie powstały na temat autora Poddania Bredy* – Pérez-Reverte natrafił na coś, co jeszcze nazajutrz nie pozwoliło mu ukryć

zaskoczenia. Na stronach 508 i 509 pierwszego tomu (Madryt, wyd. Espasa–Calpe, 1964) profesor Camón Aznar potwierdza, po uważnym przebadaniu zdjęcia rentgenowskiego omawianego płótna, niektóre rewelacje Íñiga Balboi na temat obrazu, które z początku mogły wydawać się sprzeczne z prawdą. Na przykład fakt, że artysta pierwotnie namalował chorągwie zamiast lanc. Rzecz w sumie nierzadka u malarza sławnego ze swych „uników”, czyli poprawek dokonywanych z marszu, które chwilami sprawiały, że zmieniał zarysy lub sytuacje i likwidował całe namalowane już przedmioty i postacie. Oprócz chorągwi zamienionych na piki – a byłaby to fundamentalna różnica w kompozycji i ostatecznym efekcie – koń Hiszpanów był szkicowany w trzech odmiennych pozach, w głębi, zgodnie z prawdą geograficzną, nieopodal grobli Zevenbergen i otwartego morza można domyślać się statku na falach, Spínola był pierwotnie namalowany w postawie bardziej wyprostowanej, a po hiszpańskiej stronie mającą inne głowy w haftowanych kołnierzach. Z nieznanym nam powodów Velázquez w ostatecznej wersji zatarł jedną głowę o wielce szlachetnych rysach i jeszcze jedną obok. Tam, gdzie Íñigo Balboa wskazuje dokładną lokalizację swego pana: *pod lufą arkebuza, którą trzyma poziomo żołnierz bez brody ni wąsów*, widz dostrzec może jedynie pustkę i niebieski kaftan odwróconego plecami pikiniera.

Ale najprawdziwsza niespodzianka – i dowód, że nie tylko literatura, ale malarstwo także jest jednym pasmem zagadek i skrytek, które kryją w sobie kolejne skrytki – objawiła się dalej w postaci kilku słów na tejże stronie 509 w książce Camona Aznara. Na temat owego podejrzanego, pustego miejsca pod lufą arkebuza, profesor pisze, że na zdjęciu rentgenowskim *widać z tyłu jeszcze jedną głowę o orlim profilu*.

Tak oto często rzeczywistość zabawia się, potwierdzając nam coś, co przedtem wydawało się fikcją. Nie potrafimy podać motywu, jaki kazał

Velázquezowi zamalować w późniejszym okresie tę gotową już głowę, może następne tomy serii zdołają wyjaśnić tę tajemnicę⁸². Teraz jednak, niemal cztery stulecia po opisywanych wypadkach, wiemy, że Íñigo Balboa nie kłamał i że kapitan Alatríste był – a właściwie nadal jest – na obrazie *Poddanie Bredy*.

Wydawca



WYJĄTKI Z KWIATÓW POEZJI PRZEZ DWORSKIE
ZNAKOMITOŚCI UŁOŻONYCH

Druk z wieku XVII bez daty, zachowany w dziale „Hrabiowie Guadalmedina”

Archiwum i Biblioteki Diuków del Nuevo Extremo (Sewilla)



PRZEZ MOŚĆ FRANCISCA DE QUEVEDO
EPITAFIUM PAMIĘCI MARKIZA AMBROSIA SPINOLI, KTÓRY
SIŁAMI KATOLICKIMI WE FLANDRII DOWODZIŁ

Sonet

Odys fortelem przeciwnika mamił, Czując, że bez konia rady by nie dał.
A przed twym rapierem wraza czereda Ukorzyła się jak grzesznik w
Otchłani.

Gdy tylko przybyłeś z regimentami, Padła Ostenda, poddała się Breda.
Dla ciebie chwała, dla wroga zaś bieda, Cała Europa zadrżała przed nami.

Schizmatyków ty zmiotłeś i podbiłeś Palatynat dla hiszpańskiej korony;
Ku chwale wiodłeś wojsko roztomiłe.

Odszedłeś Italia łzy dzisiaj roni, Flandria czeźnie; ty zasię ostawiłeś,
Spínola, w bólu nas nieutulonych.



RZEZ KAWALERA W ŻÓŁTYM KAFTANIE
DO ÍÑIGA BALBOI, W WIEKU PODESZŁYM

Sonet

Przebóg, nijakiej nie widzę różnicy Między walczącym we Flandrii
wojakiem A jego giermkim, baskijskim chłopakiem, Któremu tamten
splendoru użyczył.

Ty męża opiewasz, który bez przyłbicy Stałą wykuł dzieła nie byle jakie;
Świat łka, lecz słów twoich słucha ze smakiem, Języka wszak nie strzepisz
po próżnicy.

Szkołą cnoty dla ciebie były głośne Wyczyny jego, a w nas przerażenie
Budzą twe historie, jakże soczyste.

Dzięki tobie, choć czas mknie bezlitośnie, Śród nas po wieczność będzie żyć wspomnienie O kapitanie Diegu Alatryste.



RZEZ MOŚĆ PEDRA CALDERONA DE LA BARCA
OBRONA REDUTY TERHEIJDEN

WYJĘTĄ Z III AKTU SŁAWETNEJ KOMEDII „OBŁĘŻENIE
BREDY”

Romanca

MOŚĆ FADRIQUE BAZAN

Och, gdyby Henryk mógł nadejść Tutaj, gdzie wojska Hiszpanii Obóz swój mają, to nasze Powiodłyby się zamiary.

MOŚĆ VICENTE PIMENTEL

Ja snadź nie wierzę, by dla nas Los się okazał łaskawy.

ALONSO LADRÓN, kapitan

Założę się, waszmościowie

– Zewrą się nasi z frycami, Co cięgiem nam urągają, Że my Jakuba wzywamy I grzmimy „Naprzód, Hiszpanio”

Lubo Jakub jest im znany Jako jeden z apostołów I patron nasz ukochany, Owo „Naprzód” czarcia szcztka.

*Gdy wpadniemy w tarapaty, Mówią tedy, że nam w sukurs Idą święci
wraz z diabłami.*

MOŚĆ FRANCISCO DE MEDINA

*Jeśli od strony Antwerpii Nadciągnie Nassau z wojskami, Niechybnie
Włochów napotka.*

SURMY

MOŚĆ FADRIQUE

Oto wydano sygnały Do boju.

ALONSO

*Przebóg! Niech tu się Włochom sposobność nadarzy, A mozołu niech
oszczędzi Fortuna biednym hiszpańskim Żołnierzom!*

MOŚĆ FADRIQUE

Wypluj, coś wyrzekł!

*Obym mógł wspomnieć tu waści o marszałku de la Daga, Który w bitwie
bez bojaźni Z Hiszpanów niewielką garstką Wrogom dzielnie czoło stawił.*

MOŚĆ GONZALO FERNANDEZ DE CÓRDOBA

Bez dysputy?

MOŚĆ FADRIQUE

Skądże znowu!

Wszak bezczynność umie sprawić, Że rdzewieje w pochwach stal, Że gnuśniejże duch Hiszpanii i męstwo.

MOŚĆ GONZALO

Kto podczas wojny Posłusznym jest, ten kajdany Najsroźsze na się nakłada.

Więcej renomy i chwały Zyska nie ten, kto waleczny, Lecz kto wypełnia rozkazy.

MOŚĆ FADRIQUE

Gdyby sława nie z karności Płynęła, w królestwie zali Wystarczyłoby nam kajdan?

ALONSO

Oby mnie nie rozsierzali Ci szanowni Flamandowie.

Snadź gdy pękną w boju nasi, Choćbym jutro miał zawisnąć, Dziś mi przyjdzie dobyć stali.

WERBLE

MOŚĆ VICENTE

Obie strony tną zażarcie!

WERBLE

MOŚĆ FADRIQUE

Przyznać trzeba, że wyraźny Surm i werbli ton dobiega A oręza szczęk z oddali!

MOŚĆ FRANCISCO DE MEDINA

Na niebiosa! Przez walońskie Linie właśnie się przedarli!

WERBLE

MOŚĆ FADRIQUE

Wróg do Włochów już dociera!

ALONSO

Fryce wojsko z bożej łaski!

Tych to jak amen w pacierzu Byle szturm pokotem zwali!

MOŚĆ GONZALO

Baczie tam, gdzie de la Daga...

ALONSO, na stronie

Bardasznurkiem przezywany...

MOŚĆ GONZALO

*... Z dumą opór dzielnie stawia ze swoimi Hiszpanami, lubo srogie zbiera
ciągi.*

WERBLE

MOŚĆ FADRIQUE

*Przeto, w razie wieści takich, Niechaj nakaz posłuszeństwa Wobec
generała sprawi Bym rapiera nie dobywał!*

*Bo kto mąż opanowany, A nie do utarczki skory, Ten wie, jak spełniać
rozkazy!*

MOŚĆ VICENTE

*Snadź w perzynę pierwsza linia Rozbita. Słyszysz z oddali Krzyki? Lękam
się, że w nocy Przejdą bez trudu przez bramy.*

ALONSO

Jakże? Przez bramy?

MOŚĆ FADRIQUE

Tej nocy?

*Powiem, choć głos mój zuchwały,
Że nie przejdą.*

MOŚĆ VICENTE

Za broń chwycmy, Lubo nawet miałby zganić Nas generał.

MOŚĆ GONZALO

Byle rozkaz

Był spełniony niech się wali, Wszystko furda.

MOŚĆ FADRIQUE

Kto w opałach

*Złamie rozkaz, to tak jakby Go nie złamał, posłuszeństwa Na szwank
żaden nie wystawi.*

MOŚĆ VICENTE

*Śledząc tok bitewnych zmagañ, Jakich jął się mąż odważny, Słońce
przerwało wędrówkę I stanął wiatr oniemiały.*

*Owóz baczcie, waszmościowie, Jako Włoch tam czoło stawił Calej armii
Henrykowej, Gromko zasię zawołali Jego ludzie, powstrzymując Wybornie
natarcie wrażych Oddziałów. O, Carlo Roma, To czyn godzien wiecznej
sławy!*

*Zasłużyłeś, by otrzymać Komandorię od Monarchy I zaszczyty, i tytuły,
Stanowiska i pochwały!*

*Zbrojny w rapier tudzież tarczę Wściekle wroga siecze, wali, A na jego
podobieństwo Reszta Włochów. Niechże chwały Los im nie poskąpi, a nam
Cnych widoków! Tutaj zawiść Oraz respekt są na miejscu Wszak Hiszpania,
tyleż razy Sama widząc się zwycięską, Winna dziś wieniec triumfalny
Przyznać tej, co triumf odniosła, To jest walecznej Italii.*

MOŚĆ FRANCISCO DE MEDINA

Inny czyn miano wiktorii Także sobie dziś zaskarbił: Oto sztandar regimentu Od niewoli i od hańby Ocalili skromni liczbą, Aliści pełni odwagi Hiszpanie, co marszałkowi Dotrzymywali kompanii.

*Bili się tak, że nie zdołał
Pokonać ich podły Anglik.*

MOŚĆ GONZALO

Jakież cny i hardy Hektor Dowodził nimi w batalii?

ALONSO

*Zwie się Diego Alatryste, Kapitanem tu wołany, Który to przydomek
godnie Zdobył pośród szczęku stali.*

MOŚĆ GONZALO

*Tedy niechaj Alatryste Idzie dzisiaj w dumne ślady Carla Romy
zwycięskiego, Niechaj zechce król łaskawy Triumfatorów spod Terheijden
Wraz obsypać nagrodami.*

MOŚĆ FADRIQUE

*Czmycha z wiatrem na wyścigi Pokonany Niderlandczyk, Ale że też
dzielnie stawał, Niech i jemu dumny wawrzyn Czoło przystroi, a imię Jego
niechajże zgłoskami Złotymi będzie wyryte niech zdobi wieczne annały.*



Przygody kapitana Alatryste

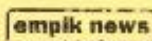
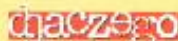
„Przygody kapitana Alatryste” to opowieść o Hiszpanii pierwszej połowy XVII wieku. Na tronie zasiada młody, niemający na nic wpływu, Filip IV, wnuk potężnego Filipa II. Dwór habsburski powoli staje się labiryntem intryg, podchodów, wzajemnych świństw. Z jednej strony sprawujący rządzą kanclerz, z drugiej sekretarz królewski, uprawiający własną podstępą politykę ramię w ramię ze złowieszczym inkwizytorem. Na skrzyżowaniu tych dwóch ośrodków władzy znajduje się Diego Alatryste y Tenorio, czterdziestoparoletni szermierz, wytrawny żołnierz. W czasie gdy nie jest na wojnie, dorabia, pojedynkując się w cudzych sprawach. Małomówny, raczej sceptyk, zna życie od najgorszej strony i może dlatego zachowuje wciąż elementarne zasady moralne.

Trzecia część opisuje przypadki bohaterów na wojnie flamandzkiej. Jak łatwo się domyślić, to najbardziej krwawy i pośpepny fragment cyklu. Szczególnie barwne są realia cywilne tej wojny, przedziwne konfiguracje i sytuacje powstające na granicy dwóch światów (np. najeźdźcy-Hiszpanie korzystający bez trudu z gościnności podbitych Flamandów, a zwłaszcza Flamandek).

Każda powieść z tej serii stanowi odrębną przygodę, choć nie zmieniają się główni bohaterowie, także zli, i najczęściej poczynania tych ostatnich są osnową fabuły.

Wkrótce kolejny tom!

Patroni medialni:



Cena 24,90 zł

ISBN 83-7079-975-2



9 788370 799755 >

www.muza.com.pl

Notatki

[← 1]

Mowa o krwawym spłądowaniu Antwerpii w 1576 r.

[← 2]

Bartolomé Torres Naharro (?–1530) – jeden z najwybitniejszych dramaturgów hiszpańskiego Odrodzenia.

[← 3]

Bartolomé Torres Naharro, *Soldatesca* (Żołnierski stan). (Jeśli nie podano inaczej, wszystkie przekłady tekstów poetyckich pochodzą od tłumacza).

[← 4]

Jacques–Benigne Bossuet (1627–1704), kaznodzieja francuski. W *Oraison funèbre de très haut et très puissant prince Loms de Bourbon, prince de Condé, premier du sang* (Mowa żałobna pamięci nader dystyngowanego i możnego księcia Ludwika Burbona, Kondeusza, pierwszego księcia krwi) tak pisał o bitwie pod Rocroi: „Pozostała jeno owa nadzwyczaj groźna piechota hiszpańska, której zwarte bataliony, wieżom podobne, i to wieżom, co wszelakie wyłomy u siebie naprawić potrafią, trwały niezachwiane wśród całej pierzchającej reszty i ogień wszędy miotały”.

[← 5]

Fernando Álvarez de Toledo, diuk de Alba (1508–1582) – wódz hiszpański, zasłynął rządami silnej ręki w Niderlandach.

[← 6]

Alessandro Farnese (1545–1592) – książę Parmy i Piacenzy, zarządca Niderlandów, dyplomata, syn naturalnej siostry Filipa II.

[← 7]

W 1525 r., po bitwie pod Pawią, wygranej przez wojska hiszpańskie cesarza Karola V, król Francji Franciszek I został uprowadzony do Madrytu.

[← 8]

Wojska Karola V z sukcesem oblegały Rzym w 1527 r.

[← 9]

Francuskie Amiens wpadło w ręce Hiszpanów w 1596 r.

[← 10]

Ostenda została zdobyta przez Hiszpanów w 1604 r. po trzech latach oblężenia.

[← 11]

Protestanckie wojska Ludwika van Nassau zostały rozgromione przez diuka de Alba pod Jemmingem w 1568 r.

[← 12]

Zdobycie Maastricht w 1579 r. było wielkim sukcesem militarnym ks. Farnese.

[← 13]

Oddziały hiszpańskie pod dowództwem Diega Pimentela wygrały bitwę na plaży pod Sluys przeciwko przeważającym siłom niderlandzko–angielskim w 1588 r.

[← 14]

Miguel de Cervantes Saavedra, *Przemysłny szlachcic Don Kichote z Manczy*, przeł. Anna Ludwika Czerny i Zygmunt Czerny.

[← 15]

Lope de Vega, *Las almenas de Toro* (Mury twierdzy Toro).

[← 16]

Drinken (niderl.) – pić.

[← 17]

¹⁾ *Ciało ni chybi trafi do mogiły, / w proch, co wciąż miłuje, rychło się zmieni* – fragment sonetu *Amor constante más allá de la muerte* (Niezlomna miłość aż poza grób).

[← 18]

Percheles – dzielnica Malagi, znana z barwnego półświatka.

[← 19]

Riglos – grupa pionowych skał w aragońskiej prowincji Huesca.

[← 20]

Czerwony krzyż św. Andrzeja na białym tle był znakiem wojsk hiszpańskich od początku XVI w., kiedy to wzięli ślub Joanna Szalona z Kastylii i Filip I Piękny z Burgundii (król Hiszpanii Filip IV był ich praprawnukiem).

[← 21]

Lope de Vega, *La hermosa de Angélica* (Piękna Angelika). Dalszy ciąg tego fragmentu brzmi: *Bo nikt gładsza o zdanie nie pytał, / Kiedy król wezwał, by precz pognać wrogi.*

[← 22]

Johan Tserklaes de Tilly (1599–1632) – hrabia brabancki, dowodzący wojskami Ligi Katolickiej w Niemczech podczas wojny trzydziestoletniej.

[← 23]

Charles–Bonaventure de Longueval, hr. de Boucquoy (1571–1621) – francuski generał w służbie habsburskiej.

[← 24]

Gonzalo Fernández de Córdoba (1585–1635) – dowódca hiszpański, bohater jednej ze sztuk Lope de Vegi.

[← 25]

Niccoló Macchiavelli, *O sztuce wojennej*, przeł. Jan Malarczyk.

[← 26]

Eduardo Marquina, *En Flandes se ha puesto el sol* (We Flandrii już zapadł zmierzch)

[← 27]

George Gascoigne (1534–1577) – poeta i pisarz angielski, przez kilka lat walczył w Niderlandach pod rozkazami Wilhelma Orańskiego.

[← 28]

Marszałek polny Francisco de Valdez poznał problem braku dyscypliny na własnej skórze: w listopadzie 1574 r. we Flandrii został uwięziony przez swoich podkomendnych za to, że zakazał łupiestwa wśród ludności kraju sojuszniczego.

[← 29]

Lope de Vega, *Don Juan de Austria en Flandes* (Mość Juan Habsburg we Flandrii).

[← 30]

Francisco de Quevedo, *A un juez mercadería* (Na przekupnego sędziego). Ostatecznie Quevedo w inwokacji zamiast „wieprza” użył imienia „Botino”.

[← 31]

Po bitwie pod Lepanto w 1571 r. Miguel de Cervantes władał tylko lewą ręką.

[← 32]

Quevedo parodiuje tu styl Gongory.

[← 33]

San Martín de Valdeiglesias – jedno z ulubionych win Quevedy.

[← 34]

Lope de Vega, *El asalto de Mastroque* (Natarcie na Maastricht).

[← 35]

Maurits van Nassau–Dillenburg, ks. Orański (1567–1625) – stathouder (szef państwa) zbuntowanych prowincji Niderlandów.

[← 36]

Justinus van Nassau, ks. Orański (1559–1631) – nieślubny syn ks. Wilhelma Orańskiego (przyrodni brat Mauritsa), komendant garnizonu Breda w czasie opisywanych wydarzeń.

[← 37]

Mucrone corusco (łac.) – roziskrzony mur żelaza (Publius Vergilius Naso, *Eneida*, przeł. Zygmunt Kubiak).

[← 38]

Mowa o epizodzie z wojny o Franche-Comte w 1637 r.

[← 39]

Pedro Enríquez Acevedo hr. de Fuentes (1525–1610) – hiszpański dowódca, oblężeniem Cambrai dowodził w roku 1595.

[← 40]

Księżniczka Elżbieta Klara Eugenia (1566–1633) – córka Filipa II, była od 1598 r. gubernatorem Niderlandów.

[← 41]

Luis de Requesens y Zúñiga (1528–1576) – wielki komandor Kastylii, gubernator Niderlandów za czasów Filipa II, znany z umiarkowanych rządów.

[← 42]

Rekonkwista – trwające od VIII po XV wiek odzyskiwanie przez chrześcijańskie ludy Hiszpanii ziem Półwyspu Iberyjskiego z rąk najeźdźców mauretańskich.

[← 43]

Mendoza, Guzmán – arystokratyczne rody hiszpańskie.

[← 44]

Juan de Esquivel Navarro (koniec XVI w. – poł. XVII w.) – autor jedyne zachowanego XVII-wiecznego hiszpańskiego traktatu o tańcu *Discursos sobre el arte del dançado y sus excelencias y primer origen, reprobando las acciones deshonestas* (Rozważania o sztuce tańca, jego doskonaleniu i pochodzeniu, tudzież przygana nieskromnie postępującym, Sewilla 1642). Znajduje się w nim opis tańca villano (gminnego).

[← 45]

Francisco de Quevedo, *Inscripción al Marques Ambrosio Spínola* (Epitafium dla markiza
Ambrosia Spínoli)

[← 46]

Kermis (niderl.) – kiermasz, odpust

[← 47]

Miles gloriosus (łac.) – żołnierz samochwał, bohater komedii Plauta (ok. 204 p.n.e.) pod tym samym tytułem.

[← 48]

W tzw. talii hiszpańskiej występują następujące kolory: szpady (odpowiednik pików), złotka (odpowiednik kar), pałki (odpowiednik trefli) i puchary (odpowiednik kierów).

[← 49]

Lope de Vega, El anzuelo de Fenisa (Wędką Feniksany).

[← 50]

) Lope de Vega, El villano en su rincón (Wieśniak w swoim zakątku).

[← 51]

Durindana, zwana też Durendal – miecz Rolanda, wg legendy niegdyś należący do Hektora.

[← 52]

Cap de Deu (katal.) – Boże Najwyższy

[← 53]

Pasy (Aragonia), zamki (Kastylia), lwy (Leon), łańcuchy (Nawarra) – motywy hiszpańskiej heraldyki.

[← 54]

Tirso de Molina, *Quien calla, otorga* (Milczenie oznacza zgodę).

[← 55]

Neen, vrienden (niderl.) – nie, swój.

[← 56]

Fernando Francesco d'Ávalos, markiz de Pescara (1490–1532) – rycerz neapolitański w służbie hiszpańskiej, wslawił się błyskotliwym dowodzeniem podczas bitwy z Francuzami pod Pawią w 1525 r.

[← 57]

Madre de Deus (port.) – Matko Boža.

[← 58]

Vlamminck (niderl.) – Flamand.

[← 59]

Chodzi zapewne o syna słynnego admirała Álvaro de Bazán, markiza de Santa Cruz (1526–1588), wślawionego w bitwie pod Lepanto. Epizod, o którym mowa, miał miejsce 24 lata po śmierci wielkiego markiza.

[← 60]

Alonso de Contreras (1582–1641) – awanturnik, korsarz, unieśmiertelniony przez Lopego de Vega w komedii *El rey sin reino* (Król bez królestwa).

[← 61]

Diego Duque de Estrada (1589–1647) – żołnierz i pamiętnikarz, autor wspomnień *Comentarios del desengañado de sí mismo* (Uwagi człeka, co się sam sobą rozczarował).

[← 62]

Książę Albert Habsburg (1559–1621) – arcydiuk i kardynał, siostrzeniec Filipa II i zarazem jego szwagier przez siostrę Annę Austriaczkę.

[← 63]

Finisterre – najbardziej na zachód wysunięty przylądek Galicji, w płn.–zach. Hiszpanii.

[← 64]

Zum Teufel (niem.) – do diabła.

[← 65]

Ik geef mij over (niderl.) – poddaję się.

[← 66]

Miało to miejsce w 1596 r., w czasie wojny Hiszpanii przeciwko połączonym siłom Francji, Anglii i Niderlandów.

[← 67]

Juan de Urbieto (?–1553) – żołnierz baskijski, pochodzący z miasteczka Hernani pod San Sebastián. W uznaniu rycerskiej postawy pod Pawią wzięty przezeń do niewoli król Franciszek I wystawił mu wielce pochlebny certyfikat.

[← 68]

Antygon Gonatas (320–239 p.n.e.) – król Macedonii, zmuszony (nie na długo) do ucieczki przez Pyrrusa w 275 r. p.n.e.

[← 69]

Oblężenie Hulst w południowych Niderlandach miało miejsce w 1596 r.

[← 70]

Frederik Hendrik van Nassau, ks. Orański (1584–1647) – syn Wilhelma Orańskiego z trzeciego małżeństwa, stadhouder Niderlandów po śmierci Mauritsa.

[← 71]

Tirso de Molina, *La mujer que manda en casa* (Niewiasta, co w domu rządzi).

[← 72]

No quarter (ang.) – bez litości, bez pardonu.

[← 73]

Alonso Cano (1601–1667) – malarz, rzeźbiarz i architekt, zwany „hiszpańskim Michałem Aniołem”.

[← 74]

Juan Bautista Martínez del Mazo (1612–1667) – malarz, zięć Velazqueza.

[← 75]

Wolfgang Wilhelm von Neuburg, ks. Palatynatu–Neuburga (1578–1653) – jeden z katolickich przywódców podczas wojny trzydziestoletniej.

[← 76]

Carlos Coloma (1566–1637) – hiszpański generał, historyk i dyplomata.

[← 77]

Markiz de Espinar – być może chodzi o wspomnianego Carlosa Colomę, który mienił się takim tytułem.

[← 78]

Diego Mesía y Felipez de Guzmán, diuk Sanlúcar, I markiz de Leganés (1590–1655) – gubernator Flandrii, potem m.in. wicekról Mediolanu, kuzyn hrabiego de Olivares, zięć generała Spínoli.

[← 79]

Claude de Rije, baron van Balançon – komendant wojskowy Bredy.

[← 80]

Arturo Pérez-Reverte, *Kapitan Alariste*, przeł. Filip Łobodziński, Warszawa 2004.

[← 81]

Zapiski chorążego Balboi, rękopis 478 str., Madrd b.d. Sprzedany przez dom aukcyjny Claymore 25 listopada 1951 r. Obecnie znajduje się w Bibliotece Narodowej. (przyp. wyd.)

Niezwykłe jest też zniknięcie *a posteriori* dwóch znanych do dziś, udokumentowanych wzmianek o kapitanie Diegu Alatriście y Tenorio. Świadcstwo Íñiga Balboi i analiza płótna *Poddanie Bredy* Velazqueza dowodzą, że wizerunek kapitana został z obrazu wymazany z niewiadomych przyczyn i że nastąpiło to po zimie 1634 roku. Istnieje też jednak pierwsza wersja komedii Pedra Calderona de la Barca *Oblężenie Bredy*, gdzie też odnotowano ślady późniejszych manipulacji.

Pierwsza kompletna wersja, współczesna premierze komedii w Madrycie – napisanej ok. roku 1626 – i zgodna w ogólnym zarysie z kopią rękopiśmienną, dokonaną przez Diega Lopeza de la Mora w 1632 r., zawiera mniej więcej 40 wersów, które z wersji ostatecznej zostały usunięte. Tam właśnie mamy do czynienia z wyraźną wzmianką o śmierci marszałka Pedra de la Daga i o obronie reduty Terheijden, przeprowadzonej przez Diega Alatriście, którego nazwisko kilkakrotnie w tekście pada. Oryginalny fragment, odkryty przez profesora Klausa Oldenbarnevelta z Instytutu Studiów Hispansystycznych uniwersytetu w Utrechcie, przechowywany jest w archiwum i bibliotece Diuków del Nuevo Extremo w Sewilli, my zaś przedrukowaliśmy go w aneksie niniejszego tomu, a to dzięki uprzejmości pani Macareny Bruner de Lebrija, diuszesy del Nuevo Extremo. Dziwne jest to, że owe czterdzieści wersów nieobecne jest również w kanonicznej wersji tekstu, opublikowanej w 1636 r. w Madrycie przez Josego Calderona, brata autora, w tomie *Pierwsza część Komedyi mości Pedra Calderona de la Barca*.

Powody, dla których usunięto kapitana Alatriście zarówno z komedii o oblężeniu Bredy, jak i z obrazu Velázquez, pozostają niewytłumaczalne. Chyba że w grę wchodzi wyraźny nakaz, który pochodziłby albo od króla Filipa IV, albo, co bardziej prawdopodobne, od hrabiego–diuka de Olivares, w niełaskę u którego z niejasnych nadal przyczyn mógł popaść Diego Alatriście między 1634 a 1636 rokiem (przyp. wyd.).